

BIBLIOTÉKA
PW
SP.
ERAZMOW

9548

Wóycicki
Ćwiczenia



KAZIMIERZ WÓYCICKI

ĆWICZENIA

23

PORÓWNAWCZE

Z DZIEDZINY POETYKI

I

WYPISY

~~00341~~

PODRĘCZNIK DLA SZKOŁY I SAMOUKÓW
POLECONY PRZEZ MIN. W. R. I O. P. DLA
PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM WYŻSZEGO

WYDANIE CZWARTE

Bonsch 2/2
1948



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



9548 ✓ 1. 9548/1

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.” — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU” SP. AKC. — KATOWICE

DRUK KLAMKOWSKIEGO I RAJSKIEGO
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

PRZEDMOWA DO WYDANIA I.

Dwa cele przyświecały mi przy układaniu tej książki; po pierwsze chciałem rozwinąć w jej czytelniku zdolność widzenia obrazu poetyckiego i głębszego przeżywania utworów, po wtóre zaznajomić go z temi zasadniczymi pojęciami poetyki, których poznanie niezbędne jest z wielu względów dla każdego myślącego nieco o rzeczach sztuki, a więc wogóle myślącego człowieka. Dla osiągnięcia tych celów wybrałem metodę porównawczą, zastosowaną już przeze mnie częściowo w „Stylistyce i rytmice polskiej“, wydanej w roku 1917. Braki tej metody starałem się uzupełnić i błędy naprawić obecnie przez stosowanie porównań stałe, dokładne, krytyczne, przez formułowanie odpowiednich czynności cząstkowych i ułożenie porównań w system. W ten sposób powstała książka, współzawodnicząca z podobnymi pracami z zakresu malarstwa, którym też niejedno zawdzięcza.

Nie tu miejsce na uzasadnianie wartości metody porównawczej, olbrzymiego znaczenia czynności porównywania w rozwoju życia psychicznego dla umysłu, uczucia, woli, natomiast wobec kołających się wśród nas pewnych przesądów nastrojowych parę słów muszę powiedzieć w obronie analizy drobnostkowej dzieł poetyckich, której wymaga każde umiejętne porównanie. Ci, którzy narzekają na zgubną działalność analizy w przeżyciu estetycznym, powinni pamiętać, że analiza nie jest jakimś bezwzględnym kresem przeżycia. Od intuicyjnego, syntetycznego, ale chaotycznego,

ale powierzchownego ujęcia początkowego poprzez analizę prowadzi droga do nowej syntezy, stokroć bogatszej, głębszej, spójniejszej. I takie rozpadanie się dzieła na szczegóły i zrastanie w całość dokonywa się w naszej duszy wielokrotnie. Ta właśnie możliwość czytania autora „w coraz głębszych głębiach“, jak mówi Norwid, jest dla nas żywym probierzem wartości dzieła. Tylko długotrwałe obcowanie z utworem ujawnia nam jego tajemnice i czary, tylko z niego rodzi się nasza miłość do dzieła i wdzięczność dla artysty — największa nagroda, na jaką zdobyć się może czytelnik. Idzie tylko o to, aby analiza szła w odpowiednim kierunku, aby była przystosowana do zawartości utworu, miała potrzebną subtelność i wielostronność. Do tego właśnie potrzebne jest ćwiczenie i wprawa, rzadko nabywana bez umiejętnego kierownictwa. Rola szkoły w procesie rozwoju kultury estetycznej osobnika jest — wszystko jedno: burząca czy budująca — niezwykle doniosła. Nauczyć patrzeć, widzieć, czuć, myśleć, poprzez sztukę sięgać w głębię życia etycznego, wyćwiczyć zdolność analizy i syntezy, wykształcić smak i sąd bez zadawania gwałtu przyrodzonym upodobaniom, otworzyć szeroko duszę młodzieży wpływom sztuki — oto jak rozumiem zadanie historyka i teoretyka literatury w szkole średniej. Tym celom w skromnym zakresie, w miarę swej wartości ma służyć i niniejszy podręcznik.

Załączony spis rzeczy wskaże czytelnikowi szczegółowo mój plan i sens układu całości. Na jedno muszę zwrócić uwagę. Za kardynalny błąd naszych poetyk i teoryj literatury uważałem zawsze to, że, zajmując się wiele rozróżnianiem epepei, poematu, gawędy, elegji, komedji i tragedji i t. p., pomijały prawie zupełnie zagadnienie utworu poetyckiego, jego składników, czynników jedności, kompozycji. To też poszedłem inną drogą. Część, zaniedbaną przez nasze poetyki, opracowałem najobszerniej, rozbiór zaś i określanie różnych gatunków i form poetyckich pozosta-

wilem historii literatury, której właściwem zadaniem badanie ich, jako wytworu poglądu na świat, usposobienia, smaku i tradycyj literackich różnych epok.

Podręcznik składa się z dwóch części: „Wypisów“, przeznaczonych dla ucznia, i „Ćwiczeń“ dla nauczyciela i samouka. W „Wypisach“ oprócz wyjątków i drobniejszych całości znajdują się tytuły większych utworów, przeznaczonych do badania. Przy takich tytułach zwykle zaznaczam w nawiasie najtańsze wydanie. Do każdego paragrafu „Wypisów“ „Ćwiczenia“ zawierają odpowiedni zasób pytań i wskazówek; formę pytania porzucałem nieraz, aby uniknąć monotonii, i poprzestawałem na notowaniu punktów rozbioru, sformułowanie pytań pozostawiając nauczycielowi. Wszędzie trzymałem się zasady, aby od rzeczy łatwiejszych przechodzić do trudniejszych. Jedyne wyjątek stanowi bajka początkowa, trudniejsza od innych, ale nadająca się szczególnie na wstęp do całości.

Przy analizie utworów i wyjątków nie należy śpieszyć się, wymuszać gwałtem spostrzeżeń czy rozstrzygnięć, ani też wmuszać swoich. Niech wnioski ucznia opierają się na ścisłym zetknięciu z utworem, na obserwacji osobistej, powtarzanej wielokrotnie, na głębszym namyśle, niech będą wynikiem dłuższego skupionego wysiłku. Ćwiczenia zgodnie z poziomem umysłowym klasy dzielić należy na ćwiczenia z inicjatywą (pytaniami szczegółowymi) i bez inicjatywy, wprowadzić porównanie z tekstem w ręce i porównanie pamięciowe, po uprzednim opowiedzeniu odczytanego fragmentu lub zakończone opowiadaniem. Jeżeli młodzież chwytta szybciej różnice, zwracać trzeba uwagę na podobieństwa i odwrotnie; ponieważ dziecko łatwiej dostrzega szczegóły niż całość, należy wyrabiać zmysł dla całości. Trzeba wymagać, aby uczniowie porządkowali spostrzeżenia, dzieląc różnice i podobieństwa na: istotne i podrzędne, jawne i ukryte, proste i skomplikowane, wewnętrzne i zewnętrzne.

Chcąc umożliwić nauczycielowi swobodę ruchów, każde niemal rozważane zagadnienie poetyki ilustrowałem kilkoma przykładami o różnym stopniu trudności. Podobnie nauczyciel może wybierać wśród pytań: uwzględniać jedne, pomijać inne, zmieniać ich porządek, dodawać nowe, pogłębiać je i różniczkować. Moje rozbiory wskazują tylko drogę. Tę poznać musi każdy, pragnący naprawdę z pożytkiem posiłkować się książką.

Pisownię zastosowałem wszędzie do uchwał Akademji Umiejętności w Krakowie z dnia 15 stycznia 1918 roku.

Wszystkim, którzy nie szczędzili mi szczerzej zachęty, nie odmówili pomocy, gorące po staremu składam podziękowanie.

Kujawy Brzozowe — Ozorzyn 12/VIII 1918.

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.

	<i>Str.</i>
Ćwiczenia wstępne. Spostrzeganie podobieństw i różnic.	1—11

ROZDZIAŁ I.

Porównanie kilku utworów.

§ 1.	Mickiewicz A, Dziady, cz. III. Djabeł i zboże.	
	Gorecki A., Djabeł i zboże.	1—2
§ 2.	Krasicki I., Kruk i lis.	
	Gorecki A., Lis i kruk . . .	2—3
§ 3.	Krasicki I., Jagnię i wilcy .	
	Trembecki St., Wilk i baranek.	3—4
§ 4.	Potocki W. (wiek XVII). Nie jest mądrego mówić: „nie rozumiałem“.	
	Gorecki A., Kozioł i lis.	
	Mickiewicz A., Lis i kozioł .	4—6
§ 5.	Potocki W., Golono, strzy- żono.	
	Mickiewicz A., Golono, strzy- żono. Żona uparta . . .	6—9

ROZDZIAŁ II.

Porównanie w obrębie jednego utworu.

§ 6.	Trembecki St., Myszka, kot i kogut	10—11
------	---	-------

CZĘŚĆ II.

Utwór poetycki.

12—191

ROZDZIAŁ I.

Składniki utworu poetyckiego.

A. POSTACI.

- | | | | |
|---|-------|---|-------|
| Charakterystyka
bezpośrednia, ze-
wnętrzna i we-
wnętrzna. | § 7. | Żeromski St., Ludzie bezdom-
ni. Swawolny Dyzio.
Sienkiewicz H., Janko Muzy-
kant. Janko | 12—13 |
| " | § 8. | Sienkiewicz H., Pan Wołody-
jowski. Setny chłop.
Sienkiewicz H., Ogniem i mie-
czem. Watażka | 13—15 |
| " | § 9. | Mickiewicz. A., Pan Tadeusz.
Ostatni klucznik Horesz-
kowa | 15—16 |
| Opis—charaktery-
styka. Opowiadanie. | § 10. | Sienkiewicz H., Ogniem i mie-
czem. Król i kanclerz | 16—18 |
| Charakterystyka
bezpośrednia i po-
średnia. | § 11. | Mickiewicz A., Pan Tadeusz.
Podczaszyc.
Niemcewicz J., Powrót pośła.
Szarmancki | 19—23 |

B. POSTACI I AKCJA.

- | | | | |
|---|-------|---|-------|
| Świat fantastyczny.
Forma dramatyczna. | § 12. | Słowacki J., Balladyna. Wio-
senne przebudzenie się
Goplany | 23—25 |
| | § 13. | Sienkiewicz H., Potop. Po-
jedynek Wołodyjowskie-
go z Kmicicem.
Sienkiewicz H., Ogniem i mie-
czem. Pojedynek Wołody-
jowskiego z Bohunem | 25—31 |
| | § 14. | Dębicki Zdz., Anno Domini.
Zawistowska K., Ksieni.
Konopnicka M., W zakrystji
na Murano | 32—34 |

- § 15. Askenazy Sz., Księżę Józef Poniatowski. Śmierć księcia Józefa.
Lemański J., Zgon księcia Józefa Poniatowskiego.
Dębicki Zdz., 1812—1912 . 34—37
- Historja i powieściopisarstwo. § 16. Sienkiewicz H., Legjony. Dąbrowski słucha Liwjusza nad jeziorem Trazymeńskim.
Smoleński Wł., Jan Henryk Dąbrowski. Dąbrowski w okresie tworzenia legjonów 37—42
- § 17. Wybicki Józef, Pieśń legjonów we Włoszech.
Wybicki Józef, Mazurek Dąbrowskiego 42—44
- § 18. Witkiewicz St., Jan Matejko.
Treść i istota polskiego sumienia.
Konopnicka M., Jeszcze Polska nie zginęła! 44—46
- § 19. Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Pogrzeb pana Longinusa Podbipięty.
Sienkiewicz H., Pan Wołodyjowski. Pogrzeb pana Wołodyjowskiego 46—51

C. CZYN I DZIAŁANIE.

- Podnleły, gra pobudek, cel, czyn, reakcja, działanie. § 20. Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Spowiedź Jacka Soplicy . 51
- Gra pobudek. Po- § 21. Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Walki duszne.
stanowienie. Sienkiewicz H., Potop. Sumienie 51—62
- W świecie zwierzęcym. Ptak — postacią główną. § 22. Wodzicki K., Zapiski ornitologiczne. Jastrząb gołębiarz.

Dygański A., W puszczy.
Życie i śmierć jastrzębia 62—72

D. ŻYCIE ZBIOROWE.

- | | | | |
|-----------------------------------|-------|--|---------|
| Zabawa. | § 23 | Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Polonez.
Orzeszkowa E. Nad Niemnem. Krakowiak.
Sienkiewicz H., Pan Wołodyjowski. Tańce w for-
talicji chreptjowskiej . | 72—79 |
| Walka. | § 24 | Sienkiewicz H., Potop.
Pierwsze spotkanie Li-
twinów ze Szwedami . | 79—84 |
| Historja i powie-
śćopisarstwo | § 25. | Sienkiewicz H., Potop. Pod
Warką.
Kubala L., Wojna szwedz-
ka. Bitwa pod Warką. | 84—91 |
| | § 26. | Konopnicka M., Raclawice.
Żuławski J., Raclawice . | 91—93 |
| Modlitwa Różnice
stylu. | § 27. | Mickiewicz A., Pan Tadeusz.
Najświętszej Panny
Kwietnej w Soplicowie.
Weyssenhoff J., Unja. Msza
w Wiszunach.
Reymont St., Chłopi. Na
świętego Piotra i Pawła
w Lipcach | 93—98 |
| | § 28. | Reymont., Opis pielgrzym-
ki na Jasną Górę. Na
Jasną Górę.
Sienkiewicz H., Legjony.
Legjoniści zbliżają się
do Rzymu | 98—103 |
| Praca. Na powierzchni
ziemi. | § 29. | Reymont St., Chłopi. Wio-
senne prace w polu. | |
| • W głębi ziemi. | | Żeromski St., Ludzie bez-
domni. Kopalnia. | |
| • Zdała od ziemi. | | Żeromski St., Ludzie bez-
domni. Fabryka cygar. | 103—112 |
| | § 30. | Kraszewski J. I., Caprea
i Roma. Pożar Rzymu. | |

Sienkiewicz H., Quo vadis.

Pożar Rzymu 113—120

E. PRZYRODA. KRAJOBRAZ.

Czynniki urozmaicenia krajobrazu: zmiany pór dnia, roku, zjawiska atmosferyczne; zwierzęta, siedziby ludzkie.

Krajobraz polny	§ 31	Orzeszkowa E., Nad Niemnem. Nad Niemnem.	
„ leśny		Sienkiewicz H., Sielanka. Obrazek leśny.	
„ górski		Witkiewicz St., Na przełęczy. W drodze na Zawrat	120—125
Wody bieżące.	§ 32.	Witkiewicz St., Na przełęczy. Potok górski. Orzeszkowa E., Nad Niemnem. Niemen	125—128
Wody stojące.	§ 33.	Żeromski St., Popioły. Staw w nocy. Żeromski St., Popioły. Staw o świcie	128—129
Szata roślinna i niebo.	§ 34.	Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Drzewa polskie i polskie niebo. Sienkiewicz H., Nervi. Droga do Nervi	129—133
Słońce.	§ 35.	Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Zachód słońca. Malczewski A., Marja. Zachód słońca. Sienkiewicz H., Nervi. Zachód słońca nad morzem	133—134
Działanie oświetlenia.	§ 36	Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Zamek o poranku. Sienkiewicz H., Słowacki—Heljos. Akropol o świcie. Wenecja. Swit nad Adrjatykiem	134—136
Zjawiska atmosferyczne. Zwierzęta	§ 37.	Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Burza	

	Reymont St., Chłopi. Bu- rza wiosenna.	
Przyroda i akcja.	Reymont St., Chłopi. Bu- rza letnia	136—141
Zmiany pór roku.	§ 38. Orzeszkowa E., Nad Niem- nem. Jesień nad Niem- nem.	
	Żeromski St., Ludzie bez- domni. Park jesienią .	141—144
	§ 39. Reymont St., Chłopi. Śnieg. Witkiewicz St., Na przełę- czy. Kurniawa	144—147
	§ 40. Orzeszkowa E., Ad Astra. Akt miłości	147
Siedziby ludzkie. Charakterystyka człowieka zapomo- cą otoczenia, śro- dowiska.	§ 41. Orzeszkowa E., Nad Niem- nem. Dwór korczyń- ski. Mickiewicz A., Pan Tade- usz. Dwór w Soplicowie i pokój Zosi. Weyssenhoff J., Puszcza. Wiejskie gniazdo. Prus B., Lalka. Mieszka- nie Łęckich	147—155

F. GŁÓWNE CHARAKTERY UCZUCIOWE SKŁADNIKÓW UTWORU.

Piękno—brzydota (krajobrazu).	§ 42. Krasiński Z., Przedświt. Z „Przedświtu“. Żeromski St., Ludzie bez- domni. Okolice kopalni.	154—155
Piękno—brzydota (postaci ludzkiej).	§ 43. Sienkiewicz H., Pan Woł- dyjowski. Ketling of Elgin. Sienkiewicz H., Quo vadis. Neron	155—156
Wdzięk (postaci ludzkiej).	§ 44. Mickiewicz A., Pan Tade- usz. Młoda Litwinka. Mickiewicz A., Pan Tade- usz. Zosia	156—158

Wzniosłość (krajobrazu).	§ 45. Mickiewicz A., Widok gór ze stepów Kozłowa Nowicki F., Tatry . . .	158—159
.	§ 46. Dobrowolski A., Wyprawy polarne. Fiordy podbiegunowe. Piękno pustyni lodowej. Rzeki Islandji . . .	160—162
Wzniosłość Boga.	§ 47. Kochanowski J., Hymn. Mickiewicz A., Arcymistrz.	162—164
Śmierć bez tragizmu. Tragizm.	§ 48. Tetmajer K., Ksiądz Piotr. Żeromski St., Siłaczka.	
Tragizm bez śmierci. Komizm.	Górski K., Bibljoman . . . § 49. Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Pan Zagłoba w drodze pod Konstantynów. Pan Zagłoba zdobywa sztandar	164 164—169 159
Humor.	§ 50. Prus B., Kamizelka . . .	159

ROZDZIAŁ II.

Kompozycja.

A. STOSUNKI SKŁADNIKÓW.

Zgodność (rozstrzelonych rysów krajobrazu).	§ 51. Tetmajer K., W lesie. Staff L., Niewinność . . .	169—171
Zgodność (tła z postacią).	§ 52. Słowacki J., W Szwajcarji. W Szwajcarji. II . . .	171
Kontrast.	§ 53. Konopnicka M., Nie miejże urazy. A jak poszedł... Mickiewicz A., Pomnik Piotra Wielkiego . . .	172—176
Kontrast i zgodność.	§ 54. Orzeszkowa E., Ogniwa .	176
Stopniowanie (rośnące) w opisie; w uczuciach i myślach.	§ 55. Zieliński G., Kirgiz. Pożar stepu. Asnyk A., Szkoda! Konopnicka M., Iskrę słońca masz...	

Stopniowanie i kontrast.	Słowacki J., Rozmowa z piramidami	177—180
Powtórzenie.	§ 56. Konopnicka M., Jak sen. Kasprówic J., Księga ubogich. XXXI	180—182

B. BUDOWA CZĘŚCI I CAŁOŚCI.

Czynniki jedności utworu. Początek, zakończenie.

Czynniki wyodrębniające poszczególne części i łączące je w całość.	§ 57. Mickiewicz A., Pan Tadeusz Ks. I, II, III, X, XI, XII. Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Rozd. I, II, III t. 1 i XXIX, XXX i epilog t. 2	182
Pogląd na świat w utworze.	§ 58. Mickiewicz A., Rozum i wiara. Prus B., Sen	182—184
Zgodność budowy rytmiczno-rymowej z układem treści.	§ 59. Mickiewicz A., Burza	184

C. TWORZYWO I UTWÓR.

§ 60. Homer, Iljada. Pieśń XVIII i VIII. Asnyk A., Thetys i Achilles	184—191
---	---------

CZĘŚĆ III.

Znaczenie przenośne utworów.	192—198
------------------------------	---------

§ 61. Mickiewicz A., Cisza morską. Ajudah. Asnyk A., Podczas burzy. Mickiewicz A., Przypowieść o okrętach	192—194
§ 62. Asnyk A., Limba. Konopnicka A., Obiełt nam...	194—196
§ 63. Sienkiewicz H., Legenda żeglarska	196—198

CZEŚĆ IV.

Rodzaje poetyckie. 199—206

Liryka. § 64. Zaleski B., Śpiewak tęskniący.

Konopnicka M., Fragmenty wiosenne III. . . . 199—201

Liryka i epika. § 65. Konopnicka M., Pieśń o domu.

Orzeszkowa E., Śmierć domu 201—202

Liryka i obraz dramatyczny. § 66. Asnyk A., Daremne żale. Orfeusz i bachantki 202—206

Poezja epiczna i dramatyczna. § 67. Mickiewicz A., Pan Tadeusz.

Fredro A., Zemsta za mur graniczny 206

CZEŚĆ V.

Stosunek wzajemny sztuk. 207—218

Poezja i malarstwo. § 68. Matejko J., Bitwa pod Grunwaldem.

Konopnicka M., Grunwald. 207—209

. . . § 69. Grottger A., Lithuania. Konopnicka M., Z teki Grottgera 209—213

. . . § 70. Malczewski A., Marja. Andriolli E., Ilustracje do Marji Malczewskiego 209

Poezja i śpiew. § 71. Weyssenhoff J., Unja. Święty Boże 214

Poezja i muzyka. § 72. Weyssenhoff J., Unja. Polonez Szopena.

Mickiewicz A., Pan Tadeusz! Gra Jankła na cymbałach. 215—218

CZĘŚĆ VI.

Znaczenie sztuki. 219—220

- | | | |
|------------------------------|---|-----|
| Działanie poezji. | § 73. Sienkiewicz H.; Latarnik z Aspinwallu | 219 |
| Działanie sztuki i jej rola. | § 74. Konopnicka M., Piosnka. Orzeszkowa E., Moment | |
| | § 75. Asnyk A., W dzień złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu. | |
| | Konopnicka M., Na śmierć Jana Matejki | 220 |

C Z Ę Ś Ć I.

ROZDZIAŁ I.

a. Djabeł i zboże.

§ 1. Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;
I rozkazał aniołom zboże przysposobić
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam: znalazł je, obejrzał zdaleka
I odszedł, bo nie wiedział, co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:
„Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,
„Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
„Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze“.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Napłwał i ziemią nakrył, i przybił kopytem;—
Dumny, rad, że Boże zamiary przeniknął,
Całym gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął,
Aż tu wiosną na wielkie djabła zadziwienie
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie!...
O wyl co tylko na świat idziecie z północą,
Chytróść rozumem, a złość nazywacie mocą,
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać—oszuka sam siebie.

b. Djabeł i zboże.

Gdy Adam, coś tam bardzo zgrzeszywszy podobno
Z swą połowicą nadobną,
Musiał być z raju uchodzić,
Bóg, który umie słuszość z litością pogodzić,

Stworzył zboże i wszędzie po drodze im rzucił.
Widząc to, djabeł bardzo się zasmucił.

Przejrzał on bowiem miłosierdzie Boże,
Że to z tego chleb być może,
Że się znajdują ludzie potem,
Którzy, gardząc djabła złotem,
Za narzędzie ucisku nie dadzą się użyć,
Woląc o suchym chlebie świętej prawdzie służyć.
A więc pobiegł drogą skrytą
I, tocząc wojnę z miłościwym Bogiem,
Wszystką pszenicę, jęczmień, owies, żyto
Zagrzebał pilnie do ziemi swym rogiem.
Mniemał, że wiecznie pozbawił nas chleba;
Ale właśnie to zrobił, co było potrzeba.
Z podziwem jego ziarno z ziemi wschodzi
I po dziś dzień chleb się rodzi.

⊙ wy, co w więzach trzymając narody,
Przyjaciół prawdy, światła i swobody
Grzebiecie z katowskimi pomocnikami swymi
Albo w wnętrznościach zamykacie ziemi!
Zniszczyć dar Boży, wszak o to wam chodzi,
Ale się na nic złość wasza nie przyda;
Wkrótce obfity plon ich wolność wyda
I właśnie z tych męczeńskich ziarenek się urodzi.

a. Kruk i lis.

§ 2. Bywa często zwiedzionym,
 Kto lubi być chwalonym.
 Kruk miał w pysku ser ogromny;
 Lis niby skromny
Przyszedł do niego i rzekł: „Miły bracie!
„Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.
 „Cóż to za oczyl
 „Ich blask aż mroczył
 „Czyż można dostać
 „Takową postać!
 „A pióra jakie!
 „Skłniące, jednakie!

„A jeśli nie jestem w błędzie,
„Pewnie i głos śliczny będzie”.
Więc kruk w kantaty¹⁾. Skoro pysk rozdziawił,
Ser wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.

b) Lis i kruk.

Usiadł na drzewie kruk z kawałkiem sera;
Postrzegł to lisek i wnet się przybiera
W minkę układną i w łagodnej mowie
Tak do kruka powie:
„Powabów wzorze,
„Piękności zbiorze,
„Ty, co wdziękami celujesz nad ptaki!
„O, gdybyś, panie, do piękności takiej
„Jeszcze śpiewać umiał,
„Wszystkichbyś zdumiał!”
Kruk, pochwałą napuszczony,
Chciał pokazać dźwięczne tony,
I, gdy coś miał zaśpiewać, ser z dziobu wypada;
Lisek, co na to czekał, porywa i zjada.
Głodno, chłodno, gdzie prawda mieszka przy rozumie:
Dobrze temu, bogatym kto pochlebiać umie.

a. Jagnię i wilcy.

§ 3. Zawždy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie.
Dwóch wilków jedno w lesie nadybali jagnię;
Już je mieli rozerwać. Rzekło: „Jakiem prawem?”
— „Smaczneś, słabe i w lesiel” Zjedli niezabawem.

b. Wilk i baranek.

Racja mocniejszego zawdy lepsza bywa:
Zaraz wam tego dowiodę!
Gdzie bieży krynica żywa,
Poszło jagniątko chlpać sobie wodę.
Wilk, tam naczczu nadszedłszy, szukając napaści,

¹⁾ jął śpiewać.

Rzekł do baraniego syna:

„I któż to zaśmielił waści,

„Że się tak ważysz mącić mój napitek?

„Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina”.

Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszytek:

„Ach, panie dobrodzieju! racz sądzić w tej sprawie

Łaskawie!

„Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,

Nie mogę mącić pańskiego napoju”.

— „Cóż! jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?

„Poczekaj, języku smoczy!

„I tak rokeś mię zelżył paskudnemi słowy“.

„Cysiam ¹⁾ jeszcze... i na tom poprzysiąc gotowy,

„Że mnie przeszłego roku nie było na świecie“!

— „Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,

„Dość, że tego jestem pewny,

„Że wy mi honor szarpiecie:

„Psy, pasterze i z waszą archandryją ²⁾ całą

„Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie;

„Muszę tedy wziąć zemstę okazałą“.

Po tej skończonej perorze

Łapes jak swego i zębami porze.

a. Nie jest mądrego mówić:

„nie rozumiałem”.

§ 4. W studnię, chcący się napić po pragnieniu długiem,

Lis i kozioł pospołu wpadł jeden po drugim.

W radę, lecz darmo: żaden wyjścia nie znajduje.

Naostatek kozłowi lis wyperswaduje,

Żeby się, jako może, wspiał na nogi zadnie,

A on, będąc na wierzchu, wyzwoli go snadnie.

Ale, skoro wyskoczy ³⁾ lis po rogach z wody:

„Gdybyś tyle rozumu w głowie, co masz brody,

„Nie lażyłbyś w studnię, wyjścia nie widzący—rzecze—

„Teraz czekaj mędrszego, że cię z niej wywlecze!”

¹⁾ cyslać — ssać. ²⁾ archandryja — gawiedź, zgraja. ³⁾ wysko-
czył.

d. Kozioł i lis.

Lis i kozioł do wilczej razem wpadli jamy.
Lis rzecze: „Stąd się dobyć chyba tak zdołamy:
„Ja drabinkę przyniosę, lecz na tylne nogi
„Stań wprzód: ja wyskoczę, na twe wlaższy rogi“.
Stało się. Lis wyskoczył — i wnet zmyka w knieję:
Ani jemu tam w głowie, co się z kozłem dzieje;
A ten wszystko drabinki czeka przyniesienia.
Głupi ten, kto na lisa czeka przyrzeczenia.

c. Lis i kozioł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu.
Chociaż wody nie było i nawet niegrząsko,
Studnia na półczwarta łokcia:
Za wysokie progi
Na lisie nogi.
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, żeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił:
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca wkoło zębem
A patrzy wgórę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda! Takiej nie piłem jak żyję!
„Smak lodu, a czysta cudniel
„Chce mi się całemu spłókać,
„Ale mi ją szkoda zbrukać,
„Szkoda!
„Bo co też to za woda!“

Kozioł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej! — krzyknął zgóry — ej! ty ryży kudła,
„Wara od źródła!“
I hop w dół. Lis mu na kark, z karku na rogi,
A z rogów na drąg — i w nogi.

a. Golono, strzyżono.

§ 5. Idący gdzieś mąż z żoną po ławce¹⁾ przez wodę,
Ujrzą chłopca bez brody, co ongi miał brodę.
„Ba, wej²⁾, jak się nasz sąsiad wygolił“, — mąż powie.
A żona: Wzdyc to ostrzygł, a to znać po głowie!“
Znowu ten: „Ba, ogolił“, owa: „Ostrzygł“ — rzecze.
Tak długo między nimi było owej przecze,
Aż od słów przyszło do rąk, aż ją zepchnął z ławy.
Już tonie, już się baba napija Rudawy,
Już i z głową pod wodą na dnie łowi śliże³⁾,
Przecie palcami, rękę ukazawszy, strzyże.

Gdy się o tej sąsiedzi dowiedzą przygodzie,
Bieżą na dziw, a widząc, że przeciwko wodzie
Mąż jej szuka, wszyscy w śmiech, a ten rzecze: „Szkoda
„Dziwić się: wszystkoć, prawda, na dół niesie woda,
„Lecz niewiasta, tak sprzeczna we wszystkim z natury,
„I po śmierci, rozumiem, płynęła do góry“.

b. Golono, strzyżono.

U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory,
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopca albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
Potrafią i podagrze,
I chiragrze, i głuchotom,
I suchotom, i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże
Niemasz na upór lekarstwa.

¹⁾ po kładce. ²⁾ patrz. ³⁾ małe rybki, płotki.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona,
Bo była wpół ogolona.

„O zbójel żeby ją skryli,
„Używając takich figli,
„Że biedaczkę wygolili!...“
„Powiedz raczej, że ostrzygli, —
„Robi mu uwagę żona —
„Bo psów nie golą, lecz strzygą“.
„A no patrzajcież bo mi go, —
„Odezwie Mazur z przekąsem —
„Jaka ty mi dyć uczona!
„Mając gołe jak pięść lice,
„Chcesz nauczać nas pod wąsem,
„Co jest brzytwa, co nożyce?
„A nasz pan, co mu łysina
„Przyświeca się, jak ta psina,
„Myślisz, że jest postrzyżona?...“
„A wąsiki ekonoma, —
„Odpowiada zaraz żona —
„Co mu wiszą jak u sosny,
„A błyszczą jak namaszczone,
„Sąć golone czy strzyżone?...“
„Bierz ci licho twego pana,
„I pana, i ekonoma!
„Dobrze, że suka jest doma,
„Choć też szpetnie ogolona“.
„Toć i jam się ucieszyła, —
„Odpowiada zaraz żona —
„Że się suka powróciła,
„Choć też szpetnie ostrzyżona“.
„Głupiaś z twemi nożycami!“
„I ty z twojemi brzytwami!...“
„Że golona, przypatrzże się!“
„Że strzyżona, pokaże się!“

Tak się kłóćą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
„Ogolona! ostrzyżona!“

Idzie sąsiad. „Niechaj przyjdzie
„Niech się wpatrzy i przekona!“
Idzie żyd. „Powiedzno, żydzie,
„Czy golona, czy strzyżona?“
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana:
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził,
Że wygrała męska strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony,
Czy wyroku treść pamięta.
Ona milczy jak zaklęta,
U progu suka ich wita:
„Pójdź tu, moja ogolona!“
Woła mąż. A kobieta:
„Pójdź tu, moja ostrzyżona!“

Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał,
Tylko, wzięwszy pod rękawki,
Wlecze ją wprost do sadzawki
I topi, jak kadź ogórków.
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi krzycząc: „A no teraz;
„Czy golona, czy strzyżona?“
Biedaczka ze śmiercią w walce,
Czując skonu paralize,
Wytknęła tylko dwa palce
I na odpowiedź palcami,

Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody,
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza
I tam przystał za żołnierza.

c. Żona uparta.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają strażę
Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże,
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,
Niedbale utrzewiczony
I źle urękawiczniony,
Myślą, że się chce topić;
A więc pełni zgrozy
Ratuja go od śmierci, a wiodą do kozy.

Taki to jakiś po Sekwany brzegu
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.

„Nieszczęście! — woła biedak — Pomocy! ratunku!
„Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
„Wpadła mi w rzekę“.

A na to żandarm mu rzecze:

„O, praw hydrauliki ¹⁾ nieświadom człowiecze!
„Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
„Ono zgóry wdół płynie wedle praw przyrody,
„A ty za żoną biegniesz przeciw wody?“

„Boć to ciało — rzekł szukacz — było w życiu dziwne,
„Zawždy wszystkiemu przeciwnie;
„I domyślać się mam pewne powody,
„Że popłynęło z rzeką przeciw wody“

¹⁾ hydrodynamiki, części fizyki, traktującej o ruchu cieczy; tu
praw ruchu cieczy.

ROZDZIAŁ II.

Myszka, kot i kogut.

§ 6.

Coby to była za szkoda!

O kąsek nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta, niewinna! Przypadek ją zbawił.
To, co ona swej matce, ja wam będę pawił.

„Rzuciwszy naszych pieczarów głębiny,

„Dopałam jednej zielonej równiny,

„Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi.

„Patrzę, aliści dwoje żywiąt siedzi.

„Jeden z nich trochę dalej z milczeniem przystojnem

„Łagodny i uniżony;

„Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:

„W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,

„Ogon, zadarty do góry,

„Lśniącemi błyskotał pióry,

„Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,

„Jakby go kto powykrawał.

„Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał

„Albo na powietrze dźwigał.

„Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,

„Ażem mu srodze naklena,

„Bo mnie z strachu drżączka wziena,

„Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała;

„Uciekłam tedy do jamy.

„Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,

„Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.

„Minka jego nie nadęta,

„I choć ma bystre ślipięta,

„Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.

„Jak nasze, taką samą robotą ma uszka.

„Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał.

„Mój duszka!

„Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi

„Tej przyjacielskiej usługi,

„Kiedy nagłego narobił kłopotu,

„Wrzasnąwszy na mnie z fukiem: „Kto to tu! Kto to tu?“

— „Stój — rzecze matka — córko moja luba!

- „Aż mrowie przechodzi po mnie:
„Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
„Kot bestyja, narodu naszego zagubał
„Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,
„I przyjdą może te czasy,
„Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
„A zaś kot nas może schrustał
„Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
„I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:
„Nie sądź nikogo po minie,
„Bo się w sądzie poszkapisz“.
-

C Z Ę Ś Ć II.

ROZDZIAŁ I.

a. Swawolny Dyzio.

§ 7. Mały Dyzio stał pośród sprawunków, nawalonych w przejściu między siedzeniami i, gwizdząc... przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurkiem, uwiązany do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególnie oczy, włosy i ręce przypominały rysia czy żbika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione, odsłaniały nogi, okryte krwią i mnóstwem siniaków.

b. Janko muzykant.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie, przepasanej krajką¹⁾, i w słomianym „kapalusie“, z pod którego obdartej kani²⁾ spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica³⁾, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka

¹⁾ odciętym brzegiem sukna. ²⁾ skrzydeł, runda u kapelusza.

³⁾ kobleta, śledząca u kogoś na komornem, nie mająca własnej chaty.

pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała „odmieńcem“. W ósmym roku chodził już jako potrzódka¹⁾ za bydłem lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i, jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Niewiadomo, skąd się to takie ujęło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł, tak już o niczem innem nie myślał...

a. Chłop setny.

§ 8. Młody pan Nowowiejski zmienił się wielce przez ostatnich lat kilka; bo najprzód wierzchnia jego warga już zacieniła się mocno wąsem krótkim, białych, wilczych zębów nie przysłaniającym, ale pięknym i kręconym. Po wtóre, zawsze chłop był duży, ale teraz rozrósł się prawie w olbrzyma. Zdawało się, że tak gęsta i zwichrzona czupryna tylko na tak ogromnej głowie rosnąć może, a tak ogromna głowa tylko w tak bajecznych barkach należyta znajduje podporę. Twarz miał zawsze czarną, wichrami spaloną, oczy jarzące, jak węgle; zawadjectwo jakby wypisane na twarzy. Gdy chwycił spore jabłko, ukrywał je tak łatwo w swojej potężnej dłoni, że mógł się w „zgaduj zgadula“ bawić, a gdy garść orzechów położył sobie na udzie i ręką przycisnął, to potem tabakę wydobywał. Wszystko poszło w nim w siłę, bo zresztą chudy był i brzuch miał wpadnięty, jedno piersi nad nim jak kaplicę.

Podkowy łamał z łatwością, niebardzo się naprężając; toż pręty żelazne żołnierzom na szyi zawiązywał, a wydawał się jeszcze większy, niż był w istocie; gdy stąpił, trzeszczały pod nim deski, a gdy przypadkiem o ławę zawadził, to szczapę z ławy odłupywał.

Słowem, był to chłop setny, w którym życie, zdrowie, odwaga i siła kipiały, jak kipi war w saganie, nie mogąc się

¹⁾ pomocnik pastucha.

w tak nawet ogromnem ciełe pomieścić. Zdawało się, że płomień ma w piersi i w głowie, i mimowoli patrzyłeś, czy mu się już z czupryny nie dymi. Jakoż dymiło się często, bo i do wypitki był dobry. Do bitwy szedł ze śmiechem, przypominającym rzenie końskie, i walił tak, że żołnierze po każdym spotkaniu wszystkie trupy jego oglądali, aby nadzwyczajne cięcia podziwiać. Zresztą od dziecka do stepu, stróżowania i wojny nawykły, mimo całej zapalczywości, czujny był i przezorny: znał wszystkie tatarskie fortele, a po panu Wołodyjowskim i Ruszczycu uchodził za najlepszego zagończyka.

b. Watażka ¹⁾.

Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał mołojca smukłego jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny, czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieżny, ale wogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadjackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także typowego mołojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan ²⁾ z cienkiej lamy ³⁾ srebrnej i czerwony kontusz ⁴⁾, którą to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach ⁵⁾, ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego kindżału ⁶⁾, zatkniętego za pas, którego głównia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wyso-

¹⁾ przywódca drużyny wojskowej albo bandy rozbójniczej kozackiej. ²⁾ suknię męską długą z wąskimi rękawami, w pasie przy biodrach ku tyłowi fałdowaną, zapinaną z przodu pod szyję na gęste haftki lub kostki i pętelki. ³⁾ tkaniny, przetykanej srebrem. ⁴⁾ zwierzchnią suknię, przywdziewaną na żupan (tur. kontosz, węg. kontös). ⁵⁾ paskach z taśmy albo sznurków. ⁶⁾ długiego noża obosiecznego (persk. chandżer).

kiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza, że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniere nie zdradzały niskiego pochodzenia.

Ostatni klucznik Horeszkowa.

§ 9. Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.

Wtem, spojrzawszy w bok, ujrzał o dwadzieścia kroków
Człowieka, który, równie miłośnik widoków,
Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
Zdawało się, że liczył oczyma kamienie.

Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy
Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów,
Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;
Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,
Marszczkami pooraną, posępną, surową.

Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął;
Ale od bitwy, w której dziedzic zamku zginął,
Gerwazy się odmienił i już od lat wielu

Ani był na kiermaszu, ani na weselu;
Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano
I uśmiechu na jego twarzy nie widziano.

Zawsze nosił Horeszków liberyję dawną:
Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną,
Który, dziś żółty, dawniej zapewne był złoty.

Wkoło szyte jedwabiem herbowe klejnoty,
Półkozice, i stąd też cała okolica

Półkozicem przezwawała starego szlachcica.

Czasem też od przysłowia, które bezustanku

Powtarzał, nazywano go także Mopanku;

Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał w szczerbach;

Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach

Niewiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,

Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.

I dotąd nosił wielki pęk kluczy za pasem,

Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.

Choć nie miał co otwierać, bo zamku podwoje

Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,

Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,

I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.
W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;
Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

Król i kanclerz.

§ 10. We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie siedziało wieczorem trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzących paliło się na stole pokrytym mapami, przedstawiającemi okolice, obok nich leżał wysoki kapelusz z czarnem piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka i para łosiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokiem poręczowem krześle siedział człowiek, mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę z długimi lokami, spadającemi na plecy i ramiona. Rzadki czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś razem z brodą wystawała silnie naprzód, nadając całej fizjonomji charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu. Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną martwością i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia, wesołości i gniewu mogły rzucać błyskawice, które niekażdy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie zaś malowała się w nich dobroć i łagodność.

Czarny ubiór, złożony z atlasowego kaftana i koronkowej kryzy, z pod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcję tej niezwyklej postaci. Wogóle mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w nim coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następca po bracie Władysławie.

Nieco zanim w półcieniu siedział Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński, człowiek niski, gruby, rumiany, z tłustą i beczelną twarzą dworaka, a naprzeciwko za stołem trzeci pan wsparty na łokciu patrzył na mapy, przedstawiające okolice, podnosząc kiedy niekiedy wzrok na króla.

Oblicze jego miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności, niż królewskie. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochoł nad czołem dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę Rzymskiego państwa, mówca i dyplomata, podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego.

Nadzwyczajne jego zdolności wcześniej zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześniej wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawą państwową, w obecnej chwili bliską ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo z wyjątkiem Rzeczypospolitej do bezpiecznej przystani pewną i spokojną ręką; każdemu innemu zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi... gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego naprzykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowany poza granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo długoletniej praktyki nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była skała, o którą rozbiły się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania—choć z jej przyczyny teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem—i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teorii zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski.

Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nie tylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundjom ¹⁾, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa.

Wstał ze stepów Chmielnicki i urósł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwały się klęski Żółtych Wód, Korsunia i Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogą, krymską potęgą. Grom padał za gromem—pozostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by móc w przyszłości z niego korzystać—a kanclerz, zapatrzonej w swą myśl, jeszcze paktował i zwłóczył—i wierzył jeszcze—nawet Chmielnickiemu.

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorje; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są wprost oczekiwanym przeciwne—aż wreszcie przyszedł Zbaraż i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, goryczy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i klęsk ludzie, których wiara w siebie jest silniejsza nad wszelkie klęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale kto z obawy, by skała, leżąca na skłonie góry, nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzy się z siłami, ten przyspieszy tylko jej upadek. Kanclerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący, straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych—wzajem i na niego zwracały się wszystkich oczy, jako na sprawcę wojny, klęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tem bardziej, że głos powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu—obwiniął i jego samego narówni z kanclerzem.

¹⁾ Wielkim dobrom ziemskim.

a. Podczaszyc ¹⁾).

§ 11. Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,
Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie ²⁾
Przyjechał pan Podczaszyc na francuskim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem ³⁾,
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stała Podczaszyc dwukonna dryndulka,
Która się po francusku zwała karyjulka.
Zamiast lokajów w kielni ⁴⁾ siedziały dwa pieski,
A na kozłach Niemczysko chude nakształt deski;
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki;
Peruka z harbajtelem ⁵⁾, zawiązanym w miechu.
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopci żegnali się, mówiąc, że po świecie
Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie.
Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo;
Dosyć, że się nam zdawał małpą lub papugą
W wielkiej peruce, którą do złotego runa ⁶⁾
On lubił porównywać, a my do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest, niż obcej mody małpowanie,
Milczał, boby krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza.
Taka była przesądów owoczesnych władza!

Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować:
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni

¹⁾ syn podczaszego, pierwotnie jednego z urzędników dworu królewskiego; w czasach późniejszych był to tylko tytuł honorowy. ²⁾ na Litwie. ³⁾ jeden z rzadszych gatunków ptaka drapieżnego z rodziny sokołów, używany w Polsce do łowów. ⁴⁾ rodzaju skrzyni na drobne pakunki pod siedzeniem woźnicy lub na tylnej części pojazdu. ⁵⁾ pętkiem włosów z tyłu peruki (z niem. Haarbeutel). ⁶⁾ runo — skóra pokryta wełną; złote runo — w podaniu greckiem skóra cudownego barana, po którą bohaterowie greccy (Argonauci od imienia budowniczego okrętu) zrobili wyprawę.

Zrobili wynalazek, iż ludzie są równi ¹⁾.
Choć o tem dawno w Pańskim pisano zakonie,
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.
Podczaszyc mimo równość wziął tytuł markiza.
Wiadomo, że tytuły pochodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł markiza.
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam markiz przybrał tytuł demokraty,
Wreszcie z odmienną modą pod Napoleonem
Demokrata przyjechał z Paryża baronem.
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą ²⁾
Z barona przechrzciliby się kiedyś demokiatą,
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

b. Szarmancki.

Szarmancki i Walery.

SZARMANCKI (ufryzowany, z wielkim halsztukiem, we fraku
eleganckim rzuca się na Walerego i całuje go).
Pozwól się, przyjacielu, na łono twe rzucić,
Ucałować, przypomnieć tej przyjaźni świętej,
W młodych leciech w konwikcie tak czule powziętej,
Wiek minął, jakeśmy się z sobą rozdzielili.
Panowie tu na nowo Polskę przerobili,
Ledwie ją poznał, kiedym wrócił z zagranicy.
Lecz jakto? lato całe strawiłem w stolicy,
Nigdzie nie spotkać!

WALERY.

Mocno tego żałowałem.

Moje zabawy, domy, które uczęszczałem,
Może, że nie te były, kędyś Waćpan bywał.

¹⁾ 26 sierpnia 1789 Francja rewolucyjna ogłosiła Deklarację praw
człowieka, której pierwszy artykuł brzmiał: „Ludzie rodzą się i żyją
wolni oraz równi w prawach”. ²⁾ zmianą.

SZARMANCKI.

Wtenczas u Kolsonowej najwięcej przebywał
W ulicy Ujazdowskiej. Wpółród pracy takiej
Jakżeś też nie wyjechał i razu na raki?

WALERY

Prawdziwie, że się tego nieskończenie wstydzę,
Lecz słodzę stratę, kiedy dziś Waćpana widzę.
Jak długo odwiedzałeś waćpan cudze kraje?

SZARMANCKI.

Rok tylko, alem przejął wszystkie ich zwyczaje.
Prawdziwie, już nie mogłem w ojczyźnie usiedzieć
Naprzód ojciec mi kazał w sprawach się swych biedzić,
Jeździć po trybunałach. To śliczne zabawy!
Wolałem przegrać dobra, niż pilnować sprawy.
W rok zdało mu się oddać mnie do gabinetu.
Porzuciłem: nie umiem dochować sekretu.
Dalej, probując mojej w żołnierce ochoty,
Nabył dla mnie chorągiew w rejmentcie ¹⁾ piechoty.
I to mi się sprzykrzyło. Przecież Opatrzności
Zdało się ojca mego przenieść do wieczności!
Zobaczywszy się panem znacznego majątku,
Z radości nie wiedziałem, co robić z początku.

(poprawiając halsztuka i desynując się ²⁾)

To prawda, że Bóg człeka stworzył dosyć ładnie.
Żeby jednak wykształcił figurkę dokładnie,
Chciałem Paryż odwiedzić. Dobra więc dzierzawą
Puściwszy, rozstałem się z kochaną Warszawą.

WALERY.

To się Waćpan podówczas w Paryżu znajdował,
Gdy rewolucja, gdy się ów zapal zajmował?

SZARMANCKI.

To mię też zamieszanie z Francji wypędziło.

¹⁾ Regiment — nazwa jednostki w organizacji dawnego wojska polskiego, odpowiadającej pułkowi. ²⁾ wdzielając się.

WALERY.

Właśnie wtenczas w tym kraju zostać się godziło,
Patrząc na naród dzielny, długo uciskany,
Który poznawał siebie i rwał swe kajdany;
Jak na gruzach tyranji wyniósł rząd swobodny,
Był to widok człowieka rozsądnego godny.
Pewnieś się Waćpan starał widzieć i być wszędy,
Zważałeś ich ustawy, a nawet i błędy.

SZARMANCKI.

Wyznam Waćpanu, nie wiem, co się z niemi stało,
Bo mnie wszystkie ich czyny obchodziły mało.
Dziękuję za tę sławną i wolność i trudy,
Nie uwierzysz, w Paryżu jakie teraz nudy.
Nic na świecie tak wielkiej nie nagrodzi szkody!
Panienek ani ujrzysz, teatru, ogrody,
Bulwary i foksale ¹⁾ są prawie bez ludzi;
Człowiek nie ma co robić, cały dzień się nudzi.
Raz pamiętam, wyszedłem kupować guziki
Do ponsowego fraka; kupcy, czeladniki,
Jakgdyby ich umyślnie obrano z rozsądku,
Na warcie strzegli w mieście dobrego porządku.
Tak mię to rozgniewało, żem się wraz zawinął
I czem prędzej przez Kale do Anglii popłynął.

WALERY.

Przynajmniej ten kraj sławny, tak rozsądnie wolny,
Zastanowić uwagę Waćpana był zdolny.
Rząd jego, rękodziela i ustaw tak wiele
Dłużej go zatrzymały.

SZARMANCKI.

Trzy tylko niedziele
Bawiłem w Anglii: srodze powietrze niezdrowe.
Kupiłem dwie par sprzączek i szpadę stalową;
Byłem na parlamencie; tak jak u nas, krzyki,
Lecz zato co za sklepy, łańcuszki, guziki!

¹⁾ miejsca zabaw za miastem (z ang. Vauxhall).

Kursa koni! to w świecie najlepsza ustawa.
Ach przyjacielu! co to za szczęście, zabawa!
Tych się cudzoziemcowi opuścić nie godzi.
Co to za dziwowisko! Człek w głowę zachodzi,
Nie możesz pojąć, jeden za drugim jak leci,
Na takich koniach ot tak prawie małe dzieci.
Pamiętam, dnia jednego, śmiech mię bierze pusty,
Angielczyk jeden z małą peruczką i tłusty,
Przegrał niezmierny zakład; w zapalczwym gniewie
Chciał koniowi w łeb strzelić; przypadam szczęśliwie,
Daję sto funtów i tak od śmierci niebogę
Uwalniam biedną klaczkę gniadą białonogę.
Potem, fraszek kupiwszy moc na darowizny,
Powróciłem nareszcie do matki ojczyzny.

Wiosenne przebudzenie się Goplany.

§ 12. (Las. Widać jezioro Gopło. Skierka i Chochlik
wchodzą).

SKIERKA.

Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

CHOCHLIK.

Śpi jeszcze w Gople.

SKIERKA.

I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją w jezioro
Tak, że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków?

CHOCHLIK.

Zanadto skoro
Zbudzi się jędra i będzie
Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołędzie
Wkładać jaja motylic — to pomagać mrówkom,
Budującym stolicę, i drogi umiać,

Do mrownika wiodące... to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki.
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Naprzekór ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągłe trąbić do ucha naukę: „Nie kradnij!”
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.
Pracuj, jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopca za brudnym przypieckiem
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem!

SKIERKA.

Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku!

(patrzy na jezioro).

Ach, patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieszony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie.
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach, czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki,
Czy się na powietrzu kładnie,
Czy dłonią na kwiatkach się wieszał!

CHOCHLIK.

Ona ma wianek na głowie...
Czy to kwiaty, czy sitowie?

SKIERKA.

O nie... to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki.
Tak powiązane za nóżki,
Kiedyś, w jesienny poranek
Upadły na dno rzeczutki.
Rzeczutka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany
Na złote włosy Goplany.

CHOCHLIK.

Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany,
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać.
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi, lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

SKIERKA.

Więc uciekaj... ja się bawię...
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka...
Ożyły — pierzchły — i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha
Zadziwiona stoi, słucha;
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych, nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć, skąd mu latać.
Goplano! Goplano! Goplano!
(Wchodzi Goplana).

a. Pojedynek Wołodyjowskiego z Kmicicem.

§ 13. Świtło już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistym pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna—rzekł pan Wołodyjowski—ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie—zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty—a skoczyć po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie, i po jakimś czasie blisko pięćdziesiąt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt¹⁾!

A Kmicic odparł odrazu:

— Pułkownika chowają; to i pompa być musi.

— Srogi smok z waścił...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokoło rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone osuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był, jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicic.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął jakby z niechęcia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmicic atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę wtył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko ochronić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok wtył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz, próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty przemówił:

¹⁾ orszak pogrzebowy.

— Pogawędźmy — rzekł, — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... widać tam sami musicie groch młócić, bo waćpan machasz, jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliż to naprawdę w Orszańskim najlepszy? Ten cios jeno u pachotków trybunalskich w mo-dzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędać. Zważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodujowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i, nim patrzący zrozumieli, co znaczy „podnieś” — już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodujowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyluskiwać szablę.

Kmicic stał blady z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i, ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już gotów był do skoku, już pan Wołodujowski, przysunawszy rękojęść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na strasznego przeciwnika.

Szmery głośnie poczęły się zrywać w kole patrzących, i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrывały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza na mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą, i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął z za pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów¹⁾. Kmicic pieniał się, rzeził, na koniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodujowski.

¹⁾ Szerokich spodni.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł Wołodyjowski — nie padł nawznak!

I, zagiąwszy połą Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

b. Pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła wśród zarośli i głogów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postracał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czarniała, jakby wstęga kiru, het przez puste pola, aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy piaszczyste, ciągnące nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku owym wydmom.

— Tam się zatrzymamy! — rzekł Zagłoba.

— Zgoda! — odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, наконец zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość Boską, Panie Michale, starajże się! W twoich teraz rękach los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady!

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło... Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładysz może skakać, jak cyga¹⁾ Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się! — rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha! }

— Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

— Cięta jakaś sztuka ten wasz kozak — szepnął — tak

¹⁾ Bąk, fryga.

sobie z nami poczyną, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazja! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzeć!

— El! — rzekł Zagłoba — prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkolem, Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie. Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy; poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać i widać było, że sprawy nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najślawniejszym, o którym lud pieśni śpiewał, i którego imię — jak Ruś szeroka — aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał: albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrzawszy Zagłoba aż przeląkł się.

— Traci fantazję! — pomyślał — już po nim, a zatem i po mnie!

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest — rzekł — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach — następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakże marnie wyglądał mały pan Michał przy rośłym i silnym atamanie! ¹⁾ prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś kozaka, na olbrzymie muskuły, widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła mu się tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi

¹⁾ dowódcy kozaków.

sięgać; i szabla drgała mu w ręku — oczy drapieżne utkwili w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycji.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże, zaczynajcie!

Świsnęły szable, i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskoczył wtył kilka kroków, i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć — zdało się im, iż pan Michał całkiem jest niemi otoczony, pokryty, i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zlały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarz. Furja watażki wzrastała; ogarniał go dziki szal bojowy, i parł przed sobą Wołodyjowskiego jak huragan — a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bezustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola, i chwycił szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawał pod ostrze, odbijał i znów się zaślaniał, i jeszcze się cofał, oczy utkwili w oczach kozaka i wśród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sielicy i Charłamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel.

Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmy, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad gracze — pomyślał — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale upór podniecał tylko jego wściekłość; kły błysnęły mu z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle, poczuwszy za sobą wydmcę, zebrał się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł — rzucił całą swoją osobą niby kamieniem w pierś kozaka

— Atakujel — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakujel — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz, poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak żwawo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynął się rozgrzewać — małe oczki sypały iskry, przysiadł się i zrywał, zmieniał w jednym mgnieniu pozycję, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! mistrz! — zawołał Zagłoba.

— Zginiesz! — ozwał się nagle Bohun.

— Zginiesz! — odparł jak echo Wołodyjowski.

Wtem kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

— Jezus, Marja! — krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie, i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się, jak dziki kot, i całą niemal długością ostrza ciął straszliwie w odkrytą pierś kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatnim wysiłkiem dał ostatnie pchnięcie, pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochyłony łeb — szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna, i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eljaszeńko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

a. Anno Domini ¹⁾).

§ 14. Benedyktyńska cicha praca
Pergaminowy skrypt ²⁾ wzbogaca...
W klasztornej celi, w słodkiej ciszy
Mnich czas, kroczący wolno, słyszy,
Słyszy, jak puka w drzwi i w ściany,
W rękopis patrzy malowany,
Kędy od złota i purpury
Cudowne błyszczą minjatury ³⁾).

Przez pochylone ramię młnsze
Patrzy ⁴⁾, jak ręka starca pisze:
„Pańskiego roku tysiąc dwieście
„Zaraza była w naszym mieście,
„Z wyroków Bożych znagła wszczęta,
„Pokotem brała pacholęta,
„Ubogie głód pustoszył wioski,
„Nieodwrócony dopust boski.

„Aż ksiązę, pan mój i wódz męski,
„Ku zażegnaniu wielkiej klęski
„Fundował klasztor nasz w tem mieście
„Pańskiego roku tysiąc dwieście.
„Na pierwszy dźwięk naszego dzwona
„Zaraza była odwrócona,
„A w ziemi tajne drgnęły siły,
„I pola bujnie obrodziły.

„Niebo pogodne miało lice,
„Zazieleniły się winnice,
„Oliwne słodko kwitły gaje,
„A z krajów, kędy słońce wstaje,
„Przebywszy morskich wód odmęty,
„Ładowne zbożem szły okręty,
„I radość wielka była w mieście
„Pańskiego roku tysiąc dwieście.

¹⁾ roku pańskiego. ²⁾ zeszyt zapisany, rękopis. ³⁾ w dawnych rękopisach głoski początkowe, ozdabiane malowanemi kwiatami, liśćmi i t. p. (z włosk. minjatura od farby minia). ⁴⁾ czas patrzy.

„A klasztor rósł na chwałę Bożą,
„Murów oplótnięszy się obrozą...
„Płynęły lata jako woda,
„W modlitwie była tu ośłoda,
„A w zbożnej pracy treść żywota.
„Jako jedyna prawda złota,
„Co ziemię z niebem w jedno sprzęga,
„Niech świadczy o tem ona księga“.

Powoli w ciszy, w celi białej
Mnich od starości posiwiał,
Nad pergaminem chyląc głowę,
Spisuje dzieje przedwiekowe.
Illuminuje ¹⁾ lśniąca skórę,
Tu cudną kładzie minjaturę,
Ówdzie inicjał ²⁾ piękny tworzy
Ku nieśmiertelnej chwale Bożej.

b. Ksieni.

Na marginesach sztywnych psalterzy
Ksieni szlak zdobny okrasza złotem,
Barwi strzelistych lilij opłotem,
Jasnością skrzydeł anielskich śnieży.

Na marginesie sztywnych psalterzy
Dostojnych Magów zgrzybiałe ręce
Pieszczą różane ciało dziecięce,
Rozśmiane oczom, jak owoc świeży.

Na marginesach sztywnych psalterzy
Uczona ksieni dłoń spiera białą
I usta wtula w różane ciało,

Rozśmiane oczom, jak owoc świeży...
I po złożonych kart pergaminie
Bolesne srebro łez cichych płynie.

¹⁾ ozdabia farbami (z łac. illuminare). ²⁾ duża litera ozdobna, zaczynająca dzieło lub rozdział (z łac. initialis=początkowy)

c. W zakrystji na Murano.

Stary, dębowy pulpit, stara na nim księga,
Przed pulpitem mnich siedzi, podparty w zadumie,
Gałąź akacji, w cichym chwiejąca się szumie,
W otwarte okno bije i do wnętrza sięga.

Na mozaikach podłogi leży słońca wstęga,
Pszczoła brzęczy i tonie w gwiazdzistym arumie,
Morze gra, niby organ w odległym gdzieś tumie ¹⁾,
Traw skoszonych woń bije ożywcza i tęga.

Mnich głowę podniósł, oko wypuścił daleko,
Patrzy w lazur słoneczny zmrużoną powieką,
Na usta mu powraca młodości pieśń złota...

A pątnik, co tu przyszedł oglądać Madonnę,
Widział cud! Widział serce kwitnące i wonne
Na kolczastej gałęzi zeschniętego żywota.

a. Śmierć księcia Józefa.

§ 15. Wstał zimny, pochmurny ranek 19 października.
Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nad-
rzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesyciała opara-
mi świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzie niegdzie, przejmuj-
ącym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się
przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabi-
nowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było wi-
dzieć. Już cała prawie armja na drugą stronę przeszła, kiedy
wtem, po 11-ej z rana, przedwcześnie wysadzony został w po-
wietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Jó-
zef, mając przy sobie kilkuset ledwie ludzi, nagle został od-
cięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia
lipskiego Borny na czele szczupłej eskorty kirasjerów i kra-
kusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyralje-
rów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał po-
strzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał.
Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski
i inni wobec zamkniętego odwrotu i niemożności dłuższej obro-

¹⁾ kościele katedralnym, katedrze.

ny błagali go, aby się poddał, osobę swą dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, napół przytomny; odpowiadał na wszystko: „Trzeba umrzeć mężnie“ (il faut mourir en brave). Rzucił się wpław do Pleissy, ale, już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili, gdy uwalniał się od tonącego konia, i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył księżę dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędzie napełnione tyraljerką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok, słaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty nawylot, osuwa się z konia i po krótkiem pasowaniu się—znika pod wodą. Tak .. umarł Józef ks. Poniatowski.

b. Zgon księcia Józefa Poniatowskiego.

Napoleona broniąc arjergardy ¹⁾,
Pełen dla śmierci i dla życia wzgardy,
W ranach, choć mdlejąc i chociaż krwią brocząc,
Walczył wódz — księżę, z wrogiem się szamocząc.

Polska, choć cesarz umknął z placu boju,
Do ostatniego niech walczy naboju.
Niech wroga szablą spęklą żga po żebrze,
Póki sił, i niech... pardonu ²⁾ nie żebrze.

Kłęska! Nad wojskiem bolejąc pobitem,
Pchnął ranny księżę konia do Elstery,
Wezbranej mętne, wzburzonem korytem,

¹⁾ straż tyłnej (z franc. arrière-garde. ²⁾ przebaczenia, prośby darowanie życia (z franc. pardon).

Wpadł i jak junak rozstał się z tym bytem.
Gdy go dobyli bracia bohaterzy,
Duch zeń już uszedł w niebieskie etery.

c. 1812 — 1912.

Przez rdzę zjedzona stara szpada
I oficerski mundur dziada,
I szlifa na nim wpół oddarta—
W łachmanach, w strzępach dziejów karta...

Przechowywana z czcią w rodzinie,
Krwia wspomnień żywych jeszcze płynie
I ogromnego krzyku szuka
W niesytym bólu, w łzach prawnuka...

Za oknem huczy wiatr i burza,
Z przeszłości słońce się wynurza
I nieśmiertelną chwałą świeci
Na krwawem niebie dwóch stuleci...

Na ścianie błyszczy stara szpada,
W łachmanach, w strzępach mundur dziada...
W daleką wizję patrzą oczy,
We mgle postaci rój się tłoczy...

Grzmi bębnow łoskot... Gwardji starej
Świetne rozwiały się sztandary,
Za pułkiem pułk, od złota lśniące,
Zwycięskim szlakiem idą w słońce...

W litewskich borach trąbka dzwoni,
Jadą ułani lekkokonni,
W tętnie kopyt, w armat skrzypie
Wiosna im drogę kwieciami sypie...

Cerkiewne głucho biją dzwony,
W proch upadł Smoleńsk zwyciężony,
Pożarów łuny błyszczą wdali —
To Moskwa dworce swoje pali...

W łachmanach, w strzępach mundur dziada
Stu bitew dzieje opowiada,
Umarłych wspomnień wskrzesza zgliszcze,
Za oknem huczy wiatr i świszcze,

Kurzawa śnieżne sypie kopce,
A na dalekie drogi obce
Wychodzi smutna dusza wnuka
I śladów sławy w zaspach szuka...

a. Dąbrowski słucha Liwjusza¹⁾ nad jeziorem
Trazymeńskim²⁾.

§ 16. Na tarasie uciszyło się, bo jednak wszyscy ciemkawi byli usłyszeć nad Trazymenem opis trazymeńskiej bitwy. Zdala dochodziły tylko głosy wartowników. Niebo nad tarasem nabite było gwiazdami; w powietrzu wielki spokój.

Marek spojrzął naprzód na rozświetloną toń jeziora, którą widać było doskonale, następnie na lampy, koło których kręciły się ćmy nocne, i począł czytać wzruszonym, młodym głosem, co następuje:

„Przybywszy do jeziora poprzedniego dnia o zachodzie słońca, Flaminius ruszył nazajutrz naprzód, zanim pierwszy brzask rozwidnił okolicę, i nie wysławszy dla jej rozeznania żadnych podjazdów. Gdy po przejściu wąwozów kohorty³⁾ na szerszej nieco równinie poczęły się rozwijać, spostrzegł tylko tych nieprzyjaciół, których miał przed sobą. Zasadzki ztyłu i nad głową uszły całkiem jego bacności. A wtem Kartagińczyk, ujrawszy, że stało się, czego sobie życzył, i widząc Rzymian, zamkniętych między górami i jeziorem, a zarazem otoczonych przez swe wojska, daje znak wszystkim naraz do ataku. Ci pędzą wprost, jak komu najbliżiej. Mgła, gęstsza w dolinie, niż na wzgórzach, czyni ów atak

¹⁾ Titus Livius (59 przed Chr. — 17 po Chr.) historyk rzymski, autor „Historji rzymskiej”, z której doszło do nas tylko 35 ksiąg, obejmujących dzieje Rzymu od założenia miasta do 168 r. przed Chr.

²⁾ jezioro Trazymeńskie we Włoszech środkowych. Tu 217 r. przed Chr. Hannibal pobił konsula Gajusa Flaminiusa w czasie drugiej wojny punickiej (218—201). ³⁾ oddziały plectoty, odpowiadające dzisiejszym bataljonom.

bardziej nagłym i niespodziewanym. Kartagińczycy, rozstawieni na wyniosłościach, widzą się lepiej i pędzą wdół jednocześnie. Rzymianin tylko z krzyków, rozlegających się ze wszystkich stron, poznaje, że jest otoczony. Bitwa, nim legjonista zwał się w szyki, nim za broń chwycił, nim wyciągnął miecze, rozpoczyna się z przodu, z boków, z tyłu.

Wśród ogólnego przerażenia sam tylko konsul serca nie traci, a gdy w zmieszanych szeregach każdy zwraca się w tę stronę, z której dochodzą wrzaski najsrozsze, on, o ile może, zbiera żołnierzy, ustawia szeregi, napomina, rozkazuje stać twardo i walczyć mężnie. „Nie czas — woła — ślubować, nie czas błagać bogów: siła tylko i odwaga może was zbawić. Drogę przez nieprzyjaciół toruje jeno żelazo, a im mniej bojaźni, tem ratunek pewniejszy“. Niestety, wśród wrzasku i skrzętu nie słyszano ni rad, ni rozkazów. Żołnierz nie mógł odnaleźć swego znaku, swego szeregu, swego miejsca. Przytomności starczyło ledwie do chwycenia za broń. Niektórym zbroja raczej brzemieniem była, niż obroną. W głębokim mroku słuch służył lepiej od oczu. Więc zwracali wzrok i oblicza w stronę, skąd szły jęki rannych, dźwięk zderzających się zbroi, okrzyki triumfu i trwogi... Tym, co uciekali, zagradzał drogę zbity tłum żołnierzy, tych, co wracali do bitwy, porywał prąd uciekających. Więc, gdy na nic był wszelki wysiłek, gdy z jednej strony góry, z drugiej jezioro, a z tyłu i z przodu nieprzyjaciół — rozumiał Rzymianin, że zbawienie jeno w prawicy i w żelazie. Zaczem nowa rozszałała bitwa: nie taka w ordynku, którą rozpoczyna prymak ¹⁾, a toczą dalej włócznicy i groźne trzeciaki, i nie taka, w której przedchorągiewni biją się w przodku znaków, a za nimi uderza szyk główny, ale bezładna, gdzie żołnierz, walcząc nie w swoim legjonie, nie w swej kohorcie i rocie, sam sobie przewodnikiem i wodzem. Tak wielka zaś była zaciekłość wojsk obu, że nikt nie odczuł strasznego trzęsienia ziemi,

¹⁾ Szyk rzymski manipularny (manipule od 60 do 120 ludzi) składał się z trzech linii bojowych: pierwszą tworzyli najmłodsi żołnierze „kopińnicy“ (hastati), drugą oddziały starszych i doświadczniejszych wojowników „celniejszych“ (principes). Trzecią linią składała się z mniejszych o połowę oddziałów weteranów, „trzeciorzędowych“ (triarii) zbrojnych w włócznie (pilum). Hastati i principes nazywali się antesignani, jako poprzedzający sztandary (signa), oddane pod opiekę triarii.

które zburzyło mnóstwo miast w Italji, góry zrównało z ziemią, odwróciło biegi rzek i wepchnęło w ich koryta fale morskie. „

● Marek odetchnął i przerwał, nie wiedząc, czy ma czytać dalej. Słuchali w skupieniu oficerowie; mniej biegły w łacinie Kniaziewicz pochylił głowę i otoczył dłonią ucho, by żadnego słowa nie stracić, pułkownika Gautier'a, który był w czasie czytania zasnął, zbudziła cisza, więc począł pykać ze zgasłej fajki, a wreszcie zabrał głos Dąbrowski.

Po francusku już, lubo niezbyt poprawnym językiem, jął opowiadać o śmierci konsula z ręki usumbryjskiego jeźdźca i o ostatniej klęsce Rzymian. Wywołana opowiadaniem złowroga, ale olbrzymia postać Hannibala stanęła jakby żywa przed oczyma słuchaczy, okrutna, nieubłagana, zwycięska. Dąbrowski mówił dalej:

— Nie był to jenjusz, jak Aleksander lub Cezar, albowiem brakło mu wzniosłych pomysłów, które zmieniają życie człowieczeństwa, ale i Aleksander, i Cezar, gdyby im przyszło z nim walczyć, mogliby byli bitwy przegrywać. Nie umiał może myśleć i czynić planów na dłuższe lata, ale natomiast na placu wobec nieprzyjaciela nikt nie zdołał mu wyrównać. Wspomnijcie, że po bitwie trazymeńskiej przyszły Kanny.

— Tak, jenerale—przerwał Tremo—a jednak na Rzym po Kannach nie uderzył i Rzymu nie zburzył.

— „Umiesz zwyciężać, Hannibalu, korzystać ze zwycięstwa nie umiesz“ — zacytował słowa Maharbala ¹⁾ Drzewiecki. Poczem dodał:

— Hannibala mogę podziwiać, ale nie mogę się do niego przekonać.

— Przekonać się trudno,—odpowiedział Dąbrowski—albowiem brakło mu nietylko wzniosłych pomysłów, lecz i wspańiałości. Nigdy mu serce nie zadrgało miłosierdziem, nigdy dobrocią. To dusza innej rasy. Ale tę swoją Kartaginę kochał jednak do ostatniego tchu życia, i gdy nadeszła chwila, w której zrozumiał, że na nic trud i cel życia, na nic niesłychane zwycięstwa, że Rzym, tylekroć przez niego zdeptany, triumfuje, a ojczyzna ginie i zginąć

¹⁾ dzielnego podkomendnego Hannibala. Słowa z XXII ks. 51 rozdziału Historji: „Vincere scis, Hannibal, victoria uti nescis“.

musi, wówczas był to człek chyba najbardziej nieszczęsny na ziemi. Widzę go oto jako tułacza na obcej ziemi — po Zame¹⁾ — i schylam przed nim głowę, chociaż na Kapitolu nie był i Rzymu nie zburzył.

To powiedziawszy, umilkł i dopiero po chwili rzekł.

— Ale już późno, więc może pójdziemy rzucić okiem na dawne pole bitwy.

Ruszyli wszyscy z wyjątkiem pułkownika Gautier'a, który odezwał się z żołnierskim humorem:

— Mój jenerale, Hannibal mógł być wielkim wodzem, ale w Rzymie nie był, a ja byłem, więc idę spać.

I, przyłożywszy palce do skroni, zawrócił na miejscu i poszedł do swojej kwatery.

A oni udali się nad jezioro i szli wolnym krokiem, mając przed sobą i za sobą po pięciu żołnierzy. Księżyc wysunął się już z poza Apenin, rozświetlił kortońskie wzgórza i położył się szerokim srebrnym mostem na cichej toni. Noc była jasna jak dzień, żadnego powiewu, i mgły, zwykłe nad Trazymenem, nie przesłaniały widoku. Na tle skąpanych w białym niemal blasku zboczy rysowały się czarne wpadliny i wąwozy, w których czaili się swego czasu Kartagińczycy. Oficerowie to zatrzymywali się chwilami dla rozmowy, to szli dalej, rozglądając się dookoła. Niejeden mówił też sobie w duszy: „Hej! gdzieśmy to doszli! Śladami Hannibala aż nad trazymeńskie wody“. I tak myśląc, spoglądali na migające w oddaleniu ogniska polskich biwaków.

Dąbrowski znów zabrał głos, ale mówił cicho, jak się mówi w kościołach albo na cmentarzach:

— Musiało się tu dużo zmienić. Zwietrzało dużo skał, porozsypywały się wzgórza, ale to było tu. Tu piętnaście tysięcy legjonów, cała siła Rzymu, leżało pokotem we krwi.

— A Rzym czekały jeszcze Kanny, zauważył Kniaziewicz.

Tremo zaś rzekł:

— Jednakże się ostał i zwyciężył.

Na to Dąbrowski odkrył głowę, przyłożył dłoń do czoła i trwał tak przez chwilę, a potem począł zwolna mówić:

¹⁾ po bitwie pod Zamą w Afryce r. 202, w której Rzymianie pod wodzą konsula Scypiona, przezwanego później Afrykańskim, pobili na głowę Hannibala i Kartagińczyków.

— Bo nigdzie miłość ojczyzny nie gorzała tak wielkim płomieniem... Nigdzie obywatel nie był tak gotów na śmierć pro aris et focis¹⁾... Ach! w Rzymie nie mogło być Targowicy, Rzym mógł być zgładzony, ale nie mógł być rozdarty między sąsiadów... Rzym to nie... Polska...

I dalsze słowa uwięzły mu w ustach, a tym, którzy go słuchali, przygniótł dusze jako niezmierny ciężar. Zapadła cisza — i pochyliły się wszystkie głowy. Ściśnięte serca zalała wielka gorycz...

Wtem zdala wśród głuchej nocy doszedł ich na tem trazyemeńskim pobojuwisku od strony ognisk i biwaków polskich żołnierski głos śpiewający:

„Jeszcze Polska nie umarła,

„Póki my żyjemy...”

— Słyszysz, jenerale? — zapytał Tremo.

A Dąbrowski podniósł zażawione oczy ku księżycowi.

— Daj to Bóg! — rzekł.

b. Dąbrowski w okresie tworzenia legjonów.

Liczył czterdziesty trzeci rok życia.

Wzrostu słusznego, barczysty i przysadzisty, głowę miał dużą, czaszkę ołysiałą, policzki mięsiste, nos wydatny, gruby, usta nieco wydęte. Niekształtny i niepiękny, ujmował jednak melancholijnym wyrazem twarzy, zadumą czoła wyniosłego i rzewnością spojrzenia. Silny fizycznie, lecz ocięzały w ruchach, robiłby wrażenie skromnego rentjera²⁾ lub przytyłego za ladą³⁾ handlu korzennego kupca małomiasteczkowego, gdyby nie pewna w postawie uroczystość z domieszką pozy bohaterskiej i majestatu ludzi, przywykłych do rozkazywania. Zresztą bryłowatość fizyczną ożywiał puls nie zmordowanej czynności, ubarwionej gadatliwą jowialnością⁴⁾.

„Wystaw sobie — powiada o Dąbrowskim wieloletni towarzysz jego trudów legjonowych — bohatera, objaśnionego słońcem Rzymu, zatracającego okropnie niemczyzną, przybranego w kurtkę sarmacką, któraby piwniczemu Batorego

¹⁾ w obronie ołtarzy i ognisk domowych. ²⁾ człowieka, utrzymującego się ze stałego rocznego dochodu, z majątku lub kapitału (franc. rentier). ³⁾ stołem sklepowym (niem. Lade). ⁴⁾ wesołością, żartobliwością (z łac. jovialis — wesoły).

ledwie do kroju przypadła. I w tej kurcie mówiącego znowu językiem Petrarki, rozumującego z wyższym smakiem o cudach sztuk Italji. W każdym kroku chcącego kopjować Czarnieckiego, w każdym czynie patrzącego na historję. Chciwego sławy, nie znaczenia zwykłego. Najbiegłego historyka i znawcę dziejów ojczystych, najtrafniejszego obserwatora charakteru narodowego, kobiet naszych. Prawiącego ciągle tysiące śmiesznych dykteryjek o Polakach. Wiecznie podciągającego stare pludry¹⁾. Zwinnego czasem lisa, zwłaszcza z cudzoziemcami. Nakoniec kochającego Polskę szczerze jako połe swej sławy, jako drogę do wielkiego imienia...

Ze szkoły wojskowej niemieckiej zaczerpnął wyniosłość hierarchiczną²⁾, co odstręczało od niego „kor³⁾ oficerski“, wychowany w równości szlacheckiej, nieprzywykły do subordynacji poza służbą. Nie mając przyjaciół i daru oceniania ludzi, dawał do siebie przystęp pochlebcom. Sam zacny i prawy, nie podejrzewał innych o złą wolę i nikczemność.

Był romantykiem⁴⁾ zarówno z upodobań literackich (z dziełami Szyllera nie rozstawał się w pościgu za nieprzyjacielem i w ogniu bitew), jak z poczynań polityczno wojskowych. Zdumiewał bujnością pomysłów i uporem czynu. W środkach nie przebierał. Pragnął w interesie Polski pobudzić Francję i Prusy przeciwko Rosji i Austrii, później Francję i Austrię przeciwko Rosji i Prusom. Gotów był sprzymierzyć się z siłą nieczystą, byleby z jej pomocą osiągnąć cel. Do raz powziętej koncepcji⁵⁾ powracał wielokrotnie, nie zrażając się niczem.

a. Pieśń legionów polskich we Włoszech.

§ 17. Jeszcze Polska nie umarła,
 Kiedy my żyjemy.
 Co nam obca moc wydarła,
 Szablą odbijemy.

¹⁾ spodnie workowate (z niem. Pluderhosen). ²⁾ wyniosłość płynąca z poczucia stopnia urzędu, władzy (z gr. późn. hierarchja).

³⁾ zastęp, grono (z fr. corps). ⁴⁾ uczuciowym, z bogatą wyobraźnią.

⁵⁾ pomysłu (z łac. conceptio).

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Do Polski z ziemi włoskiej,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
Wracał się przez morze
Dla ojczyzny ratowania
Po szwedzkim rozbiorze,
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz, etc.

Niemiec, Moskal nie osiedzie,
Gdy, jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz, marsz, etc.

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
„Słuchaj jeno, pono nasi
„Biją w tarabany“.
Marsz, marsz, etc.

Na to wszystkich jedne głosy:
„Dość tej niewoli —
„Mamy racławickie kosy,
„Kościuszkę Bóg pozwoli“.

b. ' Mazurek Dąbrowskiego.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz, etc.

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz, etc.

Mówił ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany:
„Słuchaj jeno, pono nasi
„Biją w tarabany“.
Marsz, marsz, etc.

a. Treść i istota polskiego sumienia.

§ 18. „Jeszcze Polska nie zginęła“. Są to największe, najdonioślejsze słowa, jakie od stu lat usta polskie wymówiły.

Jest to treść i istota polskiego sumienia.

Na dymiących się pobojuwiskach, wśród pożogi miast zdobywanych, ponad cichemi polami wsi polskiej, przy huku kół i młotów warsztatu, przy pracy badaczy naukowych, w szczęściu i niedoli, z kajdanami na nogach czy z blaskiem zwycięstwa na czole, wszędzie i zawsze, gdziekolwiek jest Polak, niesie z sobą ducha tych czterech wyrazów. Są one nieodłączne dla wszystkich narodów od wyrazu: Polak. Wrogowie zrobili z nich wyraz pogardy i obelgi, przyjaciele — szczytne streszczenie naszego bohaterstwa i wierności.

Mazurek Dąbrowskiego, ta skromna żołnierska piosenka, urodzona wśród legjonów na włoskiej ziemi, stała się

potężnym hymnem narodowym, który w dniach wielkich brzmi, jak potężny huragan dusz, a w dniach powszednich dźwięczy nieustannie w duszy jak słodka, kojąca mękę życia nadzieja.

Niech każdy z nas zajrzy w głąb duszy i niech ją wyobrazą bez tych słów, bez tej myśli... Przerazi się tą pustką rozpaczliwą, beznadziejną, jakąby w niej ujrzał, gdyby pamiętać tych słów zagasła.

Życie rozprasza nas po świecie od bieguna do bieguna, lecz wszędzie idą z nami te słowa cudowne, strzegą sumienia i polskości duszy, działają z oddalenia, jak siła, skupiająca rozproszone atomy narodu, siła, która krzepi i „powiększa” nasze dusze.

Słowa te to nasz największy, najpotężniejszy skarb narodowy, i człowiek, który je wypowiedział; powinien być czczony narówni z największymi genjuszami, jacy Polsce przyświecają ¹⁾).

b. „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Jako w polu przeoranem
Siew runieje wiosną,
Tak i w mężnych polskich sercach
Znów nadzieje rosną.

Śpiewa żołnierz na widecie ²⁾),
Śpiewa u ogniska,
A ojczyzny imię drogie
Jak gwiazda mu błyska!

Aż z nadziei urodzona
Piosenka wionęła
Nad legjony nasze dzielne —
„Jeszcze nie zginęła!”

¹⁾ Twórcą „Mazurka Dąbrowskiego” jest Józef Wybicki (1747—1822), konfederat barski, autor utworów patriotycznych, poseł na sejm czteroletni, uczestnik powstania Kościuszkę, pomocnik Dąbrowskiego w organizowaniu legjonów. Pieśń powstała we Włoszech najprawdopodobniej w r. 1797, muzykę do niej skomponował M. K. Ogiński (1765—1833). ²⁾ placówce.

Kto ją pierwszy tam wyśpiewał,
Nikt już dzisiaj nie wie —
Ale żyje duch legjonów
W tym nadziei śpiewie.

Przeleciała piosnka góry,
Przeleciała morza —
Zaświtała w ziemi polskiej,
Jak nadziei zorza.

Choć nas przemoc gnębi wroga,
Choć nam głos odjęła.
Łała piosnka nad polami:
— „Jeszcze nie zginęła!“

a. Pogrzeb Longinusa Podbiپی.

§ 19. Do wieczora zbito trumnę, i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Staęło wszystko duchowieęstwo ze Zbaraża prócz księdzę Żabkowskię, który, w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, bliskim był śmierci; przyszedł ksiązę¹⁾, zdawszy dowództwo staroście krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży koronny, i chorąży nowogrodzki, i pan Przyjemski, i Skrzetuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba, i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiazdzista, pochodnie pały się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdzę i surowe twarze stojących wokoło rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wzniosł rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę; potem utkwiał oczy w gwiazdzistych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

1) Jeremi Wiśniewiecki.

— „Co tam za stukanie słyszę po nocy w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy, ze smacznego snu się zrywając.

— „Otwórz, święty Piotrze, otwórz! jam Podbipięta.

— „Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża ¹⁾, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtjana ²⁾ inkomodować ³⁾? Jakiemże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne, jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu ⁴⁾ nawet purpury jeszcze same przez się wolnego wstępu nie dają? dokąd nie gościńcem szerokim w poszóstnej karecie z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?

— „Ach, otwórz, święty Piotrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł commiliton ⁵⁾ i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł, jako święty Sebastjan, strzałami podarty, jak Hiob biedny, jako dziewczeczka, która męża nie znała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej, z ofiarą krwi, dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

„Puść go, święty Piotrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogóż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?!

„Puśćże go, święty kluczniku, puść tego baranka: niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...”

W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydawał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przewyższał. Bili się tedy w piersi wszyscy, i coraz większa ogarniała ich żałość, i coraz wyraźniej widzieli, jaki to paroksyzm ⁶⁾ ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i, gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów

¹⁾ stopień wojskowy. ²⁾ odzwierneego. ³⁾ niepokoić (z łac. incommodare). ⁴⁾ Majestat, tu — monarcha panujący. ⁵⁾ współżołnierz, towarzysz broni (z łac. commilito). ⁶⁾ atak choroby, choroba.

i wojska, sam się rozplakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: „Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancji ¹⁾ odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizeryję ²⁾ i opresję ³⁾—pewnie tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy“!

Płakali za zacyjnym księdzem wszyscy, i książę, i regimentarze, i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy Requiem aeternam dona ei Domine ⁴⁾ — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie, zahartowani na śmierć i codzienną praktyką oddawna do niej przywykli.

W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłoby trudno było od niej oderwać, jakby mu brat albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: Anima ejus ⁵⁾ — zahurgotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami — i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbiپیęty urósł wysoki kopic, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

b. Pogrzeb pana Wołodyjowskiego.

W kolegjacie ⁶⁾ stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk ⁷⁾, rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach: ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite, i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznem wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptjowie, lecz że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich, więc tymczasowo miano je pochować w Stanisławowie, do tego bowiem miasta odesłani zostali pod konwojem tureckim kamienieccy „exules“ ⁸⁾ i tu wydani w ręce wojsk hetmańskich.

¹⁾ sądu (z łac. instantia). ²⁾ nędzy (z łac. miseria). ³⁾ ucisk (z łac. oppresio). ⁴⁾ wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie! ⁵⁾ Dusza jego. ⁶⁾ kościele, przy którym jest kapituła, rada starszych duchownych; katedrze bez własnego miejscowego biskupa (z łac. św. collegiatus). ⁷⁾ wzniesienie z drzewa na stopniach pod trumną z ciałem zmarłego dla żałobnego obchodu (wł. catafalco, fr. catafalque). ⁸⁾ łac. wygnańcy.

Wszystkie dzwony biły w kolegiacie. Kościół zapełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę „Hektora kamienieckiego” i pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem ¹⁾ Tatarzy, przeto postanowiono nie odkładać caremonji.

Starzy żołnierze, przyjaciele lub podkomendni nieboszczyka, stanęli wieńcem koło katafalku. Byli między innymi obecni: pan Muszalski łucznik i pan Motowidło, i pan Snitko, i pan Hromyka, i pan Nienaszyniec, i pan Nowowiejski, i wielu innych, dawnych oficerów ze stannicy ²⁾. Dziwnym trafem prawie nie brakło nikogo z tych, którzy niegdyś zasiadali wieczorami ławy przy ognisku chreptjowskiem; wszyscy wynieśli cało głowy z tej wojny, tylko ów, który im był wodzem i wzorem, ów rycerz dobry i sprawiedliwy, straszny dla nieprzyjaciół, słodki dla swoich, tylko ów szermierz nad szermierze z sercem gołębia—leży oto wysoko wśród światła, w chwale niezmiernej, ale w ciszy śmierci. Zatwardziałe przez wojnę serca kruszyły się z żalu na ów widok; żółte błyski od świec oświecały srogie, strapione twarze wojowników i odbijały się błyszczącymi skrami we łzach, płynących z oczu. W środku żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołężniały, złamany i trzęsący się pan Zagłoba. Ona tu przybyła piechotą z Kamieńca za wozem, wiozącym najdroższą trumnę, a teraz właśnie przyszła chwila, że trzeba było tę trumnę oddać ziemi. Przez całą drogę, idąc nieprzytomna, jakby nie do tego świata należąca—i teraz, przy tym katafalku, powtarzała bezświadomemi usty: „Nic to!”—powtarzała, bo tak jej kazał ten ukochany, bo to były ostatnie wyrazy, które jej przesłał; ale w tem powtarzaniu i w tych wyrazach były tylko dźwięki bez treści, bez znaczenia i otuchy. Nie „nic to” było, jeno żal, ciemność, rozpacz, martwota, jeno nieszczęście niepowrotne, jeno życie zabite i złamane, jeno błędna świadomość, że już niema nad nią ni miłosierdzia, ni nadziei, a jest tylko pustka i będzie pustka, którą wypełnić może jeden Bóg, kiedy śmierć ześle.

¹⁾ oddziałem, gromadą (tatar. czapu(t), ukr. czambuł). ²⁾ osady kozackiej (ukr. stánycja).

Dzwony biły; u wielkiego ołtarza kończyła się msza. Nakoniec zabrzmiał wysoko, jakby z otchłani wołający, głos księdza: „Requiescat in pace“¹⁾). Drgnienia febryczne wstrząsnęły Basią, a w nieprzytomnej głowie zerwała się tylko jedna myśl: „Już, już mi go zabiorą!“ Lecz nie był to jeszcze koniec ceremonji. Rycerstwo przygotowało liczne mowy, które miały być wypowiedziane przy spuszczeniu trumny w dół, tymczasem zaś wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński, ten sam, który dawniej w Chreptjowie często przesiadywał i który w czasie choroby Basi na śmierć ją dysponował²⁾).

W kościele poczęli ludzie chrząkać i kaszlać, jako zwykle przed kazaniem, poczem ucichli i wszystkich oczy zwróciły się na ambonę.

Wtem z ambony ozwało się warczenie bębna.

Zdumieli się słuchacze. Ksiądz Kamiński zaś bił w bęben jakby na trwogę; nagle urwał, i nastąpiła cisza śmiertelna. Poczem warczenie ozwało się po raz drugi, trzeci; nagle ksiądz Kamiński cisnął pałeczki na podłogę kościelną, podniósł obie ręce w górę i zawołał:

— Panie pułkownika Wołodyjowski!

Odpowiedział mu krzyk spazmatyczny Basi. W kościele uczyniło się poprostu straszno. Pan Zagłoba podniósł się i na współkę z panem Muszalskim wynieśli omdlałą niewiastę z kościoła.

Tymczasem ksiądz wołał dalej:

— Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum³⁾ grają! wojna! nieprzyjaciół w granicach! a ty się nie zrywasz? szablę nie chwytasz? na konia nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Żaliś swej dawnej przepomnianą cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?

Wezbrały rycerskie piersi, i płacz powszechny zerwał się w kościele i zrywał się jeszcze kilkakrotnie, gdy ksiądz cnotę, miłość ojczyzny i męstwo zmarłego wysławiał, a i kaznodzieję porwały własne słowa. Twarz mu pobladła, czoło okryło się potem, głos drżał. Uniósł go żal nad małym rycerzem, żal nad Kamieńcem, żal nad zgubioną rękoma wy-

¹⁾ Niech spoczywa w pokoju. ²⁾ przygotowywał na śmierć, udzielał ostatnich sakramentów (łac. disponere). ³⁾ alarm, sygnał wojenny, wzywający do broni.

znawców księżycy Rzeczpospolitą, i taką wreszcie kończył swoją mowę modlitwą:

— Kościoły, o Panie, zmieniaj na meczety ¹⁾ i koran ²⁾ śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelię śpiewali. Pograżyłeś nas, Panie, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprosnemu Turczynowi nas podałeś. Niezbadane Twoje wyroki, lecz kto, o Paniel teraz opór mu stawia? jakie wojska na kresach wojować go będą? Ty, dla którego nic nie jest w świecie zakryte, Ty wiesz najlepiej, że nie masz nad naszą jazdą Która ci, Panie, tak skoczy, jako nasza skoczyć potrafi? Takichże obrońców się pozbywasz, za których plecami całe chrześcijaństwo mogło wysławiać imię Twoje? Ojczy dobroćliwy! nie opuszczaj nas! okaż miłosierdzie Twoje! ześlij nam obrońcę! ześlij sprosnego Mahometę pogromcę, niech tu przyjdzie, niech stanie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ześlij go, Paniel...

W tej chwili rum uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniały, z twarzą Cezara, ogromny...

Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim...

— Salvator! ³⁾ — krzyknął w proroczym uniesieniu książd.

A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za Wołodyjowskiego.

Spowiedź Jacka Soplicy.

§ 20. *A. Mickiewicz, Pan Tadeusz, ks. X.*

a. Walki duszne.

§ 21. Książę, wódz, zwycięzca leżał w prochu w swojej kwaterze przed krucyfiksem i toczył jedną z najzaciętszych walk w swem życiu.

Straże na zamku zbaraskim odbywały północ, a Jeremi ciągle jeszcze rozmawiał z Bogiem i z własną duszą wy-

¹⁾ świątynie mahometańskie (arab. tur. mesdżid). ²⁾ świętą księgę praw u mahometan (arab. al koran — czytanie, wygłaszanie). ³⁾ zbawca.

niosła. Rozum, sumienie, miłość dla ojczyzny, duma, poczucie własnej siły i wielkich przeznaczeń zmieniły się w jego piersi w zapaśników i wiodły z sobą bój zacięty, od którego pękała pierś, pękała głowa, i ból targał wszystkie jego członki. Oto wbrew woli prymasa, kanclerza ¹⁾, senatu, regimentarzędów ²⁾, wbrew woli rządów szły do tego zwycięzcy wojska kwarciane ³⁾, szlachta, cudze chorągwie prywatne — słowem cała Rzeczpospolita oddawała się w ręce, uciekała się pod jego skrzydła, losy kraju powierzała jego genjuszowi i przez najlepszych synów wołała: „Ratuj, bo ty jeden ratować możesz!“ Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a pod Zbarażem stanie sto tysięcy wojowników, gotowych na bój śmiertelny ze smokiem wojny domowej. Tu obrazy przyszłości, oblane jakimś niezmiernem światłem sławy i potęgi, poczęły się przesuwac przed oczyma kniazia. Zadrzą ci, którzy go pominąć i upokorzyć chcieli — a on porwie te żelazne hufce rycerstwa i powiedzie je w stepy ukraińskie do takich zwycięstw, do takich triumfów, o jakich dzieje jeszcze nie słyszały. I kniaz czuje w sobie siłę odpowiednią — z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła wielkiego Michała Archanioła. Oto zmienia się w tej chwili w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może. Na Boga! on zetrze Chmielnickiego! on zdepcze bunt — on spokój ojczyźnie powróci! Widzi rozległe błonia, krocie wojsk, słyszy huk armat, bitwa! bitwa! pogrom niesłychany, niebywały! Krocie ciał, krocie chorągwi zaścielają step zboczony, a on tratuje po cielsku Chmielnickiego, i trąby grają zwycięstwo, a głos leci od mórza do mórza... Kniaź zrywa się i ręce do Chrystusa wyciąga, a naokół jego głowy płonie jakieś czerwone światło: „Chryste! Chryste! — woła — Ty wiesz! widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij mi, iżem powinien!“

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczy, taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto. „Na chwałę to Twoją! — woła książę — non mihi, non mihi! sed nomini Tuo da gloriam ⁴⁾. Na chwałę wiary i Kościoła, całego chrześcijaństwa! O Chryste! Chryste!“ I nowy obraz mknie przed

¹⁾ wówczas był nim Jerzy Ossoliński. ²⁾ wodzów, zastępujących hetmana. ³⁾ utrzymywane z kwarty, a właściwie płatej części dóbr królewskich. ⁴⁾ nie mnie, nie mnie, ale imieniu Twemu daj chwałę.

oczyma bohatera. Nie na zwycięstwie nad Chmielnickim kończy się ta droga. Książ, bunt pożarliwszy, jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie kozaków do kroczi szlachty przyłączy i pójdzie dalej; na Krym uderzy, strasznego smoka w jego własnej jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały.

Albo też pójdzie w te ziemie, które raz już kniazie Wiśniowieccy kopytami końskimi stratowali, i granice Rzeczypospolitej, a z niemi Kościoła do ostatnich krańców ziemi rozciągnie...

Gdzie to koniec tego pędu? Gdzie koniec sławy, siły, potęgi? Niemasz go wcale..

Do komnaty zamkowej wpada białe światło miesiąca, ale zegary biją późną godzinę, i kury pieją. Dzień wszędzie już niezadługo, ale będzili to dzień, w którym obok słońca na niebie nowe słońce na ziemi zaświeci?

.

Tak jest! Dzieckiem byłby książę, nie mężem, gdyby tego nie uczynił, gdyby dla jakich bądź powodów przed głosem tych przeznaczeń się cofał. Oto czuje już pewien spokój, który na niego widocznie złał Chrystus miłosierny—niechże zato będzie pochwalon!.. Już myśli trzeźwiej, lżej i oczyma duszy położenie ojczyzny i wszystkich spraw jasno ogarnia. Polityka kanclerza i tych tam panów z Warszawy, również jak i wojewody bractawskiego ¹⁾, jest zła — i dla ojczyzny zgubna. Zdeptać naprzód Zaporozie, ocean krwi z niego wytoczyć, złamać je, zniweczyć, zgnieść, zwyciężyć, a potem dopiero pokonanym przyznać wszystko—ukrócić wszelkie nadużycia, wszelkie uciski, zaprowadzić ład, spokój; mogąc dobić—do życia wrócić; oto droga, jedynie tej wielkiej, wspańskiej Rzeczypospolitej godna. Może dawniej, dawniej można było brać inną, dziś—nie. Do czegoż mogą bowiem doprowadzić układy, gdy naprzeciw siebie stoją krocie tysięcy zbrojnych, a choćby je zawarto—jakaż siłę mieć mogą? Niel, niel to senne mary, to urojenia, to wojna, rozciągnięta na wieki całe, to morze łez i krwi na przyszłość!.. Niech się uchwycą tamtej drogi, wielkiej, szlachetnej, potężnej — a on

¹⁾ Kislela Adama.

niczego więcej nie będzie chciał, ani pożałował. Osiądzie napowrót w swych Łubniach i będzie czekał cicho, póki go prerażliwe trąby Gradywa¹⁾ na nowo do czynu nie powołają.

Niech się uchwycą!.. Ale kto? senat? sejmy burzliwe? Kanclerz, prymas czy regimentarze? Kto prócz niego tę wielką myśl rozumie i kto wykonać ją może? Niech się znajdzie taki—to zgodzi! Ale gdzie jest taki? Kto ma siłę?—On jeden—nikt więcej!—Do niego idzie szlachta, do niego ściągają wojska, w jego rękę miecz Rzeczypospolitej. Przecie Rzeczpospolitą, nawet gdy pan jest na tronie, a coś dopiero gdy pana niema, rządzi wola tego narodu. Ona to—suprema lex. A wypowiada się nietylko na sejmach, nietylko przez posłów, senat i kanclerzy, nietylko przez pisane prawa i manifesty²⁾, ale jeszcze silniej, jeszcze dobitniej, jeszcze wyraźniej czynem. Kto tu rządzi? Stan rycerski — a oto ten stan rycerski ściga się do Zbaraża i mówi mu: „Tyś jest wodzem!“ Cała Rzeczpospolita bez wotów³⁾ władzę mu oddaje siłą faktów i powtarza: „Tyś jest wodzem.“ I on miałby się cofać? Jakieżże jeszcze nominacji potrzebuje? Od kogo ma jej czekać? Czy od tych, którzy Rzeczpospolitą zgubić, a jego upokorzyć usiłują?

Za co, za co? Czy zato, że, gdy wszystkich ogarnęła panika, że, gdy hetmani w jasyr⁴⁾ poszli, wojska zginęły, panowie kryli się po zamkach, a kozak postawił nogę na piersi Rzeczypospolitej, on jeden tylko zepchnął tę stopę i podniósł z prochu zemdlałą głowę tej matki — poświęcił dla niej wszystko, życie, fortunę, uratował od hańby, od śmierci — on zwycięzca!

Kto tu zasłużeńszy, niech tedy bierze tę władzę! Komu się słuszniej należy, niech w tego rękę spocznie. On chętnie zrzeknie się tego ciężaru, chętnie Bogu i Rzeczypospolitej powie: „Puśćcie sługę w pokój“ — bo oto znużon już bardzo i sił zbawion, a przytem i tego pewien, że pamięć jego ni grób nie zginie.

Ale gdy nie masz nikogo takiego — po dwakroć i trzykroć byłby dziecięciem, nie mężem, gdyby tej władzy, tej słonecznej drogi, tej świetnej, ogromnej przyszłości, w któ-

¹⁾ Marsa, bożka wojny (łac. gradivus). ²⁾ odezwy (łac. manifestum — publiczne, jawne) ³⁾ głosowania. ⁴⁾ niewolę szczeg. tatarską, turecką (tur. jesir — jeniec).

rej jest ratunek Rzeczypospolitej, jej sława, potęga, szczęście, miał się wyrzekać.

I dlaczego?

Książ znowu głowę dumnie podniósł, i płonący wzrok jego padł na Chrystusa, ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto...

Dlaczego? Bohater skronie rozpalone rękoma przycisnął... Może i jest odpowiedź. Co znaczą te głosy, które wśród złotych i tęczyowych widzeń sławy, wśród szumu przyszłych zwycięstw, wśród przeczuć wielkości i potęgi, tak nieubłagane wołają mu w duszy: „Ach, stój, nieszczęsny!“ Co znaczy ów niepokój, który nieustraszoną pierś jego dreszczem jakiejś trwogi przejmuje? Co znaczy, że, gdy on najjaśniej i najdowodniej okazuje sobie, że władzę wziąć powinien, coś mu tak w przepaściach sumienia szepcze: „Sam się łudziś, duma cię uwodzi, szatan pychy królestwa ci obiecuje!“

I znów straszna walka zawrzała w duszy księcia, znów porwał go wicher trwogi, niepewności i zwątpień.

Co czyni szlachta, która do niego zamiast do regimentarzów ciągnie? Prawo depce. Co czyni wojsko? Dyscyplinę łamie. I on, obywatel, żołnierz, ma stawać na czele bezprawia? ma je swoją powagą okrywać, ma pierwszy dawać przykład niekarność, samowoli, nieposzanowania praw, i to wszystko dlatego tylko, by władzę o dwa miesiące pierwiej zagarnąć, boć jeśli królewicz Karol na tron obrany będzie, to i tak władza go nie minie? On to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Koniecpolski, Potocki, Firlej, Zamojski lub Lubomirski! A gdy każdy bez uwagi na prawo i karność gwoli własnej ambicji działać rozpocznie, gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów, jakaż to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny? Robactwo samowoli, nierząd, prywaty toczą już i tak pień tej Rzeczypospolitej; pod siekierą wojny domowej próchno się sypie, uschłe gałęzie z drzewa opadają — co się stanie, gdy ci, którzy chronić je powinni i strzec, jak żrenicy oka — sami ogień podkładać będą? Co się stanie? Jezul Jezul!

Chmielnicki też dobrem publicznem się osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierzchności powstaje.

Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głowy. Ręce załamał: „Zali ja mam być drugim Chmielnickim, o Chryste“.

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał, taki bolesny, jakby go dopiero rozpięto.

Kniaź szarpał się dalej. Jeśli on władzę weźmie, a kanclerz, senat i regimentarze zdrajcą i buntownikiem go ogłoszą — to co będzie? Druga wojna domowa? A przytem czy to Chmielnicki jest największym i najgroźniejszym wrogiem tej Rzeczypospolitej? Wszak nieraz były w nią jeszcze większe potęgi, wszak, gdy dwieście tysięcy żelaznych Niemców szło pod Grunwaldem na pułki Jagiełłowe, gdy pod Chocimem pół Azji stanęło do boju, zguba jeszcze bliższą się zdawała — a cóż się stało z temi wrogami potęgami? Nie! Rzeczpospolita wojen się nie lęka, i nie wojny ją zgubią! Ale czemuż to wobec takich zwycięstw, takiej utajonej siły, takiej sławy, ona, która pogromiła Krzyżaków i Turków... taka jest słaba i niedołężna, że przed jednym kozakiem przyklęka? Że sąsiedzi rwą jej granice, że wyśmiewają ją narody, że głosu jej nikt nie słucha, o gniew jej nie dba, a wszyscy zgubę przewidują?

Ach! to właśnie duma i ambicja magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego przyczyną. Wróg najgorszy to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak pierwsza burza je zwali — ale parricyda¹⁾ ten, kto do takiej roboty ręce przykładą, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia!!!

Idźże teraz, zwycięzco z pod Niemirowa, Pohrebyszcz, Machnówki i Konstantynowa! Idź, kniaziu — wojewodo, idź, odejmij władzę regimentarzom, zdepcz prawo i zwierzchność i dawaj przykład potomnym, jak w matce targać wnętrzności.

Strach, rozpacz i obłąkanie wybiło się na twarzy kniazia. Krzyknął okropnie i, chwyciwszy się rękoma za czuprynę, padł w proch przed Chrystusem.

¹⁾ ojcobójca, matkobójca.

I kajał się kniaź, i bił dostojną głową w kamienną posadzkę, a z piersi jego wydobywał się głuchy głos:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!...

Różana jutrznia wstała już na niebie, a potem przyszło złote słońce i oświeciło salę. W gzymsach począł się świegot wróbl i jaskółek. Kniaź wstał i poszedł zbudzić pachółka Żeleńskiego, śpiącego z drugiej strony drzwi.

— Biegaj — rzekł mu — do ordynansowych ¹⁾ i każ im zwołać tu do mnie pułkowników, którzy stoją w zamku i w mieście, tak kwarcianych, jak i z pospolitego ruszenia.

We dwie godziny później sala poczęła napełniać się wąsatemi i brodatemi postaciami wojowników. Z książęcych ludzi przyszedł stary Zaćwilichowski, Polanowski, Skrzetuski z panem Zagłobą, Wurcel, oberszter ²⁾ Machnicki, Wołodziejowski, Wierszuł, Poniatowski, wszyscy niemal oficerowie aż do chorążych prócz Kuszla, który był ku Podolu na podjazd wysłany. Z kwatery byli obecni Osiński i Korycki. Wielu znaczniejszej szlachty z pospolitego ruszenia nie można było z pierzyn powyciągać, ale przecie i tych zebrała się garść niemała — a między nimi personaci ³⁾ z różnych ziem od kasztelanów aż do podkomorzych... Brzmiały szmery rozmowy i szumiało jak w ulu, a wszystkie oczy zwrócone były na drzwi, przez które miał się książę ukazać.

Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł. Twarz miał spokojną, pogodną i tylko zaczerwienione bezsennością oczy i ściągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. Ale przez ową pogodę, a nawet słodycz przebijała się powaga i nieugięta wola.

— Mości panowie! — rzekł. — Dzisiejszej nocy rozmawiałem z Bogiem i własnem sumieniem, co mnie uczynić należy: oznajmuję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu, iż dla dobra ojczyzny i zgody potrzebnej w czasach klęski, poddaję się pod komendę regimentarzów.

Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

¹⁾ będących na ordynansie, dyżurnych (fr. ordonnance). ²⁾ stopień oficerski w dawnych pułkach piechoty polskiej i dragonów cudzoziemskiego zaciągu, odpowiadający randze pułkownika (nlēm. Oberster). ³⁾ poważne osoby, znaczne figury, dygnitarze (łac. persona).

b. Sumienie.

W głowie pana Andrzeja tysiączne myśli przelatywały z szybkością strzał tatarskich.

Więc Oleńka była nie w puszczy, ale w partji billewiczowskiej? I on właśnie ocalił ją, a z nią razem te Wołmontowicze, które niegdyś za kompanjonów¹⁾ z dymem puścił. Widocznie ręka boska kierowała jego krokami tak, aby za jednym zamachem wynagrodził za wszystkie krzywdy i Oleńce i Laudzie²⁾. Oto zmazane jego winy. Możliż ona go nie błogosławić? I co powie umiłowana dziewczyna, która go za zdrajcę uważa, gdy się dowie, że ów Babinicz, który Radziwiłła obalił, który po pas nurzał się we krwi niemieckiej i szwedzkiej, który na Żmudzi nieprzyjaciela wygniół, wyniszczył, do Prus i Inflant przepędził, to on, to Kmicic, ale już nie zabijaka, nie banit, nie zdrajca, jeno obrońca wiary, króla, ojczyzny!

A przecie zaraz po przestąpieniu granicy żmudzkiej byłby pan Andrzej na cztery strony świata rozgłosił, kim jest ów przestępny Babinicz, i jeśli tego nie uczynił, to jeno dlatego, że się obawiał, iż na sam dźwięk prawdziwego jego nazwiska wszyscy się od niego odwrócą, wszyscy go będą podejrzewać, odmówią pomocy i ufności. Dopieroż ledwie dwa lata upłynęły, jak, obłąkany przez Radziwiłła, wycinał te chorągwie, które razem z Radziwiłłem przeciw królowi i ojczyźnie powstać nie chciały. Przed dwoma ledwie laty był prawą ręką wielkiego zdrajcy.

Lecz teraz zmieniło się wszystko! Teraz, po tylu zwycięstwach, w takiej chwale ma prawo przyjść do dziewczyny i powiedzieć jej: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!“ Ma prawo krzyknąć całej Żmudzi: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!“

A zatem Wołmontowicze przecie niedaleko! Tydzień ścigał Babinicz Hamiltona, lecz Kmicic prędzej niż w tydzień będzie u nóg Oleńki.

Tu powstał pan Andrzej blady ze wzruszenia, z płonącemi oczyma, z promienną twarzą i krzyknął na pacholka:

— Konia mi prędzej! żywo! żywo!

¹⁾ towarzyszków. ²⁾ drobnej szlachcie, zamieszkałej w okolicach Łaudy, dopływu Niewiaży.

Pacholik podprowadził karego dzianeta i sam zeskoczył strzemię podawać, lecz, stanawszy na ziemi, rzekł:

— Wasza miłość! obcy ludzie jacyś ku nam od Troupiów z panem Soroką jadą i suną kłusem.

— Mniejsza z nimi! — odrzekł pan Andrzej.

Tymczasem obaj jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków, następnie jeden z nich w towarzystwie Soroki wysunął się wskok naprzód, przybiegł i, uchyliwszy rysiego kołpaka, odkrył rudą jak ogień czuprynę.

— Widzę, że przed panem Babiniczem stoję! — rzekł. — Rad jestem, że wamści odszukał.

— Z kim mam honor? — rzekł niecierpliwie pan Kmicic.

— Jestem Wierszuł, niegdyś rotmistrz tatarskiej chorągwi księcia Jaremy Wiśniowieckiego; przybywam w rodzinne strony, by tu na nową wojnę zaciągi czynić, a oprócz tego przywiozłem list dla waszmości od pana hetmana wielkiego Sapiehy.

— Na nową wojnę? — spytał Kmicic, marszcząc brwi. — Co waść prawisz?

— Ten list lepiej ode mnie waćpana objaśni — rzekł Wierszuł, podając pismo hetmańskie.

Kmicic rozerwał gorączkowo pieczęć. List Sapiehy brzmiał jak następuje:

„Mnie wielce uprzejmy panie Babinicz! Nowy potop na ojczyznę! Liga szwedzka z Rakoczym stanęła, i podział Rzeczypospolitej ułożony. Osiemdziesiąt tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy i Kozaków przekroczy już godzina południową granicę. A gdy w takiej ostatniej toni trzeba nam wszystkie siły wyteńczyć, aby choć imię sławne po naszym rodzie na przyszłe wieki zostało, posyłam waszmości ten ordynans¹⁾, wedle którego masz waszmość, nie tracąc chwili czasu, wprost na południe konie obrócić i wielkimi drogami ku nam dążyć. Zastaniesz nas w Brześciu, skąd nie mieszkając, dalej cię wyślę. Tymczasem periculum in mora.²⁾ Książę Bogusław eliberował³⁾ się z niewoli, ale Gosiewski ma mieć na Prusy i Żmudź oko. Raz jeszcze zalecając waszmości pośpiech, dufam, że miłość do ginącej ojczyzny najlepszą ci będzie ostrogą“.

¹⁾ rozkaz, polecenie. ²⁾ Dosł: niebezpieczeństwo w zwłoce, zwłoka niebezpieczna: ³⁾ uwolnił się, oswobodził (łac. *eliberare*).

Kmicic, skończywszy czytać, wypuścił list na ziemię i począł przeciągać rękami po zwilgotniałej twarzy, nakoniec spojrzał błędnie na Wierszula i spytał cichym, zduszonym głosem:

— Dlaczegoż to pan Gosiewski ma na Żmudzi zostać, a ja ruszać na południe?

Wierszuł wzruszył ramionami.

— Spytaj się waść pana hetmana w Brześciu o racje! Jać nic nie powiem.

Nagle straszny gniew schwycił pana Andrzeja za gardło, oczy mu zabłyśły, twarz zsiniała, i krzyknął przeraźliwym głosem:

— A ja stąd nie pójde! Rozumiesz waść!

— Tak? — odrzekł Wierszuł. — Moja rzecz była ordynans oddać, a reszta waści sprawa! Czołem! czołem! Chciałem się parę godzin do kompanji zaprosić, ale po tem, com ustyszał, wolę poszukać innej.

To rzekłszy, odwrócił konia i odjechał.

Pan Andrzej siadł znów pod figurą i począł bezmyślnie rozglądać się po niebie, jakby pogodę chciał wymiarkować. Pacholik usunął się z końmi opodał, i cisza uczyniła się naokół.

Ranek był pogodny, blady, pół jesienny i pół już zimowy. Wiatr nie wiał, ale z brzóz, rosnących pod męką Pańską, spływały bez szelestu resztki pożółkłych i skrzywionych od chłodu liści. Nieprzeliczone stada wron i kawek leciały nad lasami; niektóre zapadały z wielkiem krakaniem tuż obok figury, na polu bowiem i na drodze leżało jeszcze pełno niepożrebianych trupów szwedzkich. Pan Andrzej patrzył na owo czarne ptactwo, mrugając oczyma, rzekłbyś: chce je przeliczyć. Potem przymknął powieki i długo siedział bez ruchu. Nakoniec wzdrygnął się, zmarszczył brwi, przytomność wróciła mu na twarz, i tak począł do się mówić:

— Nie może inaczej być! Pójde za dwa tygodnie, ale nie. teraz. Niech się dzieje, co chce. Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto.... Małom to się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Taką zato nagrodę?.. Żeby to choć tamtego listu¹⁾ nie odebrał, poszedłbym; ale oba

¹⁾ listu od Anusi Borzobohatej z właścicią, że Oleńka znajduje się w partji billewiczowskiej.

przyszły w jednej godzinie, jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew Boży jest nad nią, i nie w mocy ludzkiej to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje ¹⁾, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, Kozacy, wszystko naraz! Kto się temu oprze? O Panie, co ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich oblicze i ni miłosierdzia, ni ratunku nie dajesz i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoż jeszcze krwi, mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a Ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia, Panie: ratunku, Ojczel!... Grzeszyliśmy... ale przecie już przyszła poprawa!... Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, zrzekliśmy się prywaty... Więc czemu nie odpuścisz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos niezmierny, z całego sklepienia niebios płynący, który mówi:

— Zaniechaliście prywat? A tyż, nieszczęśniku, co jeźtej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przywża pierwsza chwila próby, jak zhukany koń dęba stajesz zółtryczysz: „Nie pójdę!“ Ginie matka, nowe miecze pierś uie przeszywają, a ty się od niej odwracasz, nie chcesz jej ik sprzeć ramieniem, za własnem szczęściem gonisz i krzyjysz: „Nie pójdę!“ Ona ręce krwawe wyciąga, już, już pada, sw mdleje, już kona i ostatnim głosem woła: „Dzieci, ratujcel!“ A ty jej odpowiadasz: „Nie pójdę!“ Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach podniósł włosy na głowie, i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz rymnął twarzą do ziemi i nie wołać, ale krzyzczeć jął w przerażeniu:

— Jezu, nie karz! Jezu, zmiłuj się! Bądź wola twoją, Już pójdę, pójdę.

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy

¹⁾ mieszkańcy krajów północnych (gr. hyperboreos — najbardziej północny).

podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacji pełną i spokojniejszą, i tak dalej się modlił:

— Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, hom był w wilję szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządzisz! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał doświadczyć i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężkie zmartwienie. Niechże mi wszystko będzie policzone zato, żem księcia Bogusława oszczędził, nad czem płakała ojczyzna. Widzisz teraz, Panie, że to była ostatnia moja prywata... Już więcej nie będę, Ojczy miłosierny! Ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste, idę!

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

a. Jastrząb gołębiarz.

§ 22. Jastrząb gołębiarz ma silne nogi, twarde pierze, długość 1 stopa 11 cali, szerokość 3 cale 6 do 7 linii, ogon 8 do 9 cali, dziób 1 cal 9 linii długi, a 10 wysoki, przy nasadzie niebieskawy, z końcem czarnym, średni palec 2 cale, szpon 9 linii, ksiuk ¹⁾ 1 cal 6 linii—woskówka żółta ²⁾. Głowa nieco spłaszczona, skrzydła krótkie, nie nakrywające ogona, ogon długi, zaokrąglony, nad oczami białawy pasek... Szpony mocno zaokrąglone i nader śpiczaste, nogi ponad kolanem ma opierzone, dalej zaś ku szponom gołe... Dziób silny, zaokrąglony, bez zęba sokołogo³⁾, z ostrymi szczękami, mocno zakrzywiony, z końcem śpiczastym, mierzony w kabłąk 1½ cala.

W gniazdowej barwie okryty perłowo-popielatym mchem, wcale nie miękkim, jak u innych drapieżnych, dziób czarny przy nasadzie cielistego koloru, nogi brudno-żółta-wo-zielonawego koloru.

¹⁾ palec tylny. ²⁾ błona kolorowa, okrywająca szczękę przy nasadzie, niektórym ptakom tylko właściwa. ³⁾ ostrego zęba wyciętego w zewnętrznym brzegu wierzchniej połowy dzioba; w dolnej połowie dzioba odpowiada mu wyraźna szczyrba.

W pierwszym pierzu nazywali go łowcy rabcem (rabiego ¹⁾ pierza), i nosi tę barwę rok przeszło, pierząc się stopniowo, lecz nader powoli. Płaszcz ma brunatno-rdzawy z jasnymi obwódkami piór, na ogonie pięć brunatnych i tyleż płowych pręg; końcówki sterówki ²⁾ białawe, gardziel biaława, brunatno upstrzona, spód cały rdzawo żółty z pendzelkowatymi brunatnymi plamkami nad oczami pasek jaśniejszego koloru, nogi i woskówka żółte.

Ptāk w doskonałym pierzu płaszcz ma niebieskawo-pielaty z cieniami czarno-brunatnymi tego samego koloru, puder na całej powierzchni, który po śmierci znika. Spód ptaka biały, pręgowany czarniawym kolorem w różne i dziwaczne plamki wpoprzek, wokoło szyi pstrokaczna biała z czarnem, tworząca obróż, nad oczami biały pasek. Dziób czarny, woskówka żółta, nogi jasno żółte, tęczą ³⁾ pomarańczowa, w ognisty kolor wpadająca.

Samice w każdym pierzu są większych rozmiarów, szersze, silniejsze, wspomnianego powyż pudru nie posiadają...

Badając życie tego ciekawego ptaka, można mu godło wyryć, że podstawą jego rodu jest: „Siła przed prawem“. Istny to rabuś, rozbójnik, złodziej, szkodnik, prześladowca i aneksista ⁴⁾; on panem wszystkiego, swe potrzeby zaspokoić musi cudzym kosztem, rozum jego niepospolity, a nieporównana ostrożność ocala mu życie i bezkarnie broić pozwala. Przypomina średniowiecznych trudniących się rabunkiem rycerzy (Raubritter), zamieszkujących małe zamkowe forteczki (Burgi), których szczątki napotykamy po wszystkich krajach Europy. Oni to żyli z rabunku, w bliższych i dalszych okolicach, stając się rzeczywistą plagą; niecierpieli drugiego obok siebie i nie spoczęli do tej chwili, w której współzawodnika nie wypędzili lub na tamten świat nie wyprawili. Nasz jastrząb zupełny rycerz średniowieczny: nie zniesie równego sobie w państwie zdobytym; nawet z narażeniem życia, częstokroć przez kilka i kilkanaście dni walkę toczy z drugim i albo zginie, albo napastnika wygoni lub

¹⁾ pstrego, szaro-pstrego, jarzębatego. ²⁾ piór ogonowych, na brzegu najniższej nadogonowej części grzbletu osadzonych. ³⁾ krążek przedni, naczyńkowaty, kolorowy, otaczający źrenice. ⁴⁾ aneksjonista — ten, co przywłaszcza, zagrabia.

ubije: zdawałoby się, że ustanowił prawo panowania siłą despotyczną, nie dzieląc się władzą z nikim, ani też przypuszczając kogo bądź do swej wspólki.

On z rodziną panuje nad pewną przestrzenią kraju, broni jej przed napadami, zwiedza rejon swój systematycznie, oblatuje codziennie granice, jest w pełni panującym i biada temu, któryby się pokusił wstąpić do jego państwa. Żonę ma zawsze w bliskości, dzieci do swego rzemiosła starannie, zręcznie i spiesznie wychowuje, znosi je koło siebie do pory jesiennej, gdy się zaś przekonał, że dzieci wykształcone na znakomitych rozbójników i zręcznych złodziei, wygania ze swego państwa i nakazuje zdobycie siłą i zręcznością panowania w dalszych stronach, ani prośby, ani pieszczoty, ni lamenty i skargi na żelaznego ptaka nie wpływają, jego wola musi być wypełniona, i dziatwa w rozpaczę leci zdobywać nieznane kraje. Lecz co boleśniejsem być musi, że do ojczyzny już jej wrócić nie wolno, bo to seperacja¹⁾ na zawsze. Ten dramat odgrywa się przy końcu października lub w listopadzie, i już w zimie spostrzegamy jedynie pojedyncze ptaki, gdyż po wypełnieniu obowiązków rodzicielskich mąż z żoną się rozstają, żyjąc w odosobnieniu i samotności do godowej pory wiosennej...

Rozbójnik ten występuje... w różnych charakterach: najczęściej z podniesioną przyłbicą, w zbroi, z natarczywym impetem porywa ofiarę; to znowu jak złodziej chyłkiem się podkrađa, a czatuje, zasiada w ukryciu, zręcznością i cierpliwością celu swego dopina, a nakoniec... maskowany łatwo-wiernych łowi. Napuszy pierze, siądzie na nogach, gdyby kwoka, szyję skurczy, przytuli się do gałęzi, poddasza, komina, wytrzymuje szpiegostwo, natarczywość ciekawych ptasząt bez ruchu i niecierpliwości, udaje bezwładnego lub naśladuje sowę, śpiącą w dzień z przymrużonemi oczyma. Dopiero, gdy wybrana ofiara się zbliży lub z nim oswoi, gdy już nie zwraca żadnej uwagi ptactwa na siebie, wtedy z szybkością błyskawicy uderza, porywa ofiarę i znika z nią wobec steroryzowanych²⁾ i oszukanych świadków...

Jastrząb łowi swe ofiary w locie, na ziemi, w lesie i krzakach, wśród domów i strzech, na polu i łąkach; trudno

¹⁾ rozdzielenie się, rozłączenie (łac. separatio). ²⁾ przerażonych okrucieństwem.

miejsca wynaleźć bezpiecznego od tego napastnika. Wybiera gołębie z gołębnika, kury z kojca, porywa gąsienią wśród wsi i wobec dzieci, towarzyszy myśliwym na łowach, korzystając ze spłoszonych ptaków, lecących w jego stronę...

Czasem pod obłokami stoi i trzepece tak wysoko, że się wydaje wielkości krogulca, gdy upatrzy chwilę stosowną, z pod nieba gdyby piorun uderza w wybranego gołębia. To znowu leci ponad ziemią pływającym lotem, a wznosi się szybko, gdy spłoszone gołębie ucieczką się ratują, i w oderwanego od stada wbija swe szpony. Najczęściej, jak włoski morderca, chyłkiem się wkrada w gęstą liściastą koronę drzewa i przytulony do gałęzi bada igrające gołębie i, jak tylko ruszą w powietrze, on, nakszałt korsarza z za skały, wylatuje ze swej kryjówki i uderza na gołębia. Czasem według miejscowości i stopnia bezpieczeństwa, przez rabusia określonego, siada na gałęzi nader blisko gołębi, to znowu, nie dowierzając, na oddalonem drzewie usiadzie w obserwacji, lecz impet i szybkość jego lotu jest tak wielka, że w mgnieniu oka przeleci przestrzeń kilkuset kroków, a co rzeczywiście jest podziwienia godnem, to ta niepojęta siła jego muskularna, że, chwyciwszy ofiarę lub napotkawszy przeszkodę w locie, z szybkością błyskawicy, wydając szelest wichru, staje wryty w powietrzu, nawraca i ucieka równie szybko...

Roku, jeżeli się nie mylę, 1861 w lasach dóbr Poturzycy przekonałem się, że jastrzębie gołębiarze łowią zające nawet w krzakach i swą zacieklą odwagę częstokroć życiem przypłacają. Stojąc na stanowisku wobec dosyć rzadkiego lasu, podszytego gdzie niegdzie krzakami, usłyszałem dziwny szelest, zbliżający się ku mnie. Spojrzałem w tę stronę, i zdumienie moje nie miało granic. Widziałem niby to kontury ¹⁾ zająca, a na nim coś ruszającego się, przybierającego coraz dziwniejsze kształty, to wgórze, to na boki, spostrzegłem rozpostarte i znowu złożone lotki. Istny potwór w ruchu tak szybkim, że pomimo niewielkiej już odległości nie mogłem rozpoznać istot tych, niepojętym węzłem związanych razem. W niepospolitem wzruszeniu czekałem na strzał. Lecz fatalność myśliwska odgania ode mnie potwora i pędzi na mego sąsiada. Wtedy dopiero rozpoznałem dokładnie to niepospolite zjawisko. Jastrząb, łowiąc zająca, pewnie w miejscu

¹⁾ zarysy.

z impetem na niego uderzył i tak głęboko wbił szpony w nie-
szczęśliwego szaraka, że pomimo usiłowań krzywych pazu-
rów wydobyć nie zdołał, a z drugiej strony ciężar ptaka nie-
dosyć był wielki, aby ruch zajęcowi uniemożliwić. Straszna
to musiała być chwila dla oprawcy i dla ofiary, gdy nagan-
ka¹⁾ hałasować zaczęła kałatawkami²⁾. Pierwszy pewnie
chętnieby rzekł się smacznego kąska, byle się z tego towa-
rzystwa wydobyć i usunąć pod obłoki do swego asylum³⁾,
drugi od pierwszego dnia, gdy został nazwą obdarzony, do
naszych czasów zawsze był nazywany timidus⁴⁾. Cóż się bie-
dakowi dziać musiało w tem srogiem nawiedzeniu! Na nim
istny kat z torturami, ztyłu hałas naganiaczy: zaiste poło-
żenie dramatyczne, nieczęsto w dziejach opisane. Sądziło
więc zajęczysko na mego sąsiada, niosąc na grzbiecie gołę-
biarza, pewnie napełnionego równym stopniem strachu. Są-
siad mój, rozpoznawszy to curiosum⁵⁾, rzekł sobie: „Trzeba
obydwa zabić, aby przedstawić w pełni ten epizod towarzy-
stwu“. Wymierzył, strzelił i chybił, niestety! Zając prze-
mknął przez drogę w gęste sosnowe zarośla, i myślę, że, ocie-
rajac jastrzębia o krzaki, nareszcie go się pozbył, i z tragicz-
nego zajścia pozostały tylko krwawe rany szponami zadane...

Pastor Brehm, mieszkający w kraju, obfitującym w za-
jące i kuropatwy, twierdzi, że gołębiarz niemal wyłącznie
zwierzyną się żywi. Zające łowi w miejscu lub goni, szpona-
mi i dziobem bije, męczy i zawsze pokona. Opisuje walkę,
dowodzącą odwagi i natarczywości drapieżnej tego ptaka.
Gonił starego, dużego zająca, męczył go przez długi czas,
ani zatrzymać, ani pokonać go nie mógł, nareszcie wbił
w niego szpony, dziobem się uchwycił i jechał na nim. Sza-
rak uciekał z nim, do góry wyskakiwał, nareszcie się prze-
wrócił i tarzać począł; gołębiarz go nie puścił, pokonał
i zjadł...

Jest strona charakterystyki tego rycerza rozbójnika
w ptasim rodzie dla mnie zagadkowa. Śmiałość i odwagę
determinowaną⁶⁾ udowadnia całem swem życiem, a przecie
często daje się odstraszyć ptakom, których się nie boi, i które

¹⁾ ludzie, najęci do napędzania zwierzyny pod strzały myśliwych,
stojących na stanowiskach. ²⁾ kałatawka, kołatka — drewniany dzwo-
nek. ³⁾ łac. schronienia, przytułku. ⁴⁾ łac. trwożliwy, lękliwy. ⁵⁾ łac.
ciekawe, niezwykle zjawisko. ⁶⁾ zdecydowaną na wszystko.

mu nigdy nic złego nie czynią, jak wronom i srokom. Tylokrotnie widziałem gołębiarzy, lecących z łupem swym na łąkę, na rolę lub w krzaki, prześladowanych krakaniem wron i srok, pędzących za nimi w zamiarze podzielenia się z rabusiem smacznym kąskiem. Gdy jastrząb usiadł, one nad nim krzykliwy koncert odbywały, były na niego, a nareszcie usiadły w wieniec w oddaleniu, kracząc ustawicznie, podskakiwały ku niemu. Otóż najczęściej tak go znudziły i zniecierpliviły, że porzucił napół oskubaną ofiarę i zostawił ją natrętnym towarzyszkom. Powodu w bojaźni lub ostrożności szukać nie możemy, gdyż często natarczywość ptaków impetyczną ¹⁾ szarżą ²⁾ odgania i do ucieczki zmusza. Zdaje się, że wśród obiadu nie lubi, aby mu biesiadę zatrutowano, a pragnie spokojnie pożywać i to bez świadków, dla tego zwyczaju gastronom ³⁾ woli ofiarę uczynić z potrawy, jak ją zjadać wśród gwaru. Nawet przy niezaspokojonym głodzie porzuci zwierzynę i odleci.

b. Życie i śmierć jastrzębia.

Widywano go o każdej porze dnia, jak czatował mordu chciwy, a czatował z niezrównaną cierpliwością; widywano tę wspaniałą i straszną postać o krótkiej szyi, płaskiej czasce, o oczach jakby ze szkła żółtego. Któż nie zna jastrzębia, tego rycerza, który u ust, w złoto oprawnych, nosi sztylet i sztylety ma u nóg, w złotą łuskę odzianych? Nieraz leniwym lotem pruł czyste przestwory błękitu, a szalonym się stawał na widok ofiary. Widziano go samotnego w szczerem polu, kiedy ponury z rozkoszą o mordach marzył i kiedy, uniósłszy w górę skrzydła, do lotu opieszale się zabierał. Jak król śmiercionośny, przebywał on państwo bezbronných ptaków i mniejszych ssących. Najczęściej milczący — tem straszniejszy; czasem tylko wydaje dziki pisk czy syk, niby żmija. I nigdy nie było słyhać ani hasła wojny, ani okrzyku triumfu. Krępy, o potężnych barach, z piersią szeroką, opancerzoną, żywił on uczucia krwawego bohatera wojny.

Jeżeli zasiadł na dzikiej gruszy w polu, lubił się ważyć, gdy wiatr gałęziami wzruszał; niekiedy za tron obierał sobie skibę szarej roli i wtedy zaledwie ruchem głowy pobyt swój

¹⁾ gwałtowną. ²⁾ natarciem. ³⁾ smakosza.

tutaj zdradzał. Zgarbiony nieco, spozierał dokoła tym wzrokiem, który doprowadza do nieprzytomności i odrętwienia niejedno stworzenie. Oto dwakroć podskoczył niezdarnie, wzniosł w górę białe podszyte skrzydła, wzleciał i czuć w nim pana powietrznych krain. Płynie wyżej a wyżej, wzlata ponad niwami, na których z trwogi zamilkły pieśni skowroncze. Wzniosł się wysoko i krąży, zatacza w powietrzu koła. Czy to polowanie, czy bezmyślna pańska zabawa? Zakreślił w błękicie krąg wielki, ogarnął nim całe zbożowe łąny i, kąpany promieniami słońca, stanął nad borem, stolicą swoją. Teraz zgóry zagląda w gąszcze; wpatruje się w zielone polanki; patrzy na kwieciste poręby, smugi; wzrokiem plądruje drzew szczyty. Coś zajęło jego uwagę, bo z głową wdół spuszczoną, z zaciśniętymi szponami w powietrzu się zatrzymał; niby na skrzydłach stanął i skrzydłami wachluje; przez chwilę to czyni i znów popłynął dalej. Lecz oto nagle na łeb się rzucił i w mgnieniu oka spadł między drzewa, jakgdyby strzałem ugodzony. On ujrzał łup godny siebie; ale zdobycz umknęła, a łowca, dziko spozierając po cienistym lesie, przelatuje swobodnie między drzewami, ani skrzydeł o konar nie zawadzi. Słyszy tylko wszędy dokoła szmery ucieczki, głosy śmiertelnej trwogi: rodzice ukrywają dzieci, kochankowie ostrzegają narzeczone. Zabłąkana jakaś wiewiórka spóźniła się w powszechnym popłochu zwierząt... W zielone murawy zabiegła, orzeszek znalazła i w gniazdo goniosła; orzeszek upadł jej po drodze, chciała go odzyskać, jedną chwilę dłużej zabawiła; to ją zgubiło. Zadarła w górę ogon, skacze w wielkich susach, snadź uczuwa przestach, bo dziwnie pomrukuje i zwinne ciało rzuca niby piłką. Już dopada pnia sosny, dwa skoki jeszcze tylko, a ujdzie przed wrogiem swego życia. Ale jastrząb dopadł zręcznej skoczki, uderzył na nią szponami, ugodził w czaszkę śmiertelnym ciosem, topiąc w niej dziób haczysty. Ogłuszona uderzeniami, popadła w jakiś obłąd, poczuła marność i nicność życia, nieuchronność swej zguby; zamglonem okiem spojrzała i zobaczyła straszne jastrzębiowe oczy, świecące dziwną siłą i nieubłaganą wściekłością... Dziób okropny, chciwie rozdziawiony, i te dzikie oczy dobiły biedną. Ucichło w piersi trwożliwie skaczące serce; mrok wiecznej ciszy, niezakłóconego spokoju zakrył przed nią pogodę ciepłego dnia jesieni. A on bezmyślnie wściekły, mechanicznie powtarzał

ciosy na ciele, drgającym resztkami życia. Znów wzniósł skrzydła i teraz unosił już w szponach krwawą ofiarę, przelatując nisko ponad ziemią, aby znaleźć miejsce dogodnie dla spożycia uczt. Usiadł pod krzakiem leszczyny i ciepłe jeszcze ciało rwał kawałkami, połykał je szybko, a za każdym razem dławił się z chciwości.

Alboż to jedna ofiara jastrzębiej żarłoczności?

Jesienne popołudniowe słońko łagodnie grzało; nitki pajęczyny wlokły się po powietrzu, i pajęczyną nakryły się miedze, ścierniska, krzaki tarniny. Z ugorów wystraszyli pasterze zająca, skąd też uciecha ogromna. „Aha!... Aha!...” krzyczą, a w dłonie klaszczą i pędzą. Wypadł strwożony szarak, słuchy położył na grzbiecie; rwie przez jedno, drugie pole, aż się za nim kurzy w podorywkach; on już tylko w oczach się miga i kędyś za wzgórzem znika. Wbiegł na wąską jak krajka miedzę, postawił słupka, rozgląda się, słucha, czy jeszcze nie ścigają... Zwolna kica od miedzy i daje nura w ściernisko; tylko wierzchy jego grzbietu nieco widać i czarne końce nastawionych uszu; niekiedy mignie jeszcze białym kosmykiem i już, już ma przycupnąć w brózdzie, ażeby straszny dzień przeżyć w ukryciu, doczekać zmierzchu. On nie wie, że go zdala dostrzegło bystre oko jastrzębia. Okrutny ptak siedział na samotnym stogu wśród cichych pól; nagle zerwał się, wzleciał ponad niwę, gdzie mu się zdawało, że coś spostrzega i niby ciekawy ważył się na skrzydłach ponad ścierniskiem, badając uważnie położenie rzeczy. Zadrżał szarak w legowisku, poruszyć się nie śmie, bo jastrząb krąży mu nad grzbietem; może jeszcze nie spostrzeże, przeleci; nieraz tak bywało. Dotrzymuje więc zając placu, prawie że się wlepił w brózdę, przylgnął do niej; chciałby się schować pod ziemię. Lecz jastrząb naraz gwałtownie spada i dotkliwy cios zadaje. Cóż robić? Trzeba uciekać: pomknął przeto szarak; już późno na ucieczkę. Drugi potężny cios wściekłego dzioba razi go w grzbiet, aż się przegiął biedak... Czuje, że straszne szpony wpijają mu się między żebra; pędzi, ile siły starczą, może wróg straci równowagę... Gdzie tam! Nowy cios godzi między słuchy, aż czaszka trzeszczy... i znów nowy cios, i jakieś zaciekle szarpanie, okrutnie dotkliwe. Bek, płacz, krzyk bóleści, kwilenie, rozdzierające serce, rozległo się w polu. Mała dziecina ludzka w dolegliwościach tak się skarzy, tak jęczy bezbronna... A gęste ciosy

spadają nieustannie, a szpony okrutne cisną, i silne skrzydła z przeraźliwym łoskotem biją po bokach ciała. Jeszcze parę kroków wlecze się szarak, dźwigając zwycięzcę na swym karku; już pełza prawie, słabym krokiem podchodzi do krzaka głogu; może się tu schronić zdoła, wciśnie się w ciernie i ocali choćby parę chwil nadwyreżonego życia. Daremnie Jastrząb jednym szponem czeplił się krzaka, drugim przycisnął ku sobie znękanie i poranione zwierzę. Rozpoczęła się znów krwawa uczta.

Nadeszła zima, śnieżna opończa przystroiła ziemię w nową barwę. Niechaj niedołęzni oprawcy czają się wśród drzew i krzewów: kto ma wzrok bystry, łot dzielny i dobrą siłę, ten w otwartem polu bierze zdobycz. Na tych smutnych, ubielonych niwach popod lasami tak jakoś żałośnie, tęskno!... Niby jastrzębiowe grody, wysokie zamki, stoją po łąkach stogi z sianem, w polach — grusze wyniosłe na miedzach. Po takich czatowniach dniem wysiaduje jastrząb. Zna on wszystkie kamienie, które czernieją, odbijają od śniegu na polach w okolicy; oko go nigdy nie zawodzi. Tam oto wdali widnieje pod wzgórzem gromadka jakichś czarnych punkcików: ale on się myli; to kretowiska nieprzyprośzone śniegiem. Lecz dalej jeszcze, około miedzy, widać gromadkę innych czarnych wysepek; — to kuropatwy zziębłe, zgłodzone, nieszczęśliwe, właśnie co tylko zapadły tu, bo w polach, lodową skorupą pokrytych, nie mogą nigdzie odgrzebać szczypioru oziminy. Hajże na nie! To zdobycz dobra i łatwa. Więc znów mordy.

Są i chwile, w których jastrzębiowi trudno wyżyć w lesie i na polu. Puszczal się on wtedy na wyprawę pomiędzy ludzki inwentarz; załatywał do Orłowej Woli i wyławiał chłopskie gołębie; wpadał znienacka na podwórze bogatego pańskiego kurnika, gdzie porywał tłuste kury, koguty, perlice; — żył dostatnio i wygodnie.

Taki potężny, zuchwały, butny jastrząb, zdało się będzie już wieczną plagą okolicy; jednakże i on miał smutny koniec. Pamiętam jeden pogodny dzień letni. Błękitne niebo ubrane było w białe strzępy chmur najrozmaitszej formy. Na tle tem zaledwie widzialny wysoko bujał nasz bohater, jakby go tchnienie górnych zefirów unosiło w przestworzach. Ciemne knieje z muzyką uroczystych szumów miał pod swymi stopami. Zakreślał kręgi, niby naśladował wir ciał nie-

bieskich dokoła słońca. Skończył i z wolna zmierzał dokoła puszczy, chciał chyba spocząć. Atoli podówczas właśnie, skądś z pól dalekich spiesząc, pełna macierzyńskich uczuć do gniazda swego zdążała wrona. W wielkim rozpędzie wleciała między liściaste gałęzie starego dębu, zapadając tu, narobiła szumu, zgielku i, zanim dotarła gniazda z piskletami, wyciągała na prawo i na lewo dziobatą głowę, rozglądała się wokoło przezornem okiem. Już, już miała rozdziawić gardło, narobić wrzasku, zwiastując swe przybycie, kiedy właśnie nad głową swoją i nad ukochanem gniazdem młodzieutkich wroniat spostrzegła strasznego łowcę. Ten widok napędził jej strachu; porwała się czem prędzej do lotu, niby się tyłem cofając na skrzydłach, i wrzasnęła tak przeraźliwym głosem, że sam jastrząb na bok się usunął. Krakanie wrony było jakieś straszne, daleko w las leciało i po boru się rozległo. Wrona powtórzyła okrzyk drugi i trzeci raz, może jako hasło szczepowej solidarności w wyjątkowych stanach rzeczy; potem rzuciła się do jastrzębia.

Wołanie owo miało widocznie doniosłość wezwania do pospolitego ruszenia, bo wnet pojawiła się druga kracząca wrona, a za nią przybyła trzecia, czwarta i piąta. Stał się wrzask nadzwyczajny, który powoływał do boju nowe wrony ze wszystkich stron przylatujące. Niektóre wcale nie napały na jastrzębia, lecz, pędząc za nim ponad wierzchołkiem drzew, dały się straszliwie. Pogoń ta była nadzwyczajnie natarczywą... Mknął straszliwy ptak, uchodząc pomiędzy drzewami, a gdzie tylko się znalazł, wszędy spotykał krzykliwe i zacietrzewione wrony. Jedne gnały górą, drugie — tuż za nim, inne przysiadły na drzewach, wrzeszcząc na całe gardło. Tak to solidarność słabych wytwarza siłę.

Po kilkakroć zwracał się wściekły jastrząb i całą tę hołotę rozpędzał na cztery wiatry; nareszcie ośzołomiony, znużony wywinął się z boru po krętych drogach, wpadł w zagajniki, a stamtąd dołem wyleciał na bagna, poprostu uciekł.

.....

Kiedy jastrząb, ścigany w boru przez wrony, wyrwał się w czyste pole i ponad bagna wypłynął, Tynia ¹⁾ naradza-

¹⁾ córka właściciela wsi, w której się rzecz dzieje.

ła się wówczas na grobli z Kukułką ¹⁾, w jaki sposób byłoby można dotrzeć do samego środka bagniska w celach myśliwskich. Płowe pierze drapieżnego ptaka wyraźnie odbijało się na czarnem prawie tle trzęsawisk. Panna Strojomirska ręką wskazała strzelcowi jastrzębia. Kukułka spojrział, zdjął z ramienia strzelbę i złożył się w mgnieniu oka. Huknął strzał, lecz odległość była znaczna, i tylko pierze posypało się z ptaka, który teraz przyspieszył lotu i pędził dalej. Spoglądano za znikającym w oddaleniu rabusiem zwierzyny. Wdali widniały kępki sitowia i olszynowych zarośli; jastrząb wzniósł się w tem miejscu dosyć wysoko: może się tu obawiał zasadzki, a może bystrym wzrokiem chciał zgłębić zgóry wnętrze zarośli. Naraz widzowie na grobli ujrzeli dymek, wznoszący się wgórę z olszyn; później posłyszeli jakgdyby lekkie puknięcie i ujrzeli spadającego na dół jastrzębia.

a. Polonez.

§ 23. Poloneza czas zacząć. — Podkomorzy rusza.
I, zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wasa podkręcając, podał rękę Zosi
I, skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;
Dano hasło, zaczęto taniec, — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli ²⁾, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby odniechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.
Oto stanął, jakgdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;

¹⁾ strażnikiem leśnym i nadwornym strzelcem. ²⁾ krzywej, wąskiej, cienkiej i lekkiej szabli o rękojeści ozdobnej. Polacy używali jej do stroju uroczystego, nie do boju. Rękojeść bywała z kamienia: jaspisowa, agatowa, ametystowa, złotemi lub szmelcowanemi gwoździkami spajana. (Od nazwy miasta arab. Karbala, słynącego z wyrobu tej broni).

On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi
I zaśmiał się nakoniec, — rad z jej odpowiedzi,
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów zgóry
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją nabakier i pokręcił wąsa.
Idzie, — wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,
Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękęjęść składa,
Jakby rzekł: „Nie dbam o was, zazdrośnikom biada!“
Zwraca się z dumą w czoło i z wyzwaniem w oku
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,
Ustępują mu z drogi i, zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim. —

Brzmia zewsząd okrzyki:
„Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie, młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!“

I szły pary po parach hucznie i wesoło;
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieniami zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

b. Krakowiak.

Jaśmont... wpadł do gumna i zakręcił się na toku, wo-
łając:

— Niechaj do tańca grają, już się nogi zwijają! Kra-
kowiaka, Zaniewscy!

Zaniewscy po półgodzinnym odpoczynku na całe gum-
no zahuczeli różnym krakowiakiem, ale tańczyć go nie zaraz

zaczęto, bo nie wszyscy taniec ten umieli, więc pary dobie-
rały się z niejaką trudnością. Nakoniec dobrało się ich dwa-
naście z pierwszym drużbantem na czele, który wołałby
z Domuntówną, ale przez uszanowanie dla zwyczaju i osoby
z pierwszą drużką przodem pomknął, a wszyscy za nimi
w podskokach biegli, głośnie hołupce wybijając i zgrabnie,
gibko wyginając się w strony obie.

Justyna niczem szczególnie nie wyróżniała się z grona
tancerek. Mniej piękna od kruczowłosej Osipowiczówny, od
Antolki, od Siemaszczanek zgrabniejszą nie była, ale miała
w tańcu większą niż one powagę i grację. Więc lekko na
ramieniu tancerza zwieszona, z półuśmiechem na ponsowych
ustach, jak łabędź płynęła przodem korowodu, a widzowie,
dokoła stojący i siedzący, patrząc na nią, głowami kiwali
i szeptali, że z tak piękną panną miłoby było tańczyć do
końca świata. Ale najuporczywiej i coraz ognściej z nad-
rzędu kornetów ¹⁾ i czepców ścigał ją wzrokiem Janek, coraz
rozkoszniej uśmiechać się zaczynał, niecierpliwą stopą parę
razy o tok uderzył, aż do kieszeni siermiężki sięgnął, ba-
wełniane rękawiczki pośpiesznie na ręce włożył i przez ob-
siadujące ławę niewiasty przeskoczył. Na ławie powstał krzyk
i pisk; łokciami jego, a uchowaj Boże! i nogą może zache-
piony czepek Giecołdowej na ucho jej się zsunął, co dzier-
żawczynię bardzo rozgniewało, a u jej sąsiadek wywołało
głośnie współbolewanie i tajemne śmiechy. Ale on, na zo-
stawione za sobą miny i gniewy wcale się nie oglądając,
parze, tańcowi przodującej, drogę zabiegł, rozgłośnie w dło-
nie uderzył i na całe gumno zawołał:

— Klaskanego!

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, więc tancerze na-
tychmiast wtył się cofać zaczęli i obejmować panny, za ni-
mi się znajdujące, a tancerka z pierwszej pary, jak ptak lek-
ki i szczęśliwy, ze wzniesionemi ku niemu oczyma na ramię
Jana spłynęła. On, po raz pierwszy kibić jej obejmując,
ukropem na twarzy się oblał i wzrokiem wgórę rzucił, lecz
potem, jakby radością i dumą szalony, z głośnym hołupcem
nad ziemię się porwał i z ramieniem nieco podniesionem

¹⁾ wysokie czepców kobiecych muślinowych, gazowych, koron-
kowych lub siatkowych z szeroką wstążką.

wgórę, a twarzą ku twarzy tancerki schyloną szumnie i dumnie dokoła toku tancerzy korowód prowadził.

— No! choć raz pięty do tańca poruszył — zawołano w tłumie.

On zaś w tem miejscu, gdzie muzykanci siedzieli, stanął, inne pary zatrzymał i pięknym głosem nietylko na całe gumno, ale na ogród, drogę i szerokie pole zaśpiewał:

Świeci księżyc, świeci
Okolo północy;
Ciebie przestać kochać .
Nie jest w mojej mocy!

Ten przyśpiewek poprostu zachwycił wszystkich, szczególnie kobiety. Aż w dłonie uderzały i chichotały z uwielbienia. Póki dał się, to dał się, ale jak przestał, to już go nikt nie prześcignie, nawet pan Jaśmont, który ślicznie tańczy i jeszcze śliczniej mówi, ale do śpiewania to już bynajmniej niezdatny. Jednak pierwszy družbant, czy to ambicją powodowany, czy dla rozweselenia Jadwigi, która nadęta i jak nieżywa poruszała się przy nim, na tem polu także popisać się spróbował. Po kilku zwrotach tańca z kolei jak wryty stanął i bardzo cienkim dyszkantem niezupełnie na nutę krakowiaka zaśpiewał:

Powierzchowność często myli,
Szczególniej kobiety;
Chociaż oczko łzą umili,
Lecz serce... niestety!

I niepotrzebnie z Jankiem w zapasy wchodził, bo pokazało się, że wcale w czem popisywać się nie miał; i przyśpiewek niestosowny wynalazł, i w słuchaczach obudził zdziwienie: jakim sposobem taki duży mężczyzna mógł taki cienki głos z siebie dobywać.

Wzamian kruczowłósy Osipowicz z błękitnooką Cecylką Staniewską, jakby umyślnie przed matką jej stanąwszy, prawie tak pięknie jak Janek zaśpiewał:

Koło domu steczka,
Chowaj, matko, pieska:
Masz córeczkę ładną,
To ci ją ukradną!

I ogromny Domunt znowu z malutką Siemaszczanką raczej gromko, niż melodyjnie, krzyknął:

 Za rzeką, za Niemnem, kukaweczka kuka,
 Mam tego za dudka, kto posażnej szuka!

Ale krakowiak już się kończył, i inni, choćby chcieli, do śpiewania nie mieli czasu. A tylko Janek jeszcze, jak do przyspiewków dał hasło, tak je i zakończył, nie w porę nawet, bo przed samym końcem tańca, krótko lecz dobitnie wyśpiewując:

 Najpierwsze kochanie kiedy serce chwyci,
 Radością i smętkiem dosyć je nasycił

Poczem zaraz tancerkę swoją jak piórko dokoła siebie okręcił i, na jedno kolano przed nią przypadając, rękę jej do ust przycisnął.

c. Tańce w fortalicji ¹⁾ chreptjowskiej.

Śnieg sypał tak gęsty, że wypełnił całkiem rów stannicy i wałem osiadł na częstokole. Na dworze była noc i zawieja, a główna izba chreptjowskiej fortalicji gorzała od światła. Było dwóch skrzypków, trzeci basetlista, dwóch czekanistów ²⁾ i jeden z waltornią ³⁾. Skrzypkowie cięli od ucha, aż chwilami ich zawracało, owym zaś grającym na czekanach i waltorniach nabrzmiewały policzki, i oczy krwią zachodziły. Najstarsi z oficerów i towarzystwa poobsiadali ławy pod ścianami, jeden przy drugim, jako siwe gołębie obsiadają zręby dachu, i popijając miód a wino, spoglądali na tańczących. W pierwszą parę szedł pan Muszalski, mimo podeszłych lat tancerz tak zawołany, jak i łucznik, z Basią. Ona, przybrana w suknię ze srebrnej lamy, obszytą grono-stajowym szlakiem, wyglądała tak, jakby kto świeżą różę w świeży śnieg zatknął. Dziwili się jej urodzie starzy i młodzi, a okrzyk: „rety“ wrywał się mimowoli z wielu piersi, bo, chociaż Nowowiejska i Boska były od niej nieco młodsze i nad zwykłą miarę urodziwe, przecie ona była między niemi

¹⁾ małej forteczce drewnianej kresowej. ²⁾ grających na czekanie. Czekan—dęte narzędzie muzyczne w rodzaju fletu, oprawne w laskę. ³⁾ metalowym dętym instrumentem muzycznym z rozwartem szeroko zakończeniem.

najpiękniejsza. W oczach paliła jej się radość i ochota; przesuwając się obok małego rycerza, dziękowała mu za uciechę uśmiechem, a przez rozchylone różowe usta błyskały białe ząbki, i lśniąc się cała w swej srebrnej lamie, migając jak promień lub gwiazdka, olśniewała zarazem oczy i serca urodą dziecka, niewiasty i kwiatu.

Goniły za nią rozcięte rękawy, podobne do skrzydeł dużego motyla, a gdy, podnosząc rękoma poły jubki, czyniła dyg przed tancerzem, to myślała, że w ziemię spływa, jako zjawisko jakieś lub jak owe poniki, w letnie jasne noce nad brzegami jarów skaczące.

Zewnątrz pocztowi przyciskali do szyb oświeconych srogie wąsate twarze i, płaszcząc sobie o nie nosy, zaglądali do środka. Wielce to pochlebiało im, że uwielbiana pani gasi wszystkie inne urodą, bo wszyscy trzymali zapamiętałe za Basią, więc, nie szczędząc przytyków ni Nowowiejskiej, ni Boskiej, gromkim okrzykiem witali każde jej zbliżanie się do okna.

Wołodyjowski rósł jak na drożdżach i głową w takt Basinym ruchom kiwał; pan Zagłoba, stojąc z kuflem obok niego, przytupywał i ronił płyn na podłogę, a chwilami zwracali się z małym rycerzem ku sobie i patrzyli na się, milcząc z nadzwyczajnego zachwytu i sapiąc.

A Baśka migąła i migąła po całej izbie coraz weselsza, coraz wdzięczniejsza. To jej dopiero była pustynia! Raz bitwa, to znów łowy, to uciecha i tańce, i kapela, i żołnierzy moc — i mąż największy między nimi, a kochający i kochany; czuła Basia, że ją wszyscy lubią, że ją podziwiają, wielbią, że mały rycerz coraz przez to szczęśliwszy, więc i sama czuła się tak szczęśliwa, jak ptaki, gdy za nadejściem wiosny bujają w majowym powietrzu, krzycząc mocno a radośnie.

W drugą parę za Basią tańczyła przybrana w karmazynowy kubraczek Nowowiejska z Azją. Młody Tatar nic do niej nie mówił, upojony zupełnie białem zjawiskiem, błyszczącym w pierwszej parze, lecz ona myślała, że to wzruszenie tak tamuje mu głos w piersiach i lekkimi z początku a potem coraz mocniejszymi uściśnieniami dłoni starała się dodać mu odwagi. Azja też czasem oddawał jej uściski tak silne, że ledwie okrzyk bólu mogła stłumić, lecz czynił to mimowoli, bo o niczem nie myślał, tylko o Basi, nicze-

go nie widział poza Basią, a w duszy powtarzał straszną obietnicę, że, choćby mu przyszło pół Rusi spalić, to ona musi być jego.

Chwilami zaś, gdy wracało mu nieco przytomności, miał ochotę porwać Ewkę za gardło i dusić, i pastwić się nad nią, za jej uściśnienia dłoni i zato, że stawiała między jego miłością i Basią. Wówczas przeszywał biedną pannę swym sokolim okrutnym wzrokiem, a jej serce poczynąło bić mocniej, bo myślała, że on z miłości patrzy na nią tak drapieźnie.

W trzecią zaś parę tańczył młody pan Nowowiejski z Zosią Boską. Ta podobna do niezapominajki dreptała ze spuszczonej oczyma obok niego, a on wyglądał, jak rozhukany tabuńczyk, i skakał, jak rozhukany tabuńczyk. Z pod okutych pięt jego leciały drzazgi, czupryna wichrem podniosła się do góry, lice ubarwiło się rumieńcami, rozdał szerokie chrapy, jak turecki bachmat, i zakręcał Zosią, jak wicher liściem, i unosił ją w powietrzu. Rozochociła się w nim dusza bez miary, a że, siedząc na krańcu Dzikich Pól, po całych miesiącach niewiast nie widywał, więc mu Zośka tak odrazu przypadła do serca, że w jednej chwili na umór się w niej rozkochał. Od czasu do czasu spoglądał na jej opuszczone oczki, to na rumiane policzki i aż parsknął na ów luby widok i tem mocniej iskry podkówkami krzesął, i tem mocniej na zwrotach przygarniał ją do swej szerokiej piersi, i śmiechem ogromnym z nadmiaru ochoty wybuchał i kipiał, i coraz mocniej kochał.

A Zosia aż złękła się w lubem serduszku, jeno że nie był to przykry strach, bo spodobał się jej także ten wicher, który ją oto porwał i unosił. Czysty smok! Widywała ona różnych kawalerów w Jaworowie, ale tak ognistego nie widziała dotychczas, i żaden tak nie tańczył, i żaden tak nie przygarniał. Naprawdę, czysty smok!... Co z takim robić, kiedy niepodobna mu się oprzeć...

W następnej parze tańczyła z grzecznym towarzyszem panna Kamińska, a dalej Kieremowiczowa i Nerese-wiczowa, które, choć mieszcanki, zaproszono jednak do kompanji, bo obie były niewiasty dość dwornych manier i wielce zamożne. Poważny Nawiragh ¹⁾ i dwaj Anardraci ²⁾ patrzyli

¹⁾ wysłaniec naczelnego patriarchy albo katolikosa ormiań-

ze wzrastającym zdziwieniem na polskie płasy; starzy przy miodzie czynili gwar coraz mocniejszy, podobny do gwaru, jaki czynią koniki polne na ściernisku. Kapela jednak głuszyła wszystkie głosy — w środku zaś izby ochota w sercu rosła i rosła.

Pierwsze spotkanie Litwinów ze z wedami.

§ 24. Dojechawszy bliżej wsi, zwolnili kroku i ujrzeli szeroką ulicę, oświeconą tak płomieniem, iż szpilki możnaby na niej zbierać, bo po obu stronach paliło się kilka chałup, a inne zajmowały się od nich zwolna, gdyż wiatr był dość silny i niósł iskry, bał całe snopki, podobne do ptaków ognistych, na przyległe dachy. Na ulicy płomień oświecał większe i mniejsze gromadki ludzi, poruszające się szybko w różne strony. Krzyk ludzi mieszał się z odgłosem dzwonów ukrytego wśród drzew kościoła, z rykiem bydła, ze szczekaniem psów i rzadkimi wystrzałami z broni palnej.

Podjechawszy bliżej, żołnierze pana Wołodyjowskiego ujrzeli rajtarów³⁾, przybranych w koliste kapelusze, ale niezbyt wielu. Niektórzy ucierali się z gromadkami chłopów, zbrojnych w cepy i widły, strzelając do nich z pistoletów i wypierając za chałupy, na ogrody; inni wypędzali na drogę rapierami⁴⁾ woły, krowy i owce. Inni, których zaledwie można było rozeznaczyć wśród całych kłębow pierza, poobwieszali się ptactwem domowem, trzepocząc jeszcze skrzydłami w przedśmiertnych podrygach. Kilkunastu trzymało konie, każdy po dwa lub trzy, należące do towarzyszków, zajętych widocznie rabunkiem chałup.

Droga do wsi schodziła nieco z góry wśród brzezino-wego lasu, tak że laudańscy, sami nie będąc widziani, widzieli jakoby obraz, przedstawiający najście wsi przez nieprzyjaciela, oświecony pożarem, w którego blaskach dokład-

skiego w Eczmiadzynie (gub. Erywańskiej). Newiraghów albo Nawiraghów obowiązkiem było zbieranie datków między ludem na utrzymanie kościoła i płacenie podatków. ²⁾ biegli teologowie, chodzący po miastach i wsiach z kazaniami. Nazwa Anardrat znaczy taki, co gardził pieniędzmi, Anardraci bowiem od tych, których nawleczali, brali tylko żywność. ³⁾ żołnierzy konnych (niem. Reiter). ⁴⁾ długie-mi, prostemi, wąskimi obosiecznymi szpadami (niem. Rappier).

nie można było odróżniać obcych żołnierzy, wieśniaków, niewiasty, ciągnane przez rajtarów, i broniących się bezładnymi kupami mężów. Wszystko to poruszało się gwałtownie, nakształt lalek w jasełkach ¹⁾, krzycząc, klnąc, lamentując.

Pożar nad wioską trząśł całą grzywą płomienia i huczał coraz straszliwiej.

Pan Wołodyjowski, zbliżywszy się z chorągwią do rozwartego naoścież kołowrotu ²⁾, kazał zwolnić kroku. Mógł on uderzyć i jednym zamachem zgnieść nie spodziewających się niczego napastników; ale mały rycerz postanowił sobie „pokosztować Szwedów“ w bitwie otwartej, zupełnej, więc naumyślnie czynił tak, aby go spostrzeżono.

Jakoż kilku rajtarów, stojących wedle kołowrotu, spostrzegło najprzód zbliżającą się chorągiew. Jeden z nich skoczył do oficera, który stał z gołym rapierem wśród większej kupy jeźdźców na środku drogi, i począł mówić coś do niego, ukazując ręką w tę stronę, z której spuszczał się ze swoimi ludźmi pan Wołodyjowski. Oficer przysłonił oczy ręką i popatrzył przez chwilę, następnie skinął, i wnet donośny odgłos trąbki zabrzmiał wśród rozmaitych okrzyków ludzkich i zwierzęcych.

A tu rycerze nasi mogli podziwiać sprawność szwedzkiego żołnierza, zaledwie bowiem rozległy się pierwsze tony, gdy jedni z rajtarów poczęli wypadać co ducha z chałup, drudzy porzucali zrabowane rzeczy, woły, owce i biegli do koni.

W mgnieniu oka stanęli w sprawnym szeregu, na którego widok wezbrało podziwem serce małego rycerza, tak lud był dobrany. Chłopy wszystko roste i tęgie, przybrane w kaftany ze skórzanymi pasami przez ramię, w jednostajne czarne kapelusze z podniesionem koliskiem z lewej strony; wszyscy mieli jednakie gniade konie i stanęli murem z rapierami przy ramieniu, poglądając bystro, ale spokojnie w stronę drogi.

Jednakże z szeregu wysunął się oficer z trębaczem, chcąc widocznie zapytać, coby byli za ludzie, zbliżający się tak wolno.

¹⁾ przedstawienia zapomocą figurek narodzenia Chrystusa. ²⁾ rodzaju wrót podwójnych.

Widocznie sądził, iż to jakaś radziwiłłowska chorągiew, od której nie spodziewał się zaczepki. Jął tedy machać rapierem i kapeluszem, a trębacz trąbił ciągle na znak, iż chcą rozmowy.

— A wypalno który ku nim z garłacza ¹⁾, — rzekł mały rycerz — aby wiedzieli, czego się mają od nas spodziewać!

Strzał huknął, ale siekańce nie doszły, bo było zbyt daleko. Oficer widocznie myślał jeszcze, iż to jakieś nieporozumienie, gdyż począł tylko mocniej krzyczeć i kapeluszem machać.

— Dajcież mu drugi raz! — zakrzyknął pan Wołodziejowski.

Po drugim strzale oficer zawrócił i ruszył, choć niezbyt pospiesznie ku swoim, którzy także zbliżyli się rysią ku niemu.

Pierwszy szereg laudańskich ludzi wjeżdżał już w kołowrot.

Oficer szwedzki zakrzyknął, dojeżdżając, na swoich ludzi; rapiery, sterczące aż do tej chwili przy ramionach rajtarów, pochyliły się i zwisły na pendentach ²⁾ — natomiast wszyscy naraz wydobyli pistolety z olster ³⁾ i wsparli je na kulach od kulbak, trzymając lufy do góry.

— Doskonały żołnierz! — mruknął Wołodziejowski, widząc szybkość i jednoczesność prawie mechaniczną ich ruchów.

To rzekłszy, obejrzał się na swoich ludzi, czy szeregi w porządku, poprawił się w kulbace i krzyknął:

— Naprzód!

Laudańscy pochylili się ku szyjom końskim i ruszyli jak wicher.

Szwedzi przypuścili ich blisko i naraz dali ognia z pistoletów, lecz salwa niewiele zaszkodziła laudańskim, więc zaledwie kilku wypuściło z rąk trenzle i przechyliło się wtył, inni dobiegli i uderzyli się z rajtarami pierś o pierś.

Litewskie lekkie chorągwie używały jeszcze kopij, które w koronnem wojsku służyły tylko husarji, ale pan Woło-

¹⁾ strzelby z lufą szerszą u wylotu. ²⁾ pasach, na których przez ramię przypasują szablę albo szpadę u boku (franc. pendant). ³⁾ fute-
rałów na pistolety (niem. Holster).

dyjowski, spodziewając się bitwy w ciasnocie, kazał je zatknąć poprzednio przy drodze, więc zaraz przyszło do szabel.

Pierwszy impet nie zdołał rozerwać Szwedów, lecz zepchnął ich wtył tak, iż poczęli się cofać, siekąc i bodąc rapierami, laudańscy zaś parli ich zapamiętałe przed sobą wzdłuż ulicy. Trup począł padać gęsto. Ciżba czyniła się coraz większa; szczęk szabel wypłoszył chłopstwo z szerokiej ulicy, w której gorąco od płonących domów było nie do wytrzymania, lubo domy ode drogi i opłotków oddzielone były sadami.

Szwedzi, parci coraz potężniej, cofali się zwolna, ale zawsze w dobrym porządku. Trudno im zresztą było się rozproszyć, ponieważ silne płoty zamykały drogę z obu stron. Chwilami próbowali zatrzymać się, ale nie mogli podołać.

Była to dziwna bitwa, w której z przyczyny wąskiego stosunkowo miejsca walczyły wyłącznie pierwsze szeregi, następne zaś mogły tylko pchać stojących w przódzie. Ale przez to właśnie walka zmieniła się w rzeź zacieklą.

Pan Wołodyjowski, uprosiwszy wprzód starych pułkowników i Jana Skrzetuskiego, aby w samej chwili ataku mieli nadzór nad ludźmi, używał dowoli w pierwszym szeregu. I co chwila jakiś kapelusz szwedzki zapadał przed nim w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię; czasami rapier, wytracony z rąk rajtara, wylatywał furkocząc nad szereg, a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy, i znów kapelusz zapadał; zastępował go drugi, drugiego trzeci, lecz pan Wołodyjowski posuwał się ciągle naprzód, małe jego oczki świeciły, jak dwie skry złowrogie, i nie unosił się i nie zapamiętywał, nie machał szablą jak cepem; chwilami, gdy nie miał nikogo na długość szabli przed sobą, zwracał twarz i klingę nieco w prawo lub w lewo i strącał w mgnieniu oka rajtara ruchem napozór nieznacznym i straszny był przez te ruchy małe, a błyskawiczne, prawie nieczłowiecze.

Jak niewiasta, rwąca konopie, zanurzy się w nie tak, iż ją zupełnie zasłonią, ale po zapadaniu kiści poznasz łatwo jej drogę, tak i on niknął chwilowo w tłumie rośłych mężów, lecz tam, gdzie padali, jako kłós pod sierpem żniwiarza, podcinającego źdźbła od dołu, tam właśnie on był. Stanisław Skrzetuski i posępny Józwa Butrym, zwany Beznogim, szli tuż za nim.

Nakoniec szwedzkie tylne szeregi poczęły wysuwać się z opłotków na obszerniejszy wirydarz przed kościołem i dzwonnica, a za nimi wysunęły się przednie. Rozległa się komenda oficera, który pragnął widocznie wprowadzić wszystkich naraz ludzi do boju, i wydłużony aż dotąd prostokąt rajtarów rozciągnął się w mgnieniu oka wszcz w długą linię, chcąc całym frontem stawić czoło.

Lecz Jan Skrzetuski, który nad ogólnym przebiegiem bitwy czuwał i czołem chorągwi dowodził, nie poszedł za przykładem szwedzkiego kapitana, natomiast ruszył naprzód całym impetem w ścieśnionej kolumnie, która, trafiwszy na słabszą już ścianę szwedzką, rozbiła ją w mgnieniu oka jakoby klinem i zwróciła się pędem ku kościołowi, ku prawej stronie, biorąc tym ruchem tył jednej połowie Szwedów, a na drugą skoczyli z rezerwą Mirski i Stankiewicz, mając pod sobą część laudańskich i wszystkich dragonów ¹⁾ Kowalskiego.

Zawrzały teraz dwie bitwy, lecz nie trwały już długo. Lewe skrzydło, na które uderzył Skrzetuski, nie zdążyło się sformować i rozproszyło się najpierw; prawe, w którym był sam oficer, dłużej dawało opór, lecz, rozciągnięte zbyt, poczęło się łamać, mieszać, nakoniec poszło za przykładem lewego.

Wirydarz był obszerny, lecz na nieszczęście zagrodzony ze wszystkich stron wysokim płotem, a przeciwległy kołowrot służba kościelna, widząc, co się dzieje, zamknęła i podparła.

Rozproszeni tedy Szwedzi biegali wkoło, a laudańscy upędzali się za nimi. Gdzie niegdzie bito się większymi kupami, po kilkunastu na szable i rapiery; gdzie niegdzie bitwa zmieniała się w szereg pojedynków; i mąż potykał się z mężem, rapier krzyżował się z szablą, czasem strzał pistoletowy buchnął. Tu i ówdzie Szwed lub Litwin wydobywał się z pod obalonego rumaka i padał zaraz pod cięciem czekającej nań szabli.

Środkiem wirydarza biegały rozhukane konie bez jeźdźców z rozdętymi od strachu chrapami i rozwianą grzywą: niektóre gryzły się z sobą, inne, oślepte i rozszalałe, zwracały się zadem do kup walczących i biły w nie kopytami.

¹⁾ żołnierzy, pełniących służbę pieszą i konną.

Pan Wołodyjowski, strącając mimochodem rajtarów, szukał oczyma po całym wirydarzu oficera, nakoniec spostrzegł go, broniącego się przeciw dwom Butrymom, i skoczył ku niemu.

— Na bok! — krzyknął na Butrymów — na bok!

Posłuszni żołnierze odskoczyli — mały rycerz zaś przybiegł, i starli się ze Szwedem, aż konie przysiadły na zadach.

Oficer chciał widocznie sztychem zsadzić przeciwnika z konia, lecz pan Wołodyjowski podstawił rękojeść swego dragonńskiego pałasza, zakręcił błyskawicznym półkołem, i rapier prysnął. Oficer schylił się do olster, lecz w tej chwili cięty przez jagodę, wypuścił lejce z lewicy.

— Żywym brać! — krzyknął Wołodyjowski na Butrymów.

Laudańscy chwycili rannego i podtrzymali chwiejącego się na kulbace, mały rycerz zaś sunął w głąb wirydarza i jechał dalej na rajtarach, gasząc ich przed sobą jak świece.

Lecz już powszechnie poczęli Szwedzi ulegać bieglejszej w szermierce i pojedynczej walce szlachcie. Niektórzy, chwytając za ostrza rapierów, wyciągali je rękojeścią ku przeciwnikom, inni rzucali broń pod nogi; słowo „pardon!“ brzmiało coraz częściej na pobojuwisku. Lecz nie zważano na to, bo pan Michał kilku tylko kazał oszczędzić, więc inni, widząc to, zrywali się znów do bitwy i marli, jak na żołnierzy przystało, po rozpaczliwej obronie, okupując obficie krwią śmierć własną.

W godzinę później docinano ostatków.

Chłopstwo rzuciło się hurmem drogą ode wsi na wirydarz chwytać konie, dobijać rannych i obdzierać poległych.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie Litwinów ze Szwedami.

a. Pod Warką.

§ 25. Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa, stawającego co ducha do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dać w krzywuły ¹⁾ i następował ze wszystkimi chorągwiami ku rzece.

¹⁾ krzykliwe hałaśliwe trąby wojenne.

Wtem poskoczył co tchu w dzianecie do Wąsowiczowej chorągwi, która była bliżej rzeki.

— Stary żołnierzu!—krzyknął—ruszaj mi ku mostowi, tam z koni i do muszkietów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął buzdyganem ¹⁾. Ludzie, krzyk uczyniwszy, pomknęli za nim, jak tuman kurzawy, wiatrem gnanej.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu, zwolnili biegu; tuż dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony, i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiąc cepów biło nieregularnie w kłębisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i przy drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most, który był drewniany, wąski, zatem trudny do zdobycia, a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

Toteż w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonę Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwną naczółek. Zataczano coraz nowe sztuki, i faskule ²⁾ poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami Wąsowiczowych i dragonji, padać na łakę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński, stojąc pod lasem na tyłach armji, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu do czasu zaś odejmował ją od oczu, i, spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

— Poszaleli, — mówił — koniecznie chcą ów most forsować. Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed armją bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętszą. Most stawał się punktem środkowej bitwy, ku któremu zwolna poczęła ciężać i ściągała się cała linja szwedzka.

¹⁾ buławą z głową w kształcie gruszki, podłużnie pokarbowanej.

²⁾ kule tej wielkości co kanał działa (nlem. Passkugel).

W godzinę później zmienił się cały szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycji. Most zasypywano poprostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

— Zgubi Czarniecki tych ludzi — krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witowski, jako doświadczony żołnierz, poznał, że źle się dzieje, i aż dygotał cały z niecierpliwości, nakoniec nie mógł wytrzymać dłużej, zaczął wspinać konia, aż rumak stęknął żałością, i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, niewiedomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzece.

— Wasza miłość! — krzyknął Witowski — krew się próżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

— Ja też go nie chcę zdobywać — odrzekł Czarniecki.

— Więc czego wasza dostojność chcesz? Co mamy robić?

— Ku rzece z chorągwiami! ku rzecę! Do szeregu waść.

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się, słowa nie rzekłszy.

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linią wzdłuż koryta. Nikt z oficerów ni żołnierzy nie wiedział w pień, dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach, nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole krzyknął do swojej dywizji:

— Mości panowie. Rzeką się nieprzyjaciół zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pogwałcenie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniemy!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął.

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

— Za moim panem! — krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikami chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

— Za mną! — wrzasnął przeraźliwym, a cienkim głosem Wołodyjowski.

I nurknął, nim krzyczeć przestał.

— Jezusie, Marjo! — ryknął, wspinając do skoku konia, Zagłoba.

Wtem ława mężów runęła w fale, aż wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzeg. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pana Witowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał taki ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniła się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie, bodzone ostrogami, płynęły, jakby nieprzejrzane stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i głów ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarnecki przepłynął pierwszy, lecz, nim woda zeń ociekła, wypłynęła za nim laudańska, więc machnął pan kasztelan buzdyanem i krzyknął na Wołodyjowskiego:

— Wskok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

— W nich!

I tak puszczał jedną za drugą, póki wszystkich nie odprawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i, zakrzyknawszy: „W imię Boże! szczęśliwie!” — ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtarij, stojące w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska, rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy, rozniosła pierwszy pułk, jak wichler liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, wtem doskoczył za nią Szandarowski, i rozpoczęła się rzeź straszna, lecz krótko

trwająca, po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie, i tłum bezwładny począł umykać ku głównej armji.

Chorągwie Czarnieckiego biegły za niemi z krzykiem straszliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścietając.

Stało się wreszcie jasnem, dlaczego pan Czarniecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armji skupiła się na ów punkt, i dlatego nikt nie bronił i nie miał czasu bronić przeprawy wpraw. Przytem wszystkie niemal paszcze armatnie, cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był za rzekę ku mostowi, a teraz, gdy trzy tysiące jazdy szło jej w bok całym pędem, teraz dopiero trzeba było zmieniać szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zasłonić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt¹⁾ i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy odwracały się co do ducha ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył natychmiast stojące pod lasem pułki jazdy; nim do jakiegokolwiek sprawy przyszli, nim piechota zdołała dzidy tylnymi końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska, jak duch śmierci, w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy strzałów muszkietowych pokryły jakoby chmurą całą bitwę, a w tej chmurze krzyk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpaczy, krzyki triumfu, przeraźliwe dźwiękanie żelaza, jakby z kuźni piekielnej, grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapadł w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej, i znów nic nie widziałeś, jeno łoskot rozlegał się coraz straszliwszy, jakoby ziemia zerwała się nagle pod rzeką, i jakoby wody jej spadały w przepaść niezgłębioną.

Wtem z boku nowe zabrzmiały wrzaski, to Wąsowicz przeszedł most i szedł w bok nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biec ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za niemi lunął wkrótce cały potok ludzki

¹⁾ krzątaniina, uwijanie się, rwetes.

w najokropniejszym zwichrzeniu. Artylerja, piechota, jazda, pomieszane z sobą, uciekały ku lasowi, oślepte z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli w niebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękoma, inni w biegu rzucali odzież, inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, tratowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konia i rzucające się w największą gęstwę ludzką. Nie bronił się już nikt, wszyscy szli pod miecz. Trup padał na trupie. Ciężko bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie, po brzegach rzeki, ku lasowi, jak okiem sięgnąć, widziałeś tylko uciekających i goniących; gdzie niegdzie tylko pojedyncze oddziały piechoty dawały bezładny a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armji, która biegła ku lasowi, została w pień wyciętą. Dotarły doń tylko nieliczne szwadrony rajtarij, za którymi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedobitków chłopci, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszniejsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę. Oddział przyboczny jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń, trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkietierów i jazdy, uciekało aż do Mniszewa. Muszkietników wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozproszyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zaroślach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedynczych jeźdźców chłopci.

Nim słońce zaszło, armja Fryderyka, margrabiego badńskiego, przestała istnieć.

b. Bitwa pod Warką.

Król szwedzki przybył szczęśliwie do Warszawy i pod Pragą znędniałe i zdziiesiątkowane wojsko na odpoczynek rozłożył.

Mniej szczęśliwie powiodło się Fryderykowi, margrabiemu badeńskiemu, którego książę Jan Adolf, generalissimus¹⁾ wojsk szwedzkich, na pomoc królowi, bratu swemu, pod Sandomierz, wysłał. Sam był chory, poniósłszy ranę pod Gołębiem. Powiadano, że margrabia miał 9000 ludzi, ale pokazało się, że ich było tylko 3500, a w tem 24 chorągwi jazdy, a 10 chorągwi dragonów.

Czarnecki, zostawiwszy pod Sandomierzem Lubomirskiego i kwarcianych, którzy w drodze króla szwedzkiego odstąpili, ruszył w 6000 ludzi na margrabię, dopadł straż szwedzką pod Kozienicami, otoczył i wysiekł. Margrabia, dowiedziawszy się w Janowcu, że król umyka z pod Sandomierza prawym brzegiem Wisły, rozpoczął odwrót. Przebył Pilicę i, zerwawszy most za sobą, stanął w Warce, gdzie niepotrzebnie czekał na komendanta Radomia, któremu kazał z załogą radomską pospieszać do siebie.

Oberstleitnant²⁾ Ritter, komendant Radomia, pragnąc uprowadzić swoje łupy, ciągnął powoli, a gdy się połączył z margrabią, Czarnecki stanął już nad wezbraną Pilicą, a ujrawszy most zerwany, przypadł do pierwszych szeregów i, wskazując na uchodzących Szwedów, zawołał: „Śmieją się z nas, że mostu nie mamy! Nuże, za nimi, towarzysze! Tyle drogi do nich w bród, co mostem!”

To mówiąc, rzucił się pierwszy w spienione nurty rzeki, poczem, wysławszy oddziały do Warki i do Czerska, aby Szwedom zamknąć odwrót, pomknął za nimi jak błyskawica, przychwycił tylną straż nieprzyjaciela, który, ubezpieczony zerwaniem mostu, spokojnie maszerował do Czerska.

Widząc, że bitwa nieunikniona, margrabia stanął do boju w pobliżu lasu, gdzie umieścił zasadzkę. Wytrzymał pierwsze natarcie, ale wnet podał tył i z wielką stratą w ludziach uchodził (5 kwietnia).

Zwycięzcy po trupach szwedzkich siedem mil borem i piaskami aż do przedmieść Warszawy za uciekającymi pędzili — „i mogę zapewnić Waszą Królewską Mość, — pisał Czarnecki do królowej — że, kto uszedł ostrza naszej szabli, zginął z rąk chłopów, którzy nie pardonują nikomu. Wszystkie ich bagaże dostały się w nasze ręce oraz 20 sztandarów,

¹⁾ głównodowodzący wojskami (łac. generalissimus od generalis=ogólny, powszechny). ²⁾ podpułkownik (niem. Oberst-Lieutenant).

które wraz ze znaczniejszymi jeńcami odesłałem królowi, memu panu“. Tabor wszystek z pieniędzmi i żywnością zrabowano.

„O, gdyby margrabia tego dnia nie był się spóźnił — pisał ks. Jan Adolf. — Gdyby był słuchał rozkazów Waszej Królewskiej Mości i mojej rady, nie poniósłby tej porażki. Zwoływałem dragonów Rittersa i chciałem ich zebrać, lecz nikogo nie znalazłem“. Około 500 ludzi uciekło do Warszawy, 160, przeważnie oficerów, wpadło w ręce Czarnieckiego, reszta poległa. Margrabia, brat jego z hr. Schlippenbachem i kilku pułkownikami zamknęli się w zamku czerskim i poddać się nie chcieli. Ale Polacy nie wiedzieli, że się margrabia w Czersku znajduje, bo na polu bitwy znaleziono płaszcz i kapelusze obu książąt.

a. Raławice.

§ 26.

W Raławickiem polu
Świecą ranne rosy,
Migają się w jasnym słońku
Kosynierskie kosy.

Migają się kosy,
Nikt nie liczy wroga.
— Choć go będzie sto tysięcy,
Pójdziem w imię Boga!

Święconą szablą
Pan Kościuszko skinął,
Jako orzeł w dwoje skrzydeł
Wojsko swe rozwinął.

Na tem jednym skrzydle
Parską koniki,
Tam generał Madaliński
Sprawuje swe szyki.

Na tem drugim skrzydle
Pan Zajączek stoi
Tam się błyszczą chorągiewki,
Miga słońko w zbroi.

Runęli na Moskwę,
Jak burzy nawala,
Odparły ich kartaczami
Te moskiewskie działa.

Runęli na Moskwę
Jeden raz i drugi,
Nakryło się pole trupem,
Krwi spłynęły strugi.

Widzi pan Kościuszko
Te nieszczęsne boje,
Tak zakrzyknie: — Dalej za mną,
Kosyniery moje!

I z pośrodku skrzydeł,
Jak orzeł się wzbija,
A lud za nim z wielkim krzykiem
— Jezus i Maryja! —

Pędzi pan Kościuszko,
Za nim wiara cała,
Nakryły ich ogniem, dymem
Te moskiewskie działa.

Aż wódz z dymów krzyknie:
— Ejże, moje chwaty!
Który tam z was gardziel zatka
Moskiewskiej harmaty?

Wnet skoczy na wały
Zuch Bartosz Głowacki
Gołą ręką brać te działa,
A z nim Stach Świstacki.

Przelekła się Moskwa
Tak wielkiego męstwa,
Otrębuje odwrót sobie,
A nam pieśń zwycięstwa.

b. Raclawice.

„Naprzód! W ogień! Za wiarę! Za Ojczyznę waszą”.
— Krzyk ogromny się podniósł; zachrząściały kosy.
„Dalej, chłopcy, na wroga!” Huf siermiężny, bosi
Ruszył ławą, — armatnie kule go nie straszą.

„O pod Twoją obronę!... Bądź ucieczką naszą,
„Marjo święta!... Huk armat głuży rannych głosy;
Krew a trupy... Hej! naprzód przez tych trupów stosy!
Idą, lecą — i lonty już czapkami gaszą.

I dział paszcze umilkły. Bosy huf siermiężny
Zdobyl szanice rękoma od roli i pługa —
Wiarą w ogień wiedziony i nadzieją mężny...

Potem klękli wśród trupów; cisza była długa,
Aż hymn w niebo uderzył — zwycięski, potężny.
— A wódz patrzył — i łez mu popłynęła struga...

a. Najświętszej Panny Kwietnej w Soplicowie.
1812 r.

§ 27. Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietnej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste wokoło ziemi obciążnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który, nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
Spóźnił się, spieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasty, i niebo środkiem czoła bladnie,
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrag, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,

Widać tęczę, żrenicę — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce, jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne
Przymruża się, drząc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
Aż rozłśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potem jak brylant światłe, наконец ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo litewskie z całej okolicy
Zebrało się przed wschodem wokół kaplicy,
Jakgdyby na nowego ogłoszenie cudu.
Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu
A w części z ciekawości, bo dziś w Soplicowie
Na nabożeństwie mają być generałowie,
Sławni dowódcy owi naszych legijonów,
Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy
Były ewangeliją narodową Litwy.

Już przyszło oficerów kilku, tłum żołnierzy;
Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
Oglądając rodaków, mundury noszących,
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie kłęka,
Patrzac we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.
Włos litewskiego ludu biały albo płowy
Pozłacał się, jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewczicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich, jak w zbożu bławat i kąkole.
Kłęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy, jak kłosa na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i wianki:
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa, jak z mszalnej kadzielnicy, wonie.

b. Msza w Wiszunach.

Świątynia, oglądana już wielokrotnie zdaleka, zadziwiała zbliżka tylko swym ogromem i rozrzutnością użytego materiału. W masywnym murze szczytowym za ołtarzem widniały jak strzelnice wąskie okienka od celek klasztornych, objętych całkowicie grubością muru.

Przed niskiem głównem wejściem na kamiennych schodach nie siedzieli zebracy, lecz rozsiadły się swobodnie kobiety z ludu, przybyłe na nabożeństwo. Niektóre starsze zachowały jeszcze malowniczy strój głowy, białą jak śnieg „namiotkę“, przypominającą misternem wiązaniem ubiór kobiet polskich z XVI wieku. Wielu mężczyzn chodziło po podwórzu kościelnem, trzymając czapkę w prawej ręce, charakterystycznie założonej pod lewe ramię. Jak wszędzie na wsi, kościół i jego najbliższa okolica stawały się w pogodną niedzielę miejscem uczty oczu i uszu, zbiorowem weselem, polem popisu z dóbr i urody. Nic to nie ubliża szczerzej pobożności litewskiego ludu.

Przez boczne wejście od zakrystji weszli Budziszowie i Rokszycki do wnętrza nawy i zajęli miejsca w jednej z czterech ławek, ustawionych dla „honoratiores“¹⁾ przy obu murach rozległego prezbiterjum. W tej części kościoła, odgradzonej balustradą, tłum był rzadszy, bardziej z miejska ubrany, przeto pospolitszy. Ale piękniejsza chwała Boża biła od ludu, klęczącego wzdłuż ogromnej nawy dwoma zastępami: ciemnym z mężczyzn i kwiecistym z niewiast. Rozłączał je szpaler środkowy, strzeżony przez „bratczyków“²⁾ w liberji kościelnej, z których każdy dzierżył poważnie latarnię, osadzoną na wysokiem drzewcu. Kto chce oglądać

¹⁾ szanownych, godniejszych. ²⁾ członków bractwa kościelnego.

powagę i krasę ludu litewskiego, niech przyjeżdża na mszę niedzielną do Wiszun.

Pułk męski klęczał w skupionej zadumie. Głowy rozliczne, częściej jasnowłose, mówiły każda po swojemu o spokoju sumienia. Trudnoby je posadzić o instynkty drapieżne, o zaborcze ruchy zbiorowe, o nerwową niecierpliwość rewolucyjną. Marzące błękitnie, kwitnące spokojnie, czasem zastygłe w biernej zaciętości, twarze te były krewne typu prastłowiańskiego.

Kolumna niewiast wysuwała na front najpiękniejsze. W ogromnym kobiercu szat barwnych, białych „namiotek“, kwiatów świeżych, trzymanyh w rękę i upiętych we włosy, zalotne oczy i różane cery młodych Litwinek błyszczały niezwykłą przez nadmiar barw otaczających. Czy się pochylała która niedbale, zrzucając na ramiona chustę z rozgrzanej głowy, czy skamieniała w czołobitnym pokłonie, dorysować było można szlachetną linię ciała o długiej goleni i spadzistych bokach.

A od całej nawy, szczelnie zajętej przez lud, wiał świeży zapach chleba i ziela, nie kłócąc się z wonią kadzideł.

c. Na św. Piotra i Pawła w Lipcach.

Skoro jeno zasygnowali ¹⁾ na sumę, naród porzucił zabawy i, kiej wezbrany potok, lunął do kościoła i tak go napchał, jaże żebra trzeszczały, a ciągiem jeszcze przybywali nowi, gnietać się, a nawet swarząc, ale większość musiała ostać na dworze, tuląc się pod mury i drzewa.

Przyjechało też paru księży z drugich parafij, zasiedli zaraz w konfesjonałach pod drzewami słuchać spowiedzi, nie bacząc zgoła na tłok ni na spiekę.

A wiater był całkiem ustał, i gorąc podnosił się już nie do wytrzymania, żywy ogień lał się prosto na głowy, ale naród cierpliwie gniótł się przy konfesjonałach i roił po smętarzu, na darmo wyszukując cienia lub jakiej bądź osłony.

Proboszcz był właśnie wychodził ze mszą, kiej dopiero Hanka z Józką nadeszły, ale że niesposób się było docisnąć choćby nawet do drzwi kościelnych, to stanęły na szczerem

¹⁾ zadzwonili w sygnaturkę, w najmniejszy dzwonek, dający znać o rozpoczęciu nabożeństwa.

słońcu pod parkanem, rozglądając się w ciżbie, a Pochwalonym witając znajomków.

Zaraz też huknęły organy, i zaczęła się suma; przykłąkli wszyscy, poprzysiadali, a jęli się żarliwie pacierzy.

Rychtyk i południe stanęło, słońce zawisło prosto nad głowami, lejąc warem straszliwym, i wszystko jakby pomdlało z onej spieki, że ni liść nie zadrgał, ni ptak przeleciał, ni jaki bądź głos powiał z pół. Niebo wisiało w martwej cichości, kiej ta szklana tafla, rozpalona do białego, a roztrzęsione niby wrzątek powietrze oślepiało, wyzerając oczy. Parzyła ziemia, parzyły rozgrzane mury, że klęczeli bez ruchu, ledwie już zipiąc i jakby się zwolna gotując w tym ukropie słonecznym.

Naród się modlił w głębokiej cichości, kto na książce, kto na różańcu, a kto jeno tem szczerem słowem Boga chwalił i wzdychem serdecznym. Uroczyste głosy organów lały się brzękliwym, rozmodlonym pacierzem, a niekiedy śpiew buchał od ołtarza, czasem zajazgotały dzwonki, a czasem zahuczał grubachny głos organisty, zaś potem ciągnęły się długie, jakby oniemiałe z żaru chwile, i dymy kadzideł płynęły przez wywarte drzwi kościoła, oprzędzając w niebieskawą i wonną mgłę pochylone głowy klęczących.

Szmer pacierzów rozdzwaniał się nikłym sypkim chrzęstem w rozbielałej ciszy gorącego przypołudnia, i grały w słońcu barwiste chusty, kapoty i wełniaki, że cały smętarz widział się kieby przytrząśnięty kwiatami, co się chyliły koronie w onej świętej godzinie przed Panem, jakoby utajonym w tem słońcu rozgorzałem i we wszystkiej cichości świata...

Że tylko niekiedy co tam ktoś grzbieit prostował, rozwodził ręce i wzdychał głęboko, to gdziesik zapłakało dziecko, albo kwik koński roznosił się od wozów.

Nawet dziady pocichły, tyle jeno co poniektóry przez śpik wyrywał się niekiedy z głośniejszem Zdrowaś i o wspomnienie zaskamtał.

A upał jeszcze się wzmagał i tak prażył, jaże pola i sady, zalane pożogą, rozżarzyły się kiej ogień, migocąc białawymi płomieniami.

Cichość była coraz senniejsza, że już niejednen zachrapał na dobre, niejednen kiwał się klęczący, zaś drudzy wychodzili się rzeźwić, gdyż raz po raz skrzypiały kajś studzienne żorawie.

Dopiero w czas procesji, kiej kościół zatrząsł się od śpiewań, kiej jęły walić chorągwie, a za niemi wychodził ksiądz pod czerwonym baldachem z monstrancją w rękach, prowadzony przez samych dziedziców, naród przecknął i ruszył wraz z procesją.

Zadzwonily dzwony, śpiew buchnął ze wszystkich gárdzieli i bił jaże kajś ku słońcu, mocny i ogromny, serdeczny, a procesja opływała zwolna białe, rozpalone mury kościoła, kiej ta rzeka wezbrana. Czerwony baldach płynął na przedzie cały w dymach kadzielných, że jeno chwilami błyskała złota monstrancja, migotały rzędy świateł, rozwinięte chorągwie niby ptactwo łopotały nad mrowiem głów, chwiały się obrazy, przystrojone w tiule a wstęgi, i były radośnie dzwony, i grzmiały organy, a naród śpiewał z uniesieniem, całym sercem i wszystką duszą tęskliwą wynosił się kajś, jaże w niebiosy, jaże ku temu słońcu przenajświętszemu.

.

Zaś po procesji, kiej znowu wzięli odprawiać nabożeństwo, i kiej znowu głosy organów zahuczały przejmująco, na smętarzu zrobiło się cicho, jak przódzi, ale już nikto nie drzemał, wzmogły się jeno szepty pacierzów, rozgłośniały wzdychy, dziady już pobrzękiwały w miseczki, a tu i owdzie jęli zcicha pogwarzać.

a. Na Jasną Górę.

§ 28. Ostatni dzień!... znać to na wszystkich twarzach. Gdyśmy przeciągali przez puste uliczki owego Mstowa, tom w tym brzasku porannym spostrzegł na bruku krwawe plamy: to ci, którzy idą przed nami i śpiewają, znaczą bosemi nogami bruk.

Wychodzimy na jakieś prawdziwie górskie drożynki. Słońce wschodzi, ale tonie natychmiast we mgle i tylko ją lekko zapurpurza. Ścieżki są strome i pełne ostrych kamieni. Okolica górzysta, widać nad mgłami tyse szczyty.

Idziemy tak prędko, że wszystkie piersi rżęzą, a na każdym szczycie i wyniosłości wszystkie oczy zanurzają się we mgle; niespokojne, gorące spojrzenia szukają w tumanach szarawych konturów wieży częstochowskiej.

Przystają i z wyciągniętymi głowami stoją chwilę...

Nic nie widać, cały świat zdaje się być zatopiony w tej ruchomej masie.

Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie...

Słońce podniosło się ponad mgły, i wdałi wprost nas zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł, bo mgły, jakby uderzone siłą światła, zakłębiły się i jak puchy wyległy rozstrzępione, zakrywając wszystko.

Niby jęk zawodu zaszemrał, i zwolna jakby się zawiązała cicha i zawzięta walka pomiędzy tłumem a mgłami.

Rozpalone spojrzenia o krwawym blasku zmęczenia, tętna serc przyśpieszone, wszystkie czucia spotęgowane, wszystkie głosy o chrapliwym z napięcia brzmieniu łączyły się i płynęły strumieniem ognia, wsączały się w te mgły i jakby je wypijały, że stawały się coraz rzadsze.

Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepił i ubezprzymotniał, że darli się wprost naprzód.

Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew, płynącą z nóg, znajdowali siłę w bliskości celu.

Na Przeprosnej Górcie zatrzymaliśmy się.

Bracia niektórzy wystąpili z ostatnimi przemowami. Zaczęły się szepty oczyszczają jednych przed drugimi. Głos przemowy brzmiał głucho w mgle, ale nikt prawie nie słuchał. Wszyscy mieli uszy, oczy i serca gdzie indziej.

Zbiegaliśmy prawie z tego stromego bardzo wzgórza, i znowu ten dreszcz denerwujący...

Słońce podniosło się, ten majak wieży, odbicie pewnie, jakby się oderwał od podstaw i unosił przez chwilę nad oparami i chwiał, połyskując szczytami, aż go nowa i ostatnia fala mgieł przysłoniła.

Stanęliśmy wreszcie na ostatniem wzgórzu i stali przez mgnienie wpatrzeni, jak te tumany ściągały się jakimiś warstwami, jak szły skłębione i podarte wgórę, aż przestrzeń czysta została, i wszystkie oczy uderzyły się o tę górę z wieżą na szczycie.

„Marjol“ buchnęło jak płomień z tysięcy piersi, i tysiące ciał runęło na ziemię z krzykiem radości. Widok ten niby orkan rzucił te wszystkie głowy w proch.

„Matko!“ wołały głosy, zduszone radością i uniesieniem, i zaczęły płynąć łzy rozradowania, a oczy płomienieć miłością: wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie

było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym.

I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapał wszystkich w jedną bryłę, drgającą w łkaniu, w czucie jedno, wyrwał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia, wszystkie twarde nędze, wszystko, co przecierpeli, i płynął do stóp Tej, którą każde serce widziało, do stóp Dobra i Pocieszenia.

I ta głęboka, boska poprostu przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzjazmu długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przeplatała je, niby wicher ognisty, i przekuwała dusze na inną miarę.

Popowstawali, i wszystkie twarze rozstłoneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie.

Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechami na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu triumfalne, szerokie jak świat, dzwoniły, niby śpiż serc, i biły nad ziemią pełną wiosny i słońca.

b. Legjoniści zbliżają się do Rzymu.

Z Orte do Rzymu jest przeszło dwanaście mil drogi, ale nawet między oficerami, zwłaszcza młodszymi, było wielu takich, którzy, nie znając odległości i nie mając map, sądzili, że lada chwila zobaczą siedem wzgórz i kopuły miasta. Mieli je ujrzeć znacznie później, ale tymczasem zeszedli za miastem w dolinę Tybru i szli jego prawym brzegiem, pełni wzniosłych historycznych myśli.—Tyber!... Wiedzieli przecież, że taka rzeka płynie pod Rzymem we Włoszech, było to jednak dla nich dotychczas więcej wyrażenie i pojęcie szkolne. A teraz oto spoglądali na jego mętne, żółte fale, prawie oczom nie wierząc, i niejeden powtarzał sobie w duszy: „Jestem nad Tybrem!” jakby samego siebie chciał o tem upewnić. Wspomnienia szkolne cisnęły im się tłumnie do głowy. Marszerując w szeregu wśród karabinów, opartych o ramiona polskich żołnierzy, i wśród połysków słońca na bagnietach, myśleli o Eneidzie¹⁾, Eneaszu, o Lawinji, o okrętach, zmienionych

¹⁾ utworze poety rzymskiego Publiusza Vergiliusa Marona (70 — 19 r. przed Chr.). Poemat opowiada losy Eneasza, syna bogini We-

w nimfy, i o Turnusie ¹⁾). Niektórzy, obdarzeni silniejszą pamięcią, deklamowali ku wielkiemu zdziwieniu żołnierzy ustępy z Eneidy, starając się rytm heksametrów pogodzić z równym, grzmiącym marszem szeregu. Wiatr wiał dość silny, przyginając wierzchołki cyprysów; po niebie przelatywały chmurki, zraszając drogę krótko trwającym dżdzem, po którym rozbłyskiwało znów jasne słońce. Krajobraz to posępniał, to rozjaśniał się, jakby się śmiał do słońca. Potem chmury uciekły gdzieś nad morze, niebo wyblękitniało, wiatr ustał i uczynił się wielki spokój. Srebrne liście oliwek przestały szemrać nad głowami żołnierzy. Pinje stały na wysokościach bez ruchu, jakby zamyślane. Kompanje rozciągnęły się długim węzem po drodze i szły w kierunku Borghetto, mając wciąż u stóp Tyber. Rozległy się pieśni polskie, których echo skała odsyła skale, wzgórze wzgórz.

Żołnierze wyteżali wzrok, zawsze w nadziei, że w południowej stronie nieba ujrzą kopułę Świętego Piotra, ale do Rzymu było jeszcze daleko, a tymczasem ujrzeli tylko wyszczerbioną Soracte ²⁾). Wówczas w myślach Marka Wirgiliusz wraz z Eneaszem zasunęli się napowrót w głębiny wieków, a wysunął się z nich Horacy ³⁾). Niektórzy oficerowie poczęli powtarzać nazwę góry, ukazując ją sobie rękoma, czemu dziwili się żołnierze, widzieli bowiem przy przejściu Apenin wynioślejsze i bardziej strome szczyty.

Ale już słońce przeszło w stronę Civitavecchia i zniżało się ku zachodowi. Coraz czerwieńsze światło oblewało skały przydrożne. Gaje cyprysów przybrały barwę fioletową; wieże kościołów poczęły maścić się purpurą. Wstał znów powiew i szedł od morza, nasycony wilgocią i chłodem. Potem słońce zaszło, i ziemię jał otulać liljowy mrok. Tylko daleka Soracte świeciła długo jeszcze, jakby wielki stos płomienny.

nerv, który po zburzeniu Troi przybył do Lacjum, zaślubił córkę króla Latynów, Lawinę, i dał początek rodowi Romulusa, założyciela Rzymu. ¹⁾ Turnus, król Rutulów, narzeczony Lawinji, walczący przeciw Trojańczykom. ²⁾ sławna w starożytności, Apollinowi poświęcona góra w Etrurji, położona o 5 mil drogi na północ od Rzymu. Na jej szczycie znajdowała się świątynia Apollina, na wschodnim zaś stoku gał bogini kwiatów Feronji. Horacy śpiewa o niej na początku ody IX ks. I: „Patrz, na Sorakcie, co tam padło śniegu, Aż lasy dyszą pod okiścią zgięte; Mróz schwył, i rzeki w biegu stanęły ścięte”. (Przekł. L. Siemieńskiego.) ³⁾ Horatius Flaccus (65—8 r. przed Chrystusem), liryk i satyryk rzymski.

Rzym obaczyły bataljony polskie dopiero za Monte Rotondo po połączeniu się z temi oddziałami, które szły z Ankonu przez Spoleto. Dywizja wyruszyła z Monte Rotondo o świcie i szła dawną via Salaria ¹⁾. Ranek czynił się rozkoszny, rosisty, promienny, przesycony zapachem kwiecia mimozy, na niebie nie było ani jednej chmurki, tylko nad ziemią unosiła się jakby złocista mgła, subtelna i przezrocza, która raczej opromieniała, niż przestaniała skały, wzgórza, drzewa i domy. Nagle woddali ponad tą mgłą rozbłysło coś w czystym błękitcie. Wysoko na niebie zarysowały się kształty kopuły, jakby zawieszone nad ziemią, lekkie, strzeliste, choć nie bodliwe, — zarazem wielkie i wesole, władne nad całą krainą jakąś radosną władzą, potężne, a spokojne i ukojone, złane zaś w tak cudny i nieodzowny ład z okolicą, ze wzgórzami, z majaczącymi szczytami dalszych gór, — iż zdawało się, że tej krainie nigdy nie mogło ich braknąć, i że wraz z nią wyszły one przed wiekami z rąk bożych.

Na ten widok w pierwszych szeregach maszerującej kolumny podniosły się głosy i szły jak echo w głąb, i głębiej aż do ostatniego szeregu, powtarzając dwa słowa:

— Święty Piotr, święty Piotr!

Od strony sztabu dano sygnał. Bataljony stanęły, jak wkopane w ziemię. Wszystkie twarze zwróciły się ku kopule. Nastąpiła cisza, i w tej ciszy, w porannych blaskach patrzyli ci polscy żołnierze z nad Warty, Wisły, Niemna, Bugu i Dniestru na wielki rzymski kościół świata.

Ogarnął ich nastrój całkiem uroczysty. Było między szeregowcami wielu takich, którzy nie umieli czytać i pisać, ale nie było ani jednego, któryby nie rozumiał, że oczy jego patrzą na „moc Bożą“. Mówili im w czasie pochodów o tym kościele oficerowie i sierżanci, wiedzieli więc, że z niego „wiarą płynie“, i że jest on dla wszystkich innych kościołów czy to w Polsce, czy to nie w Polsce tem, czem kokosz jest dla kurcząt. Porównanie to trafiło doskonale do ich umysłów. To też i sami czuli się w tej chwili pisklętami, które idą przytulić się pod skrzydłami kokoszy. Z tego powodu ta daleka

¹⁾ Via Salaria, droga solna, wiodła z Rzymu na północo-wschód. Nazwano ją tak dlatego, że wywożono nią sól z saltin około Ostji, miasta nad ujściem Tybru, do miast sabińskich.

świątynia wydawała im się jakby czemś polskiem, czemś swoim, i wraz z podziwem rodziła się w ich sercach do niej tęsknota.

a. Wiosenne prace w polu.

§ 29. Słońce wzeszło pięknie, że świat, kieby tem srebrem, szronami potrząśnięty, w ogniach stanął cały, w skrzeniach mokrawych i w chłodnym a rzeźwym poranku. Ptactwo uderzyło w krzyk ogromny, zaszumiały drzewa, zabełtały wody, podniosły się ludzkie głosy, i wiat, otrząsając krze, roznosił po wsi terkoty, wołania, ryki, dzieuszyne śpiewki, co kajś zatrzepotały, i cały ten rwetes i krętaninę wychodzących na robotę.

Na łągach ¹⁾ mgły jeszcze leżały białe kiej śniegi, jeno na wyższych rolach porzedły i słonecznemi biczami pocięte i spędzone dymiły już kiej z trybularzów ²⁾ i ku czystemu niebu dały się strzępiastem przedziwem; w szronach leżały jeszcze pola, kuląc się w dośpiku i nabrzmiewając niby paki, a naród zwolna wpierał się wszystkimi stronami w orosiałe, senne zagony, wtapiał się w przesłonecznione tumany i przywierał do poletek w cichości—bo od ziem, od drzew, z sinych dalekości, od wód, błyskających krętowinami, od mgieł i od nieba, wynoszącego rozgorzały krąg słońca—wszystkim światem taka wiosna waliła, i bił taki czad mocy i upojenia, że jaże w piersiach zapierało, jaże dusza się trzęsła w takiej przenajświętszej radości, co to jeno łzami skapuje cichemi, wzdychem się wypowie albo klękaniem przed tym zwieszonym cudem i w najlichszej trawce widomym.

To i mnogi ów naród obzierał się długo dokoła, zęgnął pobożnie, pacierze szeptał i w cichości za robotę się brał, że kiej przedzwaniiali na mszę, już wszyscy byli na swoich miejscach.

Mgły rychło się rozwiały, i pola stanęły na słonecznej jaśni, że jak okiem sięgał po lipeckich ziemiach, pociętych pasami zielonych ozimin, wszędy czerwieniały wełniaki, orały pługi, wlekły się brony, wodzone przez dziewczki, gmerały się rzędy kobiet, sadzących ziemniaki, a gęsto po czarnych

¹⁾ zaroślach na łąkach błotnistych. ²⁾ ręcznych kadzielnic } kościelnych.

i długich zagonach chodziły chłopy, przepasane płachtami, pochyleni zdziebko i nabożnym, syplem rzutem ręki rozsiewali ziarna w spulchnione, czekające role...

Tak zaś wszyscy pracowali gorliwie, głów nawet nie podnosząc, iż ani spostrzegli Dobrodzieja, którego zaraz po mszy jawił się przy swoim parobku, orzącym nade drogą, a potem ku zdumieniu chodził po poletkach, pozdrowiał wesoło, częstował tabaką, komu i papierosa udzielił, temu rzucił jakieś słowo łaskawe, ówdzie dziecińskie głowy przygłodził i z dzieuchami zażartował, indziej zaś to wróble stado, na zasiany jęczmień spadłe, pecyną zgonił, a często pierwszą garść siewu krzyżem błogosławił albo i sam rozrzucił, a wszędy do pośpiechu przynaglał, jakby i ekonom nie poredził lepiej.

I zaraz po obiedzie razem ze wszystkimi do roboty się stawił, objaśniając kobietom, że choć to dzisiaj wypadało święto Marka, ale procesja odbędzie się dopiero w oktawę trzeciego maja.

— Nie pora dzisiaj, szkoda czasu, bo chłopy drugi raz nie przyjadą pomagać!

Tłumaczył i sam też z pola nie zeszedł aż do samego końca; sutannę podkasał, kijem się wspierał, że to tęgie brzucho musiał dźwigać, i chodził niestrudzenie, niekiedy jeno przysiadając po miedzach, by pot obetrzeć z łysiny a odzipnąć.

Radzi mu byli serdecznie, iż pod jego okiem robota jakby szła prędzej i lekciej, chłopy zaś za honor sobie miały, co im sam Dobrodziej ekonomuje.

Słońce już czerwone i pełne nad bory się zwieszało, ziemie gasły, a dale jęły modrzeć, kiej, pokończywszy co najpilniejsze roboty, zaczęli ściągać do wsi; spieszyli się, bych jeszcze za widoku do dom zdążyć.

b. W kopalni węgla.

Ubrani w grube buty, w skórzane kaftany, zapięte na sprzączki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot, umaczany w oleju, stanęli w szali ¹⁾.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski, stojące narówni z podłogą, drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażenia,

¹⁾ klatce, spuszczonej szybem na łańcuchu albo na sznurze.

jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło otrzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu. Czarne belki, cembrowiny ¹⁾ migwały się w oku, niby szeregi jakichś schodów nieskończonych. Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznymi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przychodziły i odchodziły szeregi wozów, ciągnionych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych widnych galerij dostali się przez kręte szlaki do maszyn, pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Jedynym jego źródłem stały się kaganki, niesione w rękę. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z fedrunkiem ²⁾, ciągnięte przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i owdzie dla skierowania powietrza do tych chodników, gdzie się „nie świeci“, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscu odźwiernych dokonywują żywota. Inżynier, mijając takie drzwi, rzucił wyraz:

— Glikauf ³⁾!

— Glikauf! — odpowiadała ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszczą w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich jak pajaki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej zimne łono na „sychtę“ ⁴⁾ wieczną. Łańcuch ciemnej niedoli przykuwa ich do miejsca. W starczem drzemaniu widzą pewno ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane ..

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich były wykute li tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanemi dla zatamowania ognia i mokrego a sypkiego piasku, który zowią kurzawką. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami ⁵⁾, na których leżały kapy ⁶⁾, podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli okorki. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni ⁷⁾, idącej w kierunku upadu ⁸⁾

¹⁾ ściany drewniane u studni, dołu. ²⁾ ładunkiem węgla. ³⁾ Szczęść Boże! ⁴⁾ obowiązkowy czas pracy górnika w kopalni ⁵⁾ słupami drewnianymi, służącemi do podparcia w rusztowaniu. ⁶⁾ bale pionowe w suficie chodnika w kopalniach. ⁷⁾ chodnika, pochyło ułożonego. ⁸⁾ pochylenia.

warstw węgla. Zboku czarnej czeluści sunęła się wdół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa czy żelazna lina, wciągająca wózki.

Ciemność, ciemność gęstą od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ognek niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble, do tarcic przybite; gdzie indziej szło się po oślizgłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przechodzień doświadczał bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotyka z gęstymi oknami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu, dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię. Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod niem ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem“. Gdzieś, daleko, jakby u szczytu tej góry widać było chodzące z miejsca na miejsce blade żółte światła. W zakłęstej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

— Glikaufl — rzekł Korzecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznymi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

— Glikauf, glikauf... — mówił po nich i on w głębi duszy.

— — — — —

Górnicy w czarnych „kapach“ ¹⁾ i w „berglederach“ ²⁾ nabijali prochem grubym, jak ziarenka kukurydzy, długie tuleje ³⁾ papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi „laskami“ ze stali o zakończeniach, podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystemplowany zwierzchu szczelnie gruzem zapomocą stempora ⁴⁾, jak nabój w lufie,—jeden z pracowników zapalił dwa żygadła ⁵⁾, drugi — dwa, trzeci — dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskawe strugi cieczy, sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru — znikły.

¹⁾ nakryciu głowy górników w kopalni. ²⁾ pasach górniczych. ³⁾ lejki, tutki. ⁴⁾ stempla do przybicia ładunku prochowego. ⁵⁾ narzędzia do zapalania.

Wówczas drabiny szybko odstawiono, i wszyscy z pośpiechem wyszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerie i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla, hucząc, waliły się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów, biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerie i ciągnął leniwie do przejść, w których się „świeci“. Wdali słyszeć było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawy ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej całkiem stronie. Doktor został w ciemności z widmem, trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowywaniem „piętra“. Chwilę obydwaj z górnikami stali, nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szczermą twarz starego człowieka, którego siwe włosy wymykały się z pod „kapy“.

— Co robią tutaj, ojcze? — zapytał.

— A caliznę¹⁾ wyrabiamy między chodnikami.

— Caliznę?

— Juści. Filar wybieramy. Bierzemy jedno „pojęcie“ za drugim na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem — i dalej. Po boku stawia się „organy“... Proszę łaski... pan może i nieznajomy z kopalnią?

— A nie. Pierwszy raz widzę.

— Tak ci...

— Cóż to za organy?

— To zaś są kłody, na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby za ściankę. Zprzodu też od chodnika przy kończeniu „streki“²⁾ drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą strekę i z okruchów się ją wyczyści, to się dopiero te słupy za-

¹⁾ część pokładu między chodnikami, przeznaczoną do wybrania;
²⁾ drogi, chodnika.

czyna wyjmać, a inne się tnie toporem. Gdy pracowity górnik usłyszy w cichości największej pierwszy aby maluśki trzask piętra, wtedy kilof¹⁾ do garści i umykaj z pojęcia! Ziemia się urwie w tem miejscu i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze zawalisko wdół wciągnie, tak jakby lej...

Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie albo chropowate ich płaszczyzny tu i owdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakie klinowe, pracowicie wyrte. Idąc zwolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę, składała się historia tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, niesianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy, w drzewa wybujące, straszne widłaki i inne niewidzialnych form, mistycznej²⁾ piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulchnem trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnem gorącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie, dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł; wilgotne, deszczowe zimy zasilaty glebę na wieki. Swobodne wichry, w dalekich stepach i śniegach łańcuchów górskich zrodzone, przylatywały bić puszcę, rycząc, jak szczenięta lwie.

Wtedy kołysała w łonie swem pieśń, huczącą na podobieństwo morza. Jakże często trzaskał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały jej głębie śpiewające. Wtedy gorzała, jak wielki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła wieczyste młoda, liljowo ramienna wiosna, jak dziewczątko, szukające kochanka, i swawolnemi usty zdmuchiwała pyły roślin w ziemię rozmokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe morze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne koryta ognia i sprychy jego wozu, tak samo prędkie, jak wicher.

¹⁾ młot o końcach w kształcie klina. ²⁾ tajemniczej.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara, i rozdzierał ją wrzask, śmierć głoszący, bezlitosnego orła.

Aż oto wielkie jakieś morza, w głębi lądów próżnujące, wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęły z korzeniami olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych, niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zakłęśłe niziny. Tu je niezmierną masą wwały, jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu, zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie stały, ustało życie, i począł się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas, wiekami idący, czynił sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i z wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglanego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w olbrzymim nadmiarze, nie mający się z czem połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samem tysiące lat. W męczarni zrastało się samo ze sobą, tuliło się do siebie, jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rosło i kochało się w niebiosach, — został nikły rysunek warstw pnia albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żałobnym kamieniu.

Długie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć, zaczyni i odczynienia człowiek chwyta jako łup swój zapomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład docna, od wychodni do upadu, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę¹⁾ na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dorobku bez walki. Prosta i obojętna jak dziecko, od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego ko-

¹⁾ Kupę kamieni i ziem płonnych, z kopalni wydobytych i w pobliżu szybu leżących (niem. Halde).

morach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puszcz zmarłych — tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki, którą zawałiska ruszyły, i gliniastym jej mułem napętnia galerje, pracowicie wykute.

c. Fabryka cygar.

Numer domu wskazywał właśnie instytucję, której doktor Tomasz poszukiwał. Stwierdził to również cikliwy i nie-miły zapach tytoniu, który otaczał zabudowania i panował na znacznej przestrzeni ulicy. Judym¹⁾ wszedł w bramę i zwrócił się do szwajcara z zapytaniem, czyby nie można zobaczyć się z robotnicą, nazwiskiem Judymowa. Stróż nie chciał słuchać o niczem, dopóki nie uczuł w garści czterdziestówki. Pod wpływem tego wrażenia zaczął forsownie myśleć, a wreszcie znikł na chwilę i przyprowadził jakiegoś kapcana²⁾, okrytego pyłem. Ten po długich debatach³⁾ kiwnął na Judyma palcem i wprowadził go do wnętrza bocznej oficyny. Proszek tabaki wdierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszym piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet, złożony z jakich stu osób, pochylony nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny⁴⁾, zwijały cygara prędkie-mi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami, jak kucharki, wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko i misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał, pracujących w upale, w miejscu niskiem i ciasnem, przeładowane pyłem startego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą wi-dać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób

¹⁾ Doktor Tomasz Judym jest bohaterem powieści. ²⁾ bledaka, niedołęgę. ³⁾ naradach. ⁴⁾ bez troski o wygląd.

pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymać się w tem miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki obok maszyn, suszących liście, obok młyna, mielącego tabakę, i sieczkarni, krającej różne rodzaje tytoniu — do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc, Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą ¹⁾. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną białą tasiemkę i mota ją sobie na palec. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby wyrzucała je maszyna. Ażeby zrozumieć sens tej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejania każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie według słów przewodnika pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach saszki grubo krajanego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu siedział stary żyd w czapce, zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zakłęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała człowiekowi, kołyszącemu się na nogach. Doktor wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulacje tej czwórki. Był to widok ludzi, miotających się, jakgdyby w drgawkach, w kon-

¹⁾ opaską papierową, przylepianą do towaru na znak opłaconego podatku.

wulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudniane, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościennie. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwytala jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał jej z rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny, ważącej tytoń, szalkę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem, odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wydobywał formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu na wzór towarzyszek z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej niż dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagłe a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła lecące zawsze do pierwszego punktu, skąd odskakiwały, ni by sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopci zowią „sposobem“: ¹⁾usus, wypróbowany w krwawym trudzie, szereg środków cudaczných, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą a niezbędną do przebycia linję między dwoma końcowymi punktami pracy.

¹⁾ łac. zwyczaj.

a. Pożar Rzymu ¹⁾).

§ 30. Mrok począł padać na Rzym, i światła po ogrodzie owym gorzeć zaczęły, a w sadach jego i skrytych galefjach domów błysły lampy wieczorne, rozpały się ogniska, i dźwięk pieśni i chóry biesiadne ozwały. A gromadka chrześcijan stała, przypatrując się widokowi piękności stolicy, i w ciszy modlić się zdawała. A obraz to był wielmożny i straszliwy tej niezmiernej stolicy, jako maleńkie dziecię, ciszą nocną spowitej i wśród pieśni spoczywającej po dziennym trudzie... ale nie na łożu pokoju i wytchnienia — w barłogu rozpusty i swawoli.

Długo tak trwała owa cisza wskroś grodu, przerywana tylko brzękiem cytar, głosem fletów i chórami tanecznic, migotaniem świateł w ciemnościach ubrana... Piotr patrzył i modlił się, jakby już wiedział, co za chwilę stać się miało.

Noc i uczty przeciągnęły się do późnej godziny, oni jeszcze stali, czekając, co być miało, bo duch proroczy zwiastował im przysługę wielką.

Wtem od Palatynu² jakby zastęp jakiś mignął w ciemności, niosący pochodnie, i rozbiegał się wśród cieni nocnych, roznosząc płomień po ulicach góry Caelius³⁾, Awentynie⁴⁾ i dalej we wnętrzości grodu.

Nikt z uczujących nie przeczuwał, że płomień Troi groziło stolicy Romula.

Wtem nagle blisko stojących część cyrku, od góry Palatyńskiej i Caeliusowej zażegnęta, stanęła w mgnieniu oka oblana płomieniami, które rozdymając, wiatr południowo-zachodni niósł na miasto.

Tu stały sklepy i klecie, i liczne stare domostwa, których dachy i wnętrza łatwą dla ognia mogły być pastwą.

Więc podniosło się płomień chciwe, rozkładając szeroko i szalejąc. A wtem i po innych częściach grodu buchnęły podłożone pochodniami niewolników ognie, i razem niemal cały Rzym stał jakby jednym wielkim stosem, w którego blasku na górze Palatyńskiej wśród kolumn złocistych na wieżycy ukazał się Cezar uwieńczony z lutnią w ręku.

¹⁾ za Nerona w 64 r. po Chrystusie. ²⁾ jednego z pagórków, na których był położony Rzym, najstarszej siedziby Rzymu. Później zbudowano tu pałac cesarów. ³⁾ pagórka na południo-wschód od Palatynu. ⁴⁾ pagórka na południe od Palatynu.

„Biegnać z szalonym pędem, pisze Tacyt, pożar począł niszczyć niskie naprzód budowy, potem się rzucił na wznioślejsze, a z nich znowu przypadając ku ziemi, swą szybkością oparł się ratunkowi wszelkiemu. Wzmogło go nagromadzenie domów olbrzymich, ciasne, kręte i nieregularne ulice starożytnego Rzymu, krzyki i narzekania niewiast, słabość starców bezsilnych i dzieci, ścisk wybiegłych mieszkańców, tłoczących się, by siebie lub drugich ratować, wlokących za sobą chorych, oczekujących na spóźnionych, wstrzymujących się w niepewności, co począć mieli, przeciskających się przez tłumy.

Zamieszanie to nie dopuszczało ratunku tak, że często, gdy przed się patrzali, płomień ich z boków lub z tyłu chwytając, a gdy do sąsiednich usiłowali schronić się części, znajdowali je już pożarte od płomieni, i ogień gnał za nimi w ślady... gdy jeszcze zdało się im, że jest zdala od nich. Wreszcie, nie wiedząc, skąd grozi niebezpieczeństwo, gdzie znaleźć schronienie, lud stał ściśnięty w ulicach, leżał na polach gromadami. Niektórzy stracili wszystko, co mieli, na dzień następny chleba im brakło, inni przez miłość swych rodzin, których śmierci wydrzeć nie mogli, dobrowolnie z rozpaczry rzucali się w płomień. Nikt ich wspierać nie śmiał; dokoła głosy groźne słyszeć się dawały, zabraniające gasić... widziano nawet ludzi, latających i rzucających pochodnie“.

Ten gród potężny w płomieniach, które nawet część pałaców, łączącą augustowe z mecenasowymi ogrodami, pożarły, rycząc rozpaczą na zwaliskach i głosem srogim wzywający pomsty bogów, błagający ratunku daremnie; te świątyń kolumny, wśród ognia jaśniejące, posągi, które wśród dymu i walących się ścian, jak nieruchoma ludność przeszłości, widniały niezwalczone i martwe, tarany, które mury bliskie Pałacynowi rozbiły z rozkazu Nerona, by się ich pozbyć co prędzej — zgiełk straszliwy, zamieszanie chaotyczne, wśród niego z jednej strony Neron, śpiewający upadek Troi, któremu klaskają Augustani ¹⁾, z drugiej Piotr, zwiastujący zagładę wszechetecznego Babilonu — jakież to pióro obraz ten skreślić potrafi?

I palił się tak Rzym dzień jeden cały, wzeszło słońce czerwone na zgorzeliska, a płomień i dymy unosiły się dalej jeszcze, zaszła noc, na której szacie rozżarzone odbiły się lune...

¹⁾ klaskacze i dworacy Nerona.

Pięć dni i pięć nocy żarły ognie pastwę swoją, Neron przypatrywał się nocami i bawił pożarem, jak widowiskiem niezwyčajnem; a wcześniej już w myśli budował gród nowy na ruinach i pałace na zwaliskach Romulowego i Tarkwinjusowego miasta.

Aż piątego dnia pożogi przybiegli doń Augustani i poczęli przerażeni opamiętywać szaleńca...

W istocie samemu Cezarowi groziło niebezpieczeństwo, lud dochodził do rozpacz: widziano niewolników, wypadających z pochodniami z Palatynu, słyszano głosy, zabraniające gasić, byli tacy, którzy Nerona z lutnią na wieżycy dostrzegli, wieść chodziła, że on był podpalaczem... lękano się, aby tłuszcze głodne i zbolełe nie uderzyły na Palatyńską górę i nie wywlokły z niej oszalałego pana swego.

Potrzeba było radzić!

Zawołano do rady Symona Maga ¹⁾, który nie poto był przyszedł, ale by piękną Helenę ²⁾ Cezarowi przedstawił.

— Radzić? myśleć? — zawołał — fałszywie zowiący się chrześcijanami Rzym zapalili! oni wnieśli nań pożogę i zniszczenie!... Ludowi to rzucić tyłko! uwierzyl!...

Neron uśmiechnął się, i blada twarz jego zarumieniała się gorączkowo.

Wydano wnet rozkazy, aby ratować nieszczęśliwych i zatrzymać ogień szerzący się, który już był pochłonał, co Rzym miał najstarszych pamiątek, świątynie, przez królów Rzymu poświęcone bóstwom opiekuńczym, wzniesione za wojen punickich i galijskich, Tuljuszową świątynię Luny ³⁾, ołtarz Herkulesowy, Ewandra, Jupitera Statora ⁴⁾ Romulusowego, pałac Numy, świątynię Westy ⁵⁾, penatów ⁶⁾ Rzymu...

Były to nieodzyskane straty...

Domostw ubogich i wspaniałych zgorzała liczba niezmierna, a w gruzach ich zakazano odgrzebywać i szukać pozostałych szczątków, bo Cezar sam wszystek ten łup miał zagarnąć. Obiecywał zato odbudować zwaliska i wskrzesić wspanialszem, co ognie strawiły. Ludowi tymczasem otworzo-

¹⁾ rodem z Samarji. Wspomniany w dziejach apostołskich (VIII, 91), słynął jako czarnoksiężnik, wróg chrześcijan, uważany za antychrysta. ²⁾ niewolnicę syryjską. Mag twierdził, że w jednym z wcześniejszych żywotów była ona Heleną trojańską. ³⁾ bogini księżycy. ⁴⁾ powstrzymującego ucieczkę zbawcy. ⁵⁾ bogini ogniska domowego i państwowego. ⁶⁾ duchów opiekuńczych domów i państwa.

no pole Marsowe, dając mu za schronienie pomnik Agryppy, ogrody Palatyńskie i sąsiednie wille Cezara. Z Ostji przywieziono potrzebniejsze sprzęty i śpichrze otwarto dla głodnych.

Siódmego dnia Rzym przedstawiał widok spustoszenia przerażający, jakby po nieprzyjacielskiej napaści, jak po rabunku okrutnym... U stóp Eskwilinu¹⁾ czarne gruzy rozsypane i płomień, dymiące jeszcze, świadczyło, gdzie się wstrzymała pożoga.

Jeszcze raz potem ogień z mocą nową wzmógł się i rozdał wśród nocy od Tigellinowych domostw, by znowu przerazić mieszkańców. Pod pozorem gaszenia resztę murów i ścian niezwalonych rozbijano taranami i na ziemię rzucono.

Z czternastu części ówczesnego Rzymu ocalały cztery tylko; trzech śladów prawie nie było, w siedmiu ledwie gdzie sterczały resztki murów i wypadkiem o swej sile jeszcze wznoszące się kolumny ogorzałe, spękane, czarne.

b. Pożar Rzymu.

Łuna od palącego się miasta zalała niebo tak szeroko, jak wzrok ludzki mógł sięgnąć. Z za wzgórz wytoczył się księżyc wielki i pełny, który rozgorzał wnet od blasku i, przybrawszy barwę rozpalonej miedzi, zdawał się ze zdumieniem spoglądać na ginący gród światowładny. W zaróżowionych przepaściach nieba świeciły również różowe gwiazdy, lecz w przeciwieństwie do zwykłych nocy, ziemia jaśniejsza była od niebios. Rzym oświecał nakszałt olbrzymiego stosu całą Kampanję. Przy krwawym blasku widać było dalsze wzgórze, miasta, wille, świątynie, pomniki i akwedukty²⁾, biegnące ze wszystkich okolicznych gór ku miastu, na akweduktach zaś roje ludzi, którzy schronili się tam dla bezpieczeństwa lub dla przypatrywania się pożarowi.

Tymczasem straszny żywioł obejmował coraz nowe dzielnice. Nie można było wątpić, że jakieś zbrodnicze ręce podpalają miasto, gdy coraz nowe pożary wybuchały w miejscach, od głównego ogniska odległych. Ze wzgórz, na których Rzym był zbudowany, płomienie spływały nakszałt fał morskich na doliny, szczelnie zabudowane domami, liczącemi po pięć i sześć piętr, pełne bud, kramów, drewnianych

¹⁾ pagórek na północo-wschód od Palatynu. ²⁾ wodociągi.

ruchomych amfiteatrów, zbudowanych przygodnie na rozmaite widowiska, i wreszcie składów drzewa, oliwy, zboża, orzechów, szyszek pinii, których ziarnem żywiła się uboga ludność, i odzieży, którą czasem z łaski cesarów rozdawano hałastrze, gnieźdzącej się po ciasnych zaułkach. Tam pożar, znajdując dostatek palnych materiałów, zmieniał się niemal w szereg wybuchów i z niesłychaną szybkością ogarniał całe ulice. Ludzie, obozujący za miastem lub stojący na wodociągach, odgadywali z barwy płomienia, co się pali. Szalony pęd powietrza wynosił chwilami z ognistej toni tysiące i miliony rozżarzonych skorup od orzechów i migdałów, które wzbijały się nagle w górę, jak nieprzeliczone stada jaśniejących motyli — i pękały z trzaskiem w powietrzu lub, gnane wiatrem, spadały na nowe dzielnice, na wodociągi i na pola, otaczające miasto. Wszelka myśl o ratunku wydawała się nedorzeczną, zamieszanie zaś wzrastało coraz bardziej, gdy bowiem z jednej strony ludność miejska uciekała wszystkimi bramami za mury, z drugiej pożar przywabił tysiące ludzi z okolicy, tak mieszkańców małych miast, jak chłopstwa i nawpół dzikich pasterzy z Kampanji, których znęciła także nadzieja rabunku.

Okrzyk: „Rzym ginie!“ nie schodził z ust tłumu, zguba zaś miasta wydawała się w owych czasach zarazem końcem władztwa i rozwiązaniem wszelkich węzłów, które aż dotąd łączywały ludność w jedną całość. Tłuszcza też, w której większości ludzi, złożonej z niewolników i przybyszów, nie zależało nic na panowaniu Rzymu, a którą przewrót mógł tylko uwolnić od pęt, przybierała tu i owdzie groźną postawę. Szerzyła się przemoc i grabież. Zdawało się, że jedynie samo widowisko ginącego grodu przykuwa uwagę ludzką i powstrzymuje jeszcze wybuch rzezi, która rozpocznie się natychmiast, jak tylko miasto zmieni się w zgłiszcza. Setki tysięcy niewolników, zapominając, że Rzym, prócz świątyń i murów, posiada jeszcze kilkadziesiąt legij we wszystkich stronach świata. — zdawały się tylko czekać hasła i wodza. Poczęto wspominać imię Spartakusa¹⁾, — lecz Spartakusa nie było, — natomiast obywatele jęli się skupiać i zbroić, czem kto mógł. Najpotworniejsze wieści krążyły po wszystkich

¹⁾ wodza gladiatorów i niewolników, zbuntowanych przeciw Rzymowi (73—71 r.).

bramach. Niektórzy twierdzili, że to Wulkan ¹⁾ z rozkazu Jowisza niszczy miasto ogniem, wydobywającym się z pod ziemi: inni, że to jest zemsta Westy za westalkę Rubrję ²⁾. Ludzie tak przekonani nie chcieli nic ratować, natomiast, oblegając świątynie, prosili o zmiłowanie się bogów. Lecz najpowszechniej powtarzano, iż Cezar kazał spalić Rzym dlatego, by się uwolnić od zapachów, zalatujących od Subury ³⁾, i by wybudować nowe miasto pod nazwiskiem Neronji. Na tę myśl wściekłość ogarniała ludzi, i gdyby... znalazł się przywódca, któryby chciał skorzystać z tego wybuchu nienawiści, godzina Nerona byłaby wybiła o całe lata wcześniej.

Mówiono również, że Cezar oszalał, że każe pretorjanom i gladiatorom uderzyć na lud i sprawić rzeź ogólną. Niektórzy przysięgali na bogi, że zwierzęta ze wszystkich wiwarjów ⁴⁾ zostały z polecenia Miedzianobrodego wypuszczone. Widziano na ulicy lwy z płonącymi grzywami i rozszalałe słonie i tury, tratujące gromadami ludzi. Była w tem nawet część prawdy, gdyż w kilku miejscach słonie na widok zbliżającego się pożaru, rozwaliły wiwarja i, wydostawszy się na wolność, gnały w dzikim popłochu w stronę od ognia przeciwną, niszcząc wszystko przed sobą jak burza. Wieść publiczna podawała na dziesiątki tysięcy liczbę osób, które zginęły w ogniu. Jakoż zginęło mnóstwo. Byli tacy, którzy, straciwszy całe mienie lub najdroższe sercu istoty, dobrowolnie rzucali się z rozpaczny w płomienie. Innych udusiły dymy. W środku miasta, między Kapitołem ⁵⁾ z jednej, a Kwirynałem ⁶⁾, Viminalem ⁷⁾ i Eskwilinem ⁸⁾ z drugiej strony, jak również między Palatynem a wzgórzem Caelius, gdzie były najgęściej zabudowane ulice, pożar wszczynał się w tak wielu miejscach naraz, że całe gromady ludzi, uciekając w jedną stronę trafiały najniespodziewaniej na nową ścianę płomienia ze strony przeciwnej i ginęły straszną śmiercią wśród ognistego zalewiska.

W postrachu, zamęcie i obłąkaniu nie wiedziano wreszcie, gdzie uciekać. Drogi były zawałone rzeczami a w wie-

¹⁾ bóg ognia. ²⁾ która towarzyszyła Neronowi na uczcie u Tygellina. ³⁾ ulicy na północo-wschód od Palatynu, zamieszkaney przez handlarzy, przekupniów, ubogich. ⁴⁾ zwierzyńców ⁵⁾ wzgórzem na północo-zachód od Palatynu. ⁶⁾ wzgórzem na północ od Palatynu. ⁷⁾ na północo-wschód od Palatynu. ⁸⁾ na wschód od Palatynu.

lu ciasnych miejscach wprost zamknięte. Ci, którzy chronili się na rynki i place, w miejscu, gdzie później stanął Amfiteatr Flawjański, koło świątyni Ziemi, koło portyku Liwji i wyżej koło świątyń Junony i Lucyny¹⁾, oraz między Clivius Vibrius a starą bramą Eskwilińską²⁾, otoczeni naokół morzem ognia, poginęli od żaru. W miejscach, do których płomień nie doszedł, poznajdowano później setki ciał, spieczonych na węgiel, choć tu i owdzie nieszczęśliwi wyrwali płyty kamienne i dla ochrony przed żarem zagrzebywali się do połowy w ziemię. Żadna prawie z rodzin, zamieszkujących środek miasta, nie ocalała w zupełności, dlatego wzdłuż murów i wszystkich bram, i na wszystkich drogach słyhać było wycia rozpaczliwe kobiet, wywołujących drogie imiona zaginionych w tłoku lub ogniu.

I tak, gdy jedni zebrali u bogów miłosierdzia, drudzy bluźnili im wobec tej straszliwej klęski. Widziano starców, zwróconych w stronę świątyni Jowisza Liberatora³⁾, którzy, wyciągając ręce, wołali: „Jesteś wybawcą, wybaw twój ołtarz i miasto!“ Rozpacz jednakże zwracała się głównie przeciw starym rzymskim bogom, którzy w pojęciu ludności obowiązani byli czuwać troskliwiej od innych nad grodem. Okazali się bezsilni, więc urągano im. Natomiast zdarzyło się, że gdy na via Asinaria⁴⁾ ukazał się zastęp kapłanów egipskich, przeprowadzający posąg Izidy⁵⁾, który uratowano z świątyni, leżącej w okolicy Porta Caelimontana, tłum rzucił się między orszak, przyprzągl się do wozu, przyciągnął go aż do bramy Apijskiej⁶⁾ i, porwawszy posąg, umieścił go w świątyni Marsa, poturbowawszy zarazem kapłanów tego bóstwa, którzy ośmielili się stawiać opór. W innych miejscach wzywano Serapisa⁷⁾, Baala⁸⁾ lub Jehowę, którego wyznawcy, wyroiwszy się z zaułków w okolicach Subury i z Zatybrza, napędlili wrzaskiem i wołaniem pola, leżące pod murami. W krzykach ich brzmiały jednakże tony jakby triumfu, dlatego też, gdy jedni z mieszkańców przyłączali się do chóru, sławiąc „Pana świata“, drudzy, oburzając się tym radosnym

¹⁾ Lucyna, przydomek Junony. ²⁾ Wzmiankowane miejsca znajdowały się między Palatynem i wzgórzami: Caellus, Viminalis, Esquilinus. ³⁾ wybawiciela. ⁴⁾ na wschód od Palatynu. ⁵⁾ bogini staroegipskiej, której kult przedostał się do Rzymu. ⁶⁾ na południo-wschód od Palatynu. ⁷⁾ bóstwo egipskie. ⁸⁾ bóstwo semickie.

zgiełkiem, usiłowali go potłumić przemocą. Gdzie niegdzie słyszano śpiewane przez mężczyzn w sile wieku, starców, kobiety i dzieci, pieśni dziwne i uroczyste, których znaczenia nie umiano pojąć, ale w których powtarzały się co chwila słowa: „Oto nadchodzi sędzia w dniu gniewu i klęski“. Tak to ruchliwa i bezsenna fala ludzka otaczała nakszałt wzburzonego morza płonące miasto.

Lecz nic nie pomagała ni rozpacz, ni bluźnierstwa, ni pieśni. Klęska zdawała się być nieprzepartą, zupełną i nieubłaganą, jak Przeznaczenie. Koło Amfiteatru Pompejusza zapaliły się składy konopi i lin, których potrzebowano mnóstwo do cyrków, aren i do wszelkiego rodzaju machin, używanych przy igrzyskach, a zarazem przyległe budynki, zawierające beczki smoły, którą smarowano liny. Przez kilka godzin cała ta część miasta, za którą leżało pole Marsowe¹⁾, świeciła tak jasno-żółtym płomieniem, że nawpół przytłumionym z przerażenia widzom wydawało się przez czas jakiś, iż przy powszechnej zagubie porządek dnia i nocy został również pomieszany, i że widzą blask słoneczny. Lecz potem krwawy jednolity blask pokonał wszystkie inne barwy płomieni. Z morza ognia strzelały ku rozgorzałemu niebu jakby olbrzymie fontanny i słupy płomienia, rozwiewając się w górze w ogniste kiście i pióra, wiatr zaś porywał je, zmieniał w złote nici i włosy skier i niósł hen, nad Kampanją aż ku góróm Albańskim. Noc stawała się coraz widniejsza; samo powietrze zdawało się być przesiałe nie tylko blaskiem, ale i płomieniem. Tyber płynął żywym ogniem. Nieszczęsne miasto zamieniło się w jedno piekło. Pożar ogarniał coraz większe przestrzenie, brał szturmem wzgórze, rozlewał się po równinach, zatapiał doliny, szalał, huczał, grzmiał..

a. Nad Niemnem.

§ 31. Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie kwitło, jaśniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały z nad pól, porośłych zielonem zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w go-

¹⁾ Na północ od Palatynu.

raćem powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderżnięty od błękitnego nieba, ogromnem półkołem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieś niegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej, jak purpurową wstęgą, tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu.

Na świetnem tem tle w zmieszanych zdala zarysach rozpoznać było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkunastu małych dworów. Był to razem z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich większych i mniejszych, wychylających ciemne profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami w powietrzu czystem i spokojnem wzbijały się proste i trochę skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca, jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od porastającej je zrzadka trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przebiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dziecieliny i smołek. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, stały się po drzewach fioletowe rohule, żółtemi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurza ślepota, liljowe skabjozy polne wylewały ze swoich stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy delikatnej mietlicy, kosmate kwiaty babki stały na swoich wysokich łodygach, rumianością i zawadjacką postawą stwierdzając im nadaną nazwę kozaków.

Za temi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane, stały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda

się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzie niegdzie kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołemi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

b. Obrazek leśny.

W lesie, w głębokim lesie na obszernej polance stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z okrąglaków, mchem utykanych w spojeniach, obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, zapadła, z wodą, pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów; między słonecznikami pstrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanem i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade, bo przygłuszone i siwemi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu po obu stronach drogi do chaty posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna o długich cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porośły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu i gruchań, i wabienia się, i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroilo się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum, i warkotanie sterówek. Cały rój wylaływał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się, i oddalał; to się rozplýwał w błękicie, to błysnął pod słońce białemi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na szary słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas w blaskach powietrza gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży, padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhovor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, sennie, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię; chata, czereśnie i brzozy zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z jeziora.

Około polanki bowiem, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i, idąc wdał nakształt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi koniec jego prawie że ginął w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościołka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze niby w zwierciadle, więc, zdało się, drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze, kiedy szumiął na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni każda igielka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko — w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy,

a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami sklepienie niebieskie, ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

c. W drodze na Zawrat.

Bliskość Zawratu zaczyna niecierpliwić. Gromada traci spójnię, porządek, nie pilnuje się przewodników ani szeregów. Kto ma lepsze nogi i płuca, wydiera się naprzód, i kiedy jedni wloką się gdzieś na dole, jak małe mrówki, drudzy są już na wysokim progu ponad stawem, w jakimś kraju podbiegunowym.

Ledwie dostrzegalny ślad perci¹⁾ prowadzi po złomach skał zwietrzałych wgórę, stromo tak, że już można czasem pomagać sobie rękoma.

Przed nami wstają okropne, potargane, czarne, olbrzymie, gdzieś na niebo zachodzące ściany turni²⁾. Za nami, w dole, leży staw Czarny, okolony poszarpanemi skałami, wśród chropowatej, pooranej parowami, zarzuconej nastroszonemi głazami, pustyni, jak wielki pokrowiec z atlasu granatowego ze stalowym odbłyskiem.]

Gładka, równa i miękka jego toń jest tak inną, tak różną od chropowatego, twardego, najeżonego otoczenia, że nie można się nigdy z tym kontrastem oswoić, nie można bez podziwu i przyjemności przenosić wzroku z jednego zjawiska na drugie. Wrażenie, które się odbiera, wywołuje wspomnienie jakiejś muzyki, kołyszącej i budzącej umysł naprzemian dwoma różnemi motywami melodji, powtarzającemi się kolejno bez końca... Słyszałem taką muzykę, nie wiem czyją, może Beethovena, której można było słuchać bez przerwy, całemi wieczorami, jak tu patrzeć, gdyby nie trzeba było iść dalej i wyżej...

Przez płat śniegu, leżący między dwoma poczerniałemi odłamami skały, wchodzimy w kotlinę, otoczoną dokoła pustynniami, ciemnymi ścianami, rumowiskami skał zgruchotanych, wielkimi głazami, oderwanemi od szczytów. Jest to zupełna dzicz kamiennej pustyni, ledwie gdzie niegdzie przerywana bladą zielenią upłazków³⁾ i suchemi porostami.

¹⁾ stromej ścieżki górskiej. ²⁾ nagiej skały, strzelającej nad poziom. ³⁾ miejsc, porośłych trawą.

Zewsząd zbliżają się ku sobie wielkie turnie, czarne, złobkowane drogami wód, ciągnącemi się pionowo z góry na dół, jak pełznące po cielsku góry węże. Od strony północnej czarna skała zachodzi w górę, zasłania świat zimna, bezpłodna i surowa. Od południa słońce zamienia granitowy mur w jakąś przezroczystą zasłonę tak lekką, iż się zdaje, że ją wiatr uniesie. Ślizgające się promienie czepiają się występów skały, błyszczą w źródłiskach jak w diamentach, wszytych w gazę oparu przejrzystego; cienie od turni szczerbatych fałdują błękitnawemi smugami subtelną tkanę światła, unoszącego się w powietrzu.

Po ciemnych żłebach ¹⁾ leżą białe płyty śniegów, gdzie nigdzie słońce rzuca na nie blask ślepiący, a niebo barwi cienie na ciemny szafir.

Zapadły w głębokie zręby granitu, dysze chłodem Zmarzły stawek. Ponad ciemno-seledynową jego wodą wyzierają białe jak śnieg odłamy skał.

Z pod nadbrzeżnych głazów, pokrytych rudemi mchami, wycieka zimna struga i z dźwiękiem szklanym spada na powierzchnię ciemnej wody.

Tak muszą wyglądać szczeliny fiordów i ostatnie krańce Laponji. Czuć tu, że jesteśmy blisko tych miejsc, gdzie „zima siedzi“...

a. Potok górski.

§ 32 Jeżeli komu jest bezwzględnie dobrze w Zakopanem, to dzieciom. Szczególnie tym biedakom, którym się zdarzyło urodzić i żyć w miastach, w wielkich rojowiskach ludzi, wśród ciasnych, brudnych, dusznych i cuchnących ulic.

Tutaj jest dla nich raj prawdziwy. Otoczenie, które oddziaływa równie dodatnio na ich zdrowie, na rozwój sił fizycznych, jak i na umysł.

Ta natura górską tak potężna, niezwykła, wyrazista, przykuwa ich uwagę, roznieca wyobraźnię, kładzie na ich wrażliwej myśli obrazy jasne, konkretne, dobitne,—uczy ich i bawi lepiej, niż ciasny, zapakowany między czterema ścianami miejski ogródek freblowski z jego wszystkiemi przyrządami do uprawy umysłu.

¹⁾ podłużnych wyżłobieniach na stokach.

Same potoki tylko są już dla nich źródłem ciągłego, wielkiego interesu, przedmiotem nieustannych badań i zabawy.

Ta woda wesola, wściekła, pienia się, jasna i przezroczysta, która gdzieś spieszy, dokąś pędzi z tajemniczym pośpiechem, zdaje się być żywą i obdarzoną świadomością swego życia i celów.

Wypada oto z za jakiejś krawędzi skalnej, rzuca się pomiędzy głazy, okrąża je, pieni się, kipi, zła i niecierpliwa, ciska w powietrze kryształowe blaski i perłowe piany.

Dalej trafia na gładką, mało pochyloną równinę i płynie cicha, przezroczysta, śmiejąca się dołkami wirów, zaczepiając obwisłe gałązki świerków i potracając badyłami trawy—nagle ziemia się pod nią urywa, i cała jej masa, porwana jakąś siłą fatalną, ciska się w przepaść, jakżeby z zamkniętymi oczyma, rozbija się w pianę, w smugi i nici białe, w kurz i parę... I znowu porywa się z upadku, wybucha wielką falą; przerzuca się przez zawalające jej drogę głazy i ginie w jakichś wielkich ustach z kamienia, ciemnej czeluści podziemi, w tajemniczych światach, ukrytych we wnętrzu gór.

b. Niemen.

Justyna czwarty już raz dnia tego widziała Niemen w coraz to innej postaci.

Naprzód ciężkimi chmurami był podszyty, a z powierzchnią, wybuchającą promienistemi ognikami światła i skrzydłami jaskółek muskaną; potem wzburzony, ponury, wzdęte fale i białe piany toczący, z wlokącemi się w deszczowej zawiei żółtymi płyty¹⁾ i chyżo mknącym stadem czarnych czółen; potem jeszcze po burzy najczystszy błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadą atłasowych rybitew; teraz, pozornie nieruchomy, stał się on w dole wstęgą, na dwa podłużne pasma przeciętą: głęboko czarne pod długim cieniem boru, a z drugiej strony ciemno-stalowe.

W tym pasie roztopionej stali nie błyskały odbicia gwiazd, dymnemi strzępiastemi obłokami przysłaniane, ale natomiast ślizgały się po nim blade połyski, i wypływać nań

¹⁾ tratwami.

poczęły czerwone, jaskrawe, zdaleka kształt okrągły mające, ognie. Z pod stóp wysokiej góry wysuwały się one na różnych punktach, aż zrzadka uszykowanym szeregiem rzekę usiałv. Gdy płynąć zaczęły, rozpoznać było można, że były to płomienie, rozniecone na drobnych czółnach i przez siedzących przy nich ludzi wciąż podsycane.

Sunęło się ich ze dwadzieścia. W głębokim dole po nieruchomej z pozoru rzece płynęły bardzo powoli, powoli też ich odbicia kołysały się w ciemnej toni, a w blasku ich zaczerwienione profile ludzkich postaci i twarzy z wypukłością rzeźby i zarazem widmową tajemniczością odrzynały się od ciemnego tła nocy i przestrzeni.

Lecz najdziwniejszem i prawie fantastycznie wyglądającym zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętem mnóstwem drobnych, jakby śniegowych płatków osypywała czołna i siedzących w nich ludzi, często blask ogniów białą niby parą przyćmiewając.

W powietrzu jej nie było, nie było też na przestrzeniach, rozdzielających czołna; nie wiedzieć, skąd się brała. Jednak wkrótce widocznem się stało, że składały ją niezliczone roje śnieżnych, malutkich motyli¹⁾, które na skrzydłach, jakby z krepki utkanych, wylatywały z wody. Może było ich tyle, ile ziarn piasku na dnie Niemna, w którego głębiach zrodzone, opuszczały swój żywioł rodzinny, aby z żądzą niepowściągniętą i nieścignioną chyżością wpadać w blask i upaść płomieni. Podstępni rybacy z żywymi ruchami ramion cicho, szybko zgarniali do worów tę skrzydlatą zamieć, która ich głowy, odzież, czołna okrywała białością śniegu.

Cicho, bardzo powoli, bez najmniejszego odgłosu, któryby trwożliwe stworzenia wodne mógł spłoszyć i odstręczyć, nawet bez plusku wioseł, czerwone ognie i siedzące przy nich zaczerwienione profile ludzkie płynęły zdala od siebie w ciemnej przestrzeni po ciemnym szlaku rzeki, aż całą jego widzialną długość zajęły.

Cicho było wszędzie: pod niebem, w powietrzu, na ziemi i na wodzie: tylko w górze, gdzieś nad drzewami wysoko wzbite i w ciemności niewidzialne brzęczały roje nadnie-meńskich muszek. Było to brzęczenie monotonne, nieustanne, metaliczne; zdawać się mogło, że wydawała je z siebie struna,

¹⁾ jacycy, jętki długoogonowej.

rozciągnięta i drżąca pomiędzy usianą płomienistemi punktami ciemną wstęgą rzeki a niebem, pod którem wisały obłoki, do rozwiewających się dymów lub podartej krepy podobne.

a. Staw w nocy.

§ 33. Wolno wypłynął księżyc na firmament bez skazy.

Skoś rozległej powierzchni stawu strzeliła pręga ognista, drżąca, jakoby droga daleka, grubem szczerozłotem wysłana do onego przedwiecznego kraju gór. Solenna cisza nocy stała nad tym szlakiem, płonącym w nocnej głębi. Olchy wybujałe schylały się ku niej z pod nieba, patrząc weń przerażeniami gałęzmi. Nadbrzeżne wierzby, stojąc w promieniu księżyca, odbiły w wodzie wizerunki swoich pniów strupieszających z zielonemi głowami. Ani jeden wietrzyk nie dotknął wody, ani jeden powiew nie udźwignął schylonych mieczów tataraku. Chwilami lustraną toń rozdzierały ostre skrzela grzbietowe okonia. Wrzynały się jak piła w złocistą drogę. Kiedy niekiedy plusnęła płotka, igrając z radosnym blaskiem księżyca. Cieszyła się, gdy szły do niej wolno, rytmicznie a jakby przez sen kręgi lekkie, nicestwiejące, obciążone grubem falistem złotem, i znikala w żywiole ciemności. Widać było muchy wodne na szczudlastych nogach z wielkimi stopami, depczące jedwabną głębinę, i daleki, daleki kwiat lilji wodnej, nieruchomo śpiący na brzegu szerokiego liścia. Kropla rosy nocnej świeciła się w złotym lilji kielichu, jak żywa gwiazda.

Czasem z zarośli, z szuwarów, z gąszczów olszowych wydobywał się nieuchwytny głos, echo radości, rozkoszy, rozpacz, walki, głos niewiadomo czyj... Czasem zlatująca woda wydała. dźwięk głębszy, który przepłynął okrag i coś mu nakazywał czy głosił. Słuchacze nadstawili uszu, żeby pochwycić jakowys szmer z pod fal... Ale już wówczas cisza była wszędy aż do następnego momentu, kiedy znowu we śnie westchnie woda...

b. Staw o świcie.

Stanęli obaj w otwartem oknie.

W dole tuż za płotem ogrodu widać było skoś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego białoniebieskich, jak stał, zsiniała od

ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale, nim odeszły, stały nad nią, jakgdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taka właśnie jest nieskończoność. Ale światłość, zdala nadchodząca, pokropiła hyzopem cienie, i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzuciły jej łono. Zwijaly swe cudne, powłóczyste szaty, rozszerzały przezroczyście skrzydła i, mdlejąc, wijąc się z żalu, zginęły w błękicie. Tam, gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych siostry ich śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płyt-kiem wybrzeżu wody były różowe, jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem na płaskim wzgórku stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę, żyjącą własnym żywotem, zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała wpół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Umilkli. Nieruchomo przetrwali owe świtanie, patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która zwolna płonąć zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmętach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli, jak życie w każdym z nich płynie...

a. Drzewa polskie i polskie niebo,

§ 34. Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach i wiatrach wonnych, i skał
szczytach,

Mieszając tu i ówdzie podróźnych zwyczajem
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.
A przecież wokoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasyl
Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna jak menada ¹⁾ z zielonemi berły,

¹⁾ kobieta z orszaku Dionizosa (Bachusa), trzymająca w ręce laskę, owiniętą winogradem.

Ubraniem jak w grona w orzechowe perty;
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym, grabem.
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki,
Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,
Tam matrony topole i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.
Pan Tadeusz kręcił się, nudząc niepomалу
Długą rozmową, w której nie mógł brać udziału;
Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje
I wyliczać zkolei wszystkich drzew rodzaje,
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,
Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,
Nakoniec nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia—
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:
„Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
I na południu, w owej pięknej włoskiej ziemi.
Któreż równać się może z drzewami naszymi?
Czy aloes z długimi jak konduktor pałki?
Czy cytryna, karlica z złocistymi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem nie smutku, lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutno wygląda na grobie.
Jest to jak lokaj Niemiec we dworskiej żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść ani głowy skrzywić,

Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.
Czyż nie piękniejsza nasza poczziwa brzezina,
Która, jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża — ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy?
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlochał
Czemuż pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Nie maluje drzew naszych, pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi,
Że, mieszkając na żyznej litewskiej równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie“:
„Przyjacielu! — rzekł Hrabia. — Piękne przyrodzenie
Jest formą, tłem, materją, a duszą natchnienie,
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Niedość jest przyrodzenia, niedosyć zapалу;
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!
Dowiesz się o tem wszystkim z książek w swoim czasie.
Co się tyczy malarstwa: do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansamblu ¹⁾ i nieba,
Nieba włoskiego! Stąd też w kunszcie pejzażów
Włochy były, są, będą ojczyzną malarzów.
Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle,
Ale pejzażysty (bo są dwaj Brejgele ²⁾,
I oprócz Ruisdala ³⁾, na całej północy
Gdzież był pejzażysta który pierwszej mocy?
Niebios, niebios potrzeba“. — „Nasz malarz Orłowski ⁴⁾—
Przerwała Telimena — miał gust soplicowski.
Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba.
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biurku),

¹⁾ zgodności i harmonji całości z artystycznego punktu widzenia.

²⁾ Piotr Breughel (1525—1569) malował sceny z życia chłopów holenderskich, syn jego, Jan, (1568—1625), malował krajobrazy, ożywione scenami mitologicznymi lub rodzajowymi. ³⁾ Jakób von Ruysdael (1628—1682), malarz holenderski, jeden z najznakomitszych pejzażystów świata. ⁴⁾ Aleksander Orłowski (1777—1832), znakomity malarz rodzajowy, historyczny i sztycharz. Do Petersburga wyjechał z Polski w r. 1802 i bawił tam już do śmierci.

Mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w raju,
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił do kraju.
Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,
Wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy..."

„I miał rozum! — zawołał Tadeusz z zapalem. —
To państwa niebo włoskie, jak o niem słyszałem,
Błękitne, czyste — wszak to jak zamarzła woda!
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść — ileż to widoków,
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!
Bo każda chmura inna. Naprzykład jesienna
Pełźnie, jak żółw, leniwa, ulewą brzemienią,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze: to są deszczu strugi.
Chmura z gradem jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci.
Szum wielki słyhać wkoło. Nawet te codzienne,
Patrzenie, państwo, te białe chmurki jak odmiennie!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A ztyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie,
Wszystkie białe, jak srebro; zmieszały się — nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna po niebios błękitnej równinie!”

b. Droga do Nervi ¹⁾.

Zwolna bruk uliczny zmienia się w zbitą, pełną kurza-
wy drogę, po której zaprzężone w jeden za drugim muły cią-
gną przy odgłosie dzwonek i biczów dwukolne wozy; domy
przerywają się, rzadną, widnokrąg się rozszerza. Po bokach
widać zamiast kamienic stare mury ze zrębem, przybrany
w kaktusy, w bluszcz, w powoje, w winogrod lub przypo-
łudniki, których trójgraniaste liście, zwieszane w pękach na-

¹⁾ Niewielkie miasteczko kąpielowe nad morzem pod Genuą.

zewnątrz, wydają się jakby wielkie grona, przetykane złotem albo liljowem kwieciem.

Po chwili widnokrąg jeszcze szerszy. Wszędy pełno murów i tarasów. Na stokach wzgórz wśród cieni cyprysów, wśród palm, podobnych do strusich piór, lub wśród pinij bieleją wille; na trawnikach przed niemi grają fontanny. Na dalszych wzgórzach domy i domy, poprzyczepiane wszędzie, ponalepiane, jak gniazdka mew lub jaskółek, pojedynczo lub po kilkanaście razem. Gdzie niegdzie świeci odrapana chata wiejska, pomalowana czerwono lub różowo, z nieodłączną bielizną i chustkami na sznurze, które porusza wiatr, ale które tu już grają w słońcu. I znów mur, przez który kipi zieleność, znów winograd, gaje cytryn, pomarańcz, szare i srebrne oliwniki, pinje, rzucone zuchwale ze szczytów urwisk w błękit, jakby ręką biegłego artysty, jabłonie, pokryte kwieciem jak śniegiem, różowe migdały, brzoskwinie i wszędy powódź laurów.

a. Zachód słońca.

§ 35. Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrag niebios gdzie niegdzie chmurkami zastany,
U góry błękitnawy, na zachód różany.
Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,
Tam jako trzody owiec, na murawie śpiące,
Ówdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.
Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło
I, raz ciepłym powiewem westchnąwszy — usnęło.

a. Zachód słońca.

Słońce, już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
A złotem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.

Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie
I w krótkiem pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie.
Jeszcze w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej przyjaźni, co w podróż ucieka,
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury,
Gdy noc, zazdrosnym palcem ścierając dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze ztyłu — dla zbrodni i zdrady.

c. Zachód słońca nad morzem.

Słońce zniżało się coraz bardziej, a wreszcie zanurzyło się w płomienistej wodzie. I z chwilą, gdy zaszło zupełnie, poczęły się odbywać jakby czary. Na niebie i morzu potworzyły się złote, różane i złotozielone smugi, taśmy, frendzle, jakby drogi i jakieś gościńce, któremi wędrowały fantastyczne okręty z ognia ku gmachom z tęczy, opalów, szmaragdów i chryzolitów. Fiolety, róże, purpura, złoto, wszystkie możliwe barwy, wszystkie blaski bengalskich ogni, drogich kamieni i pawich piór grały na niebie i wodzie. Potem jeden purpurowy ton wzmógł się nad inne, ogarniał je, przesłaniał, topił. Wreszcie i sam począł blednąć, omdlewać i zwolna zmieniać się w ton liljowy, i w coraz liljowszy, coraz bardziej nieuchwytny, mistyczny, doskonalszy, niemal nadziemski.

Nie było teraz już widać ni morza, ni nieba, ni tej granicy, gdzie woda styka się z widnokregiem — nie było widać nic, tylko jedną liljową nirwanę, łagodną, spokojną i kojącą jakimś zaświatowem ukojeniem.

a. Zamek o poranku.

§ 36. Cwałująca czereda zleciała na błonia,
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.
Pierwszy raz widział zamek z rana i nie wierzył,
Że to były te same mury, tak odświeżył
I upiękniał poranek zarysy budowy.

Zadziwił się pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,
Pod nim błyszczała w kratkach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych.
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rozpadliny i szczyby zakryła od oka.
Krzyk dalekich myśliwców, wiatrami przygnany,
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:
Przysiągłbyś, że krzyk z zamku, że pod mgły zastłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono.

b. Akropol o świcie.

Niegdyś, przed laty już zdarzyło mi się, że, przyjechawszy morzem o pierwszym brzasku do Pireus, nie podyrzałem do pobliskich Aten koleją, ale nająłem powóz, albowiem z powozu można lepiej niż z wagonu podziwiać wschód słońca na równinie attyckiej. Zanim wyruszyliśmy z portu, brzask zmienił się na świt. Od strony Eubei wstała jutrzienka, — ta sama „rózanopalca”, którą ongi podziwiał Homer — i tak samo po tysiącach lat młoda i cudna. Rozległy oliwnik, ciągnący się między wybrzeżem a miastem, zbudził się jakby ze snu w jej promieniach, a przede mną, w nawpół błękitnej, nawpół perłowej oddali zajaśniał w górze Akropol.

Ujrzałem go po raz pierwszy w życiu i wyznaję, iż mało widziałem tak niezapomnianych widoków. Ściany Propylei, Erechtejonu i boskie w swej niedościgłej harmonji kolumny Partenonu — widne jak na dłoni — poczęły się maścić i maść wszystkimi barwami, jakie zawiera w sobie zorza poranna. Szmaragdy, opal, szafiry i rubiny, zanurzone w ogólnej różowej toni, jęły grać, migotać, mienić się, mieszać, nasuwać lekko jedne na drugie, zbiegać się w zagłębieniach marmuru i rozbiegać się na szerszych jego płaszczyznach. Był to poprostu hejnał tonów jasnych, radosnych, jakby świeżo wykąpanych w Archipelagu, a wskutek tego niestłuchanie rzeźwych i przezroczych. Zdawało się, że zręby ścian, architrawy i kolumny wycięte zostały nie z ciężkiego, kamiennego tworzywa, nie z marmuru, ale z różanego i tęczowego światła. Trwało zaś to dopóty, dopóki

nie weszło słońce i nie pograżyło równiny, miasta i Akropolu w powszechnej złotej topieli.

c. Świt na Adrjatyku.

Tyle razy już widziałem, „kiedy ranne zorze wstają” na różnych morzach, że podobne zjawiska nie powinny robić na mnie wrażenia, ale świt na Adrjatyku szczególnie jest uroczysty. Zaczyna się on od wody. Gładka toń marszczy się zlekka jakby w łuskę, która stopniowo zaczyna srebrzyć się i błednać. Woda staje się zwolna jaśniejsza od nieba; coraz więcej blasku wsiąka w ciemności, z tą bladą czystością linii, określanych srebrnymi refleksami. Wierzchnia warstwa wody rozświecła się coraz mocniej, a odbicia jej padają i na twarze ludzkie. Dal morską odśłania się stopniowo, zupełnie jakby kto podnosił z niej zasłonę. Tu i owdzie na horyzoncie widać już trójkątne żagle łacińskie. Lekki powiew, który dochodzi z przestrzeni, zdaje się przynosić z sobą błękit i blaski. Widnieje! widnieje! Świtanie wygląda jak uśmiech blady i smętny, ale nadzwyczaj łagodny i poprostu niepokalany. Potem od strony Triestu zjawia się różaność złota, i cała cudna gra kolorów porannych; światło tryska, rozlewa się, obejmuje cały widnokrąg, a z przeciwnej strony wynurza się z wody, w tych blaskach i majestacie — Wenecja, „la Bella”.

a. Burza.

§ 37. Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż, jedną stroną nawpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszecz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.

I łany zbóż, co wprzód, kładąc się na ziemi
I znowu wgórę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwiej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długimi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony,
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby
Stoją, naksztalt posągów sybilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykłe do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka
I, opuszczając stawę, do domu ucieka.
Buchaj racicą ziemię kopie, orze rogiem
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem;
Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie, i na zapas chwyta.

Ptactwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony, stadami obståpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli;
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała,
Jaskółka czarny obłok przeszywa jak strzała,
Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili
Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli
I chronią się gromadnie w domy i stodoły,
Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioty
Stoczą walkę.

Na zachód jeszcze ozłocona
Ziemia świeci ponuro, żółtawo czerwona.

Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jakgdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miewając krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwały się, porwały się wpoły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach.
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrwane włosy,
Znięszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemiu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida, toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszecz wydyma się, roztwiera ku górze
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
Aż całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem, to, jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosą do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosą i ziemią,
Noc je z burzą od nocy czarniejszą zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie,
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie,
Aż się uspokoiło wszystko, tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

b. Burza wiosenna.

Ledwie co wysypali się przed kościół bych nieco ochłodzić pod drzewami, grosz jaki dziadom wysupłać i zmówić się ze znajomkami, kiej pociemniało zagnała, daleki grzmot zahuczał, i suchy, palący wiatr zakręcił, że drzewa się targwały, i kurz się podniósł na drogach.

Ludzie z bliższych wsi jęli nagwałt wyjeżdżać.

Alę zrazu ino drobny deszcz przekropił, gorący i rzadki, że jeszcze parniej się stało i duszniej, zaś słońce paliło niemiłosierniej, a żaby nukały ciszej i sennie, jeno co jakoś pomroczało, dale się przyćmiły, zahuczały znowu grzmoty, i na posiniałym wschodzie jęły migotać blade, krótkie błyskawice.

Burza szła od wschodniej strony, kieby sierpem nadciągały ciężkie, granatowe płachty chmur, opite deszczem czy gradem, krótki a hukliwy wiatr wyrwał się przodem, świszcząc po czubach drzew i szarpiąc zbożami, płactwo z wrzaskiem uciekało pod dachy, nawet psy gnały do chałup, było wyrwano z pól, a po drogach już się kręciły słupy kurzawy, zaś grzmoty rozlegały się coraz bliżej.

A nie wyszło i dwóch pacierzy, kiej słońce jęło się zatapiać w rudych, paskudnych tumanach i przeświecało kieby z za szyby przepalanej, grzmoty już zahurkotały nad wsią, i uderzył taki wichur, że dziw drzew nie powyrywał, jaże gałęzie i snopki z dachów w cały świat porwał, a pierwsze pioruny trzasnęły gđziesik w bory, całe niebo w mig posiniało niby wątroba, słońce zgasło, zawyły wichry, i pioruny jęły bić jeden za drugim, grzmoty zatrzęsły ziemią, i ognie błyskawic ozdierały schmurzone niebo, oczy wyżerając blaskami.

Domy dygotały od huków, a wszelkie stworzenie przycaizło się w strachu.

Na szczęście, że burza przewaliła się stronami, pioruny biły gđziesik daleko, wichura przeszła, nie poczyniwszy szkód, niebo zaczęło się już wyjaśniać, gdy przed nieszporamai lunął rzęsisty deszcz, i poszła taka nawałnica, że w mig położyła zboża, rzeka wezbrała, a ze wszystkich rowów, miedz i brózd waliła spieniona woda.

Uspokoilo się dopiero pod sam wieczór, deszcz przeszedł i na zachód słońce się wykryło z za chmur czerwoną i promienistą kulą...

c. Burza letnia.

Na świecie ciągiem prażyło, zaś czem bliżej ku żniwom, tem jeszcze bardziej wzmagala się spiekota, że już w dzień niesposób się było pokazać w polu, a noce też nie przynosiły ochłody, szły bowiem duszne i nagrzone, że nawet w sadach nie można było wyspać z gorąca, prosto klęska waliła się na wieś, trawy już tak wypaliło, że bydło głodne wracało z paśników i ryczało w oborach, ziemniaki więdły, zawiązały się kieby orzeszki i tak ostały, przypalone owsy ledwie odrosły od ziemi, jęczmiona pożółkły, zaś żyta schły przed czasem, bielejąc płonnymi kłosami. Trapili się tem niemało, ze smutną nadzieją spozierając w każdy zachód, czy nie idzie na odmianę, ale niebo wciąż było bez chmur i całe jakby w szklanej, białawej połodze, a słońce zachodziło czyste i niby najlżejszym obłoczkiem nieprzyćmione.

Niejednen już skamlał serdecznie przed obrazami do Przemienienia Pańskiego, nic jednak nie pomagało, pola mglały coraz bardziej, uwiędły a niedojrzały owoc opadał z drzew, studnie wysychały, a nawet w stawie ubyło tyle wody, co tartak nie mógł już robić, i młyn również stał zawarty na głucho, więc naród, przywiedziony do rozpacz, złożył się na wotywę z wystawieniem, na którą zebrała się cała wieś.

A modlili się tak gorąco i ze wszystkiego serca, co i kamieńby się ulitował.

I snadź Pan Jezus pofolgował swemu miłosierdziu, chociaż bowiem nazajutrz zrobiło się tak gorąco, znojnje, duszno i parno, jaże ptactwo padało zemdlone, krowy żałośnie ryczały po pastwiskach, konie nie chciały wychodzić na świat, a ludzie, przemęczeni do ostatka, bez sił, tułali się po spiekłych sadach, bojąc się wyrzeć choćby do ogrodu, ale jakoś w samo przypołudnie, gdy wszystko zdało się już puszczać ostatnią parę w tym białym, rozmigotanym wrzasku, przyćmiło się nagle słońce i zmętniało, kieby weń kto rzucił przygarścią popiołu, a pokrótce zahuczało kajś wysoko, jakoby stado ptactwa wielgachnymi skrzydłami, a napęczniałe sinością chmury nadciągały ze wszystkich stron, opuszczając się coraz niżej i groźniej.

Strach wionął, wszystko przycichło i stanęło w przytąjonym dygocie.

Zahurkotały dalekie grzmoty, zerwał się krótki wiatr, po drogach wzniosły się skłębione tumany, słońce rozlało się, kieby żółtko w piasku, ściemniało raptem, i na niebie zaroily się roje błyskawic, jakby kto zamigotał ognistemi postronkami, i pierwszy piorun trzasnął kajś blisko, jaże ludzie powybiegali przed chałupy.

Naraz skotłowało się wszystko do dna, słońce zgasło, uczynił się dziki męt, i rozszalała się taka zawierucha, że w skotłunionych mrokach lały się jeno strugi oślepiających jasności, biły pioruny, grzmoty przewalały się po niebie, szumiła ulewa, i jęczały wichry i drzewa.

Pioruny już biły jeden za drugim, jaże oczy ślepiło, i spadała ulewa, że światła nie można było dojrzeć, zaś stromami poszły grad.

Burza trwała może z godzinę, aż zboża się pokładły, i drogami pociekły całe rzeki spienionej wody, a co przestało na chwilę i zaczynało się wyjaśniać, to znowu grmiało, jakby tysiące wozów pędziło po zmarzłej grudzi, i nowy deszcz lał jak z cebra.

Z trwogą wyzierano na świat, tu i owdzie już pozapalano lampki, śpiewając: „Pod Twoją obronę“, gdzie znów powynoszono na przyżby obraży dla obrony przed nieszczęściem, ale dzięki Bogu burza przechodziła, nie wyrządziwszy większych szkód, dopiero kieć się już prawie docna uspokoiło, i padał deszcz coraz drobniejszy, z jakiejś ostatniej chmury, zwieszającej się nad wsią, trzasnął piorun w stodołę wójtową.

a. Jesień nad Niemnem.

§ 38. Dzień był znowu świąteczny i pogodny, ale rozległa równina, z jednej strony w lesiste pagórki, z drugiej w półkoliste koryto Niemna ujęta, wcale inną miała postać, niżeli w świetne, skwarne, mozolne dni ubiegłego już lata. Miała wcale inną postać, bo było to święto wesołe i rześkie jeszcze, w zebrane plony bogate, lecz już niby u wrót rozpoczynającej się jesieni stojące.

Zamiast świeżości, blasku i wrzątku wezbranego życia unosił się teraz nad tą równiną łagodny smutek natury, omdlewającej zwolna i z wdziękiem. Na spasionych miedzach gładkich i puszystych gdzie niegdzie sterczały nagie łodygi cykorji, ciemną czerwienią iskrzyły się bujne kity końskiego

szczawiu, drobne puchy kotków i żółknące dzięcielinny trzój nie przypadały ku stwardniałym krawędziom zagonów. Jak okiem zajrzeć, zdeptane przez ırzody ścierniska zmartwiałą żółtość swoją mieszały z ciemną szarością zoranej gleby i wiedzniejszą zielenią kartoflisk, a wszystko to razem wyglądało, jak kobierzec o barwach przygasłych i spłowiałych, na którym tu i owdzie łanki dojrzałe gryki kładły rdzawo-różowe plamy, a majową zielonością odbijał na korczyńskich polach bujający wysoki gaj końskiego zębu. Ścieżki, tajemniczo przedtem na dnie zbożowej puszczy utopione, widocznemi teraz, chociaż mdławemi skrętami przepływały ciemniejszą od nich rolę, której spulchnioną powierzchnię gęsto osiadły wrony, w zadumanych postawach spuszczać ku ziemi żeru szukające swe dzioby. U kraju ściernisk, pod łaskami wzbijały się z małych ognisk pastuszych niskie, nikłe, sinawe dymy; polne grusze, topole i wierzby stały jeszcze w zieleni gęstej lecz szerniałej i bez blasku, a kiedy niekiedy, nie wiedząc, skąd się biorąc, żółty liść przelatywał powietrzem i gdzie niegdzie na polnych krzakach młecznie białeły płatki pajęczyny. Zamiast upajającej woni kwitnących ziół, skoszonych traw, świeżo ściętej słomy i z drzew ulatniającej się żywicy czuć było naokół jeden tylko mocny, wilgotny, razowe pieczywo przypominający zapach ziemi, głęboko przez pługi wzruszonej. Zamiast ogłuszających śpiewów ptactwa i niezliczonych w rozmaitości swej brzęczeń owadów, panowała wszędzie cisza nie śmierci jeszcze, ale wielkiego uspokojenia się istot i rzeczy, wśród której jednak odzywały się w górze ostre krzyki żorawi i klekot bociani, a w dole na mdlejących skrzydłach przelatywały spóźnione motyle, pszczoły nad łankami gryki brzęczały, a powyżej drzew dzwoniła ciągle niewidzialna struna nadwodnych muszek.

W dni powszednie rozlegały się tu jeszcze przewlekłe i posępne lub ochocze i krótkie wołania oraczy; widać także było szybko przesuwające się pługi, z cichym chrzęstem po zoranej roli wlokące się brony, i powoli, równo, w prostych linjach z wyprostowanemi postaciami postępujących siewców, których ręce rytmicznemi prawie ruchy rzucały na zagony obfitą rosę ziaren. Nad tem zaś wszystkim, nad zaścielającym ziemię kobiercem przygasłym i spłowiałym, a gdzie niegdzie tylko rdzawą różowością lub majową zielenią rozweselonym, nad pociemniałemi drzewami, u których stóp wiły się nikłe

dymy, nad rozsianymi zizadka oraczami i siewcami świeciło wśród czystych, lecz bladych błękitów ciche, przygasłe, bladeżółte słońce.

b. Łazienki w październiku.

Piątego października doktor Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziesiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew Alei, których widok tak samo dużo wspomnień nasuwał, okrył się już rdzą czerniejącą. Wdali z pomiędzy koron kulistych jeszcze wysuwały się gałęzie bez liści, jak smutny jakiś drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwono-rude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasno-żółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci jakby obwódka dziwnej żałoby, gdzie indziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski, rozciągniony nad tą wąską smugą przestrzeni, był już nikły, zasnuty przedziwem chmurek zwianych i płynących wiotkimi pasmami w dal niedościgłą dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam, jak złote ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew octowych plamiły zieloność trawników, niby krew rozlana i skrzepła. Na dnie pustego parku w cieniu sokor królewskich niedostępnych dla słońca spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych oświetlone czuby żółtawych kasztanów buchały płomieniami, jak jęzory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnem powietrzu miły, ostry zapach liści zwiędłych.

Unikając miejsc ludnych, Judym szedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najścislejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twardymi liśćmi; cicho szumiały srebrne długowłose wierzby, co patrzą w obumarłe wody kanałów, — i świerki, jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wylęklą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.

Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czemś dziwnem i rażącym wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora, śpiące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostre rysami przerzynały chłodne murawy. Tuż obok drogi, zaśnieżonej liśćmi, tały się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która, przyjmując w siebie poszarpane plamy firmamentu, dawała jakieś kłamliwe ich odbicie, brzask srebrzący się a niepochwytny. Rysowały się tam czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak, siadający dla wypoczynku, strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swem gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtenii, że się wydawało, jakoby płynna jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszane, przejrzyste, delikatne, a rzucały na środek wody ruchome odbłaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznie lśniącego bronzu. W jednym miejscu słońce, znalazłszy wśród przerzedzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody, jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla żrenicy. Między drzewami co chwila migały błyszczące pudła powozów, pędzących na gumowych kołach. Głuchy turkot ich, przerywający milczenie, był głosem, który z zimnem przyrody harmonizował.

a. Śnieg.

§ 39. Skoro jeno przedzwonili na południe, zmroczyło się nieco, i jał padać śnieg dużemi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco, a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtaniu było już śniegu na dobre trzy piędzie, docna przyokrył kożuchem ziemię i przestonił świat cały modrawą białością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskrós tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło,

oniemiało, jakby przed cudem stanęło i, przychylone nieco, zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrganej i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawiała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się, by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; snuł się gęstwą nieprzeliczoną, by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzepły w szron, starte lotem podniebnym na proch — świat zasypywały — przystończyły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość, w ten oślepiający tuman, a wkońcu nie było dla oczów nic widne prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

b. Kurniawa ¹⁾).

Kurniawa. Między wiatrem, między pędzającym powietrzem, a śniegiem niema rozdziału, — nie wydaje się, że to wiatr niesie śnieg, tylko że leci jakaś biel, wyjąca i szumiąca. Przed oczami migają z zachodu na wschód pasma białych nici — to większe, płatki, a z nimi leci pył — para śnieżna, leci, czepia się wszystkiego na drodze, spada na ziemię, na lasy, na dachy i znowu ze świstem porywa się i niesie smugami, rozszerzającemi się w górze i rozpylającemi się w białym tumanie. Wiatr rzeźbi. Niesie śnieg zbitą ławą, wpada na chatę, na szopę, uderza się o nią, cofa się, rozmiata przed sobą długą i szeroką, półkolistą fosę i stoży nad nią coraz wyższą zaspę. Jej brzegi, cudownie podwinięte, zginają się jak łby wstrzymanych nagle rozpędzonych koni, jak grzbiety fal, mających się zwalić w zwojach piany. Jest to pochwycona i zmaterjalizowana cała logika wiatru, jest to siła i ruch, stężale nagle i wcielone w bryłę materji. Wiatr leci dalej i kłębi rozpylonemi wydymami śniegu. Za płotami stoży olbrzymie zasy, które długimi odkosami przecinają drogi i ogrody, nad potokami przelatuje równo, ubijając gładką powierzchnię, której brzegi, popodwijane w cudowne gzymsy, zginają się białemi ślimacznikami nad

¹⁾ zawierucha, zamieć zimowa, zadymka.

ciemną wodą. Na dachach domów i szop wszędzie osadza się ta potężna rzeźba skryształizowanego ruchu. Zmarzłe i rozniesione na pył głębiny mórz niosą się z zawrotną szybkością, wdzierając się wszędzie, wypełniając wszystko, zasypują lasy, zawalają turnie, równają wąwozy, zatykają gardła pieczar, pochłaniają potoki i stawy i wszędzie rzeźbią z niezachwianą logiką ten sam kształt skamieniałej fali.

We dnie świat jest lecącą bielą, — w nocy zdaje się, że szary mrok zmienił się w proch, w jakieś lekkie strzępy i leci z szumem, świstem, jękiem i furkotaniem gwałtownem. Promień światła, wykradający się z małego okna, sięga daleko w tę ruchomą ćmę i wygląda jak kometa, zbłąkana w wirze zgasłych i zmielonych na lotny pył światów. Po nocy, w której nic nie widać, przychodzi dzień, w którym widać tylko śnieg, tylko biel, tylko te smugi, lecące z zachodu na wschód, tylko te piany, roztrzepane w pył, w parę i tylko stożące się coraz wyżej zaspasy, tylko potężniejsze ślimacznice, zwinięte nad potokami, na zrębach skał, na strzechach dachów.

Wiatr cichnie, ale śnieg pada dalej, lekko niesiony, wykończą robotę kurniawy. Na lesie zawisa okiść, coraz cięższa, coraz szczelniejsza. Ociężałe gałęzie obwisają coraz bliżej pnia, smreki stają się smuklejsze, spiczastsze, dolne konary przychwytuje i więzi stożący się coraz wyżej od ziemi garb śnieżny. Na małych polankach, na młodym lesie tworzą się dziwaczne szczyty indyjskich pagód i bizantyńskie kopuły, z których jak krzyże sterczą śmigłe wierzchowce. Gdzie indziej wyrastają potworne łby białe, wyciągają się ręce w białych rękawicach, tłoczą się jakieś białe cielska, zdaje się, że to jakaś rada przedwiecznych wielmożów brodatych, kołtuniastych zasiada w olbrzymich szubach z białych niedźwiedzi, krytych białym, przetykanym srebrem, aksamitem. Na kominach zwisają olbrzymie czapy, a na każdej tyczce w płocie siedzi kołpak jednako schwiany ku wschodowi, po żerdziach wiją się długie, puszyste, białe węże. W widłach konarów jesionów osiadają potworne, białe gniazda, gałęzie, oblepione śniegiem, rozpinają się w szarem powietrzu, jak strzępy grubych potarganych sieci, jak smugi pian, krążących po miotającej się fali; na kamieniach, sterczących z czarnej, snującej się cicho wody, wyrastają białe, wydęte kępy śnieżyste.

I tak trwa dni kilka, aż któregoś wieczora śnieg spadający rzednie, staje się coraz suchszy, wyraźniej w nim widać kształtne gwiazdki kryształów,— z szarej przędzy, wiśzącej na niebie, zaczyna przecierać się złotawa poświata i lazurowy pobrzask — mróz tężeje.

Akt miłości.

§ 40. Kocham cię nad życie... Kocham cię w woniach twej ziemi i w śpiewach twych ptaków, w szeleście kłosów, w szumach lasów, w dzwonieniu wód, w mgłach nad łąkami.

Kocham cię w kwiatach twych polnych, ziołach dzikich, kamieniach i krzyżach przydrożnych, w białych całunach śniegu, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych, zmierzchach smutnych i gwiazdzistych nocach; kocham cię w chmurnych sklepieniach, które stoją nad gorejącym szkarłatem twych jesieni, w gwiazdach i falach, we wrzosach i różach, w tajemniczem piśmie, którem wiatry okrywają rozłogi twych białych piasków, w czarnych brózdach, któremi pługi oraczy wyrzeźbiają oblicze twej roli...

Kocham cię w ludzkich łzach, myślach, czynach, nadziejach, snach złotych i kamiennych dolach, nawet w budzących litość i trwogę błędach, w rozpromienianiach się i przygasaniach twej chwały, w twych śpiewnych i bohaterskich duchach...

I nadewszystko, najmocniej, najrzewniej, najwierniej, najdumniej kocham cię w twem nieszczęściu!

a. Dwór korczyński.

§ 41. W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory, otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bżów, akacyj, buldenezów, jaśminów, spirei i róż. Dokoła starych, niegdyś kosztownych sztachet topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg, okalających trawniki i rosnące wśród nich potężne grupy drzew i krzewów, stał dom drewniany, niepobielony, niski, ozdobiony wijącemi się po jego ścianach powojami,

z wielkim gankiem i długim rzędem okien, mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowemi drzewami, rosnącemi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Naprzeciw gospodarskich zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego snadź, bo w aleje z grubych drzew wysadzanego, ogrodu. U jednego z krańców tego ogrodu widać było przeświecający przez zieloność wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów dziedzińca widzialna była i sama rzeka, szeroka, w tem miejscu okrągłym łukiem skracająca się za bór ciemny.

Nie był to dwór wielkopański, ale jeden z tych starych szlacheckich dworów, w których niegdyś mieściły się znaczne dostatki, wrzało życie ludne, szerokie, wesołe. Jak działo się tu teraz, aby o tem wiedzieć, trzeba było dowiadywać się zbliska; ale co w oczy odrazu wpadało, to wielka usilność o zachowanie miejsca tego w porządku i całości! Jakaś ręka gorliwa i pracowita zajmowała się wciąż jego podpięciem, naprawianiem, oczyszczaniem. Szlachety psuły się po wielokroć, ale zawsze je naprawiano, więc choć połatane, stały prosto i dobrze strzegły dziedzińca i ogrodu. Stare również gospodarskie budynki miały silne podpory, a w wielu miejscach nowe strzechy i nowe pomiędzy drewnianemi ścianami słupy z kamieni. Stary dom niski był i widocznie z każdym rokiem więcej się wsuwał w ziemię, lecz z dachem gontowym i jasnymi szybami okien nie miał wcale pozoru ruiny. Rzadkich kosztownych kwiatów nie było tu nigdzie; ale też nigdzie nie rosły pokrzywy, łopuchy, osty i chrzany, a stare drzewa i dawno snadź zasadzone, bo potężnie rozrosłe, krzewy wyglądały świeżo i zdrowo... Dworowi temu, w którym widocznie wciąż się coś psuło i naprawiane było, w którym widocznie także nic oddawna nie dodawano i nie wznoszono, ale tylko to, co już stało i rosło, przechowywano, — porządek, czystość i dbałość nadawały pozór dostatku i prawie wspaniałości. Wielkość zajmowanej przezeń przestrzeni, niezmierne bogactwo napełniającej go roślinności, sama nawet starość niskiego domu i niejaka dziwaczność gotyckich jego okien wywierały wrażenie powagi, wzbudzały same przez się poezję wspomnień. Mimowoli wspomnieć tu trzeba było o tych, którzy sadzili te ogromne drzewa i żyli w tym stuletnim domu, o tej rzece czasu, która nad tem miejscem

przepłynęła, to cicha, to szumna, lecz nieubłagane unosząca z sobą ludzkie rozkosze, rozpacz i grzechy.

Wnętrze domu posiadało te same, co i cały dwór, cechy dawnego bogactwa, chronionego przez czujne i nieutrudzone starania od rozpadnięcia się w łachmany i próchno. W obszernych, niskich i dobrze oświetlonych sieniach sterczały na ścianach przed wielu już zapewne dziesiątkami lat umieszczone ogromne rogi łosiów i jeleni; pomiędzy nimi wisały uschłe wieńce ze zboża, przetykane zielenią jagód kalinowych i jarzębinowych; naprzeciw drzwi wchodowych wąskie schody, niegdyś wykwintne, dziś tylko ślady dawnej politurę noszące, prowadziły do górnej części domu. Z sieni dwoje drzwi naościęz rozwartych wiodło z jednej strony do obszernej sali jadalnej, z drugiej — do wielkiego o czterech oknach salonu.

Oba te pokoje dostatecznie zapełnione były sprzętami, które, jak z kształtu i gatunku ich wnosić było można, kupiono snadź przed dwudziestu przeszło laty, i kosztowały wiele; teraz przecież ukazywały się na nich tu i owdzie niewprawną ręką wiejskiego rzemieślnika dokonane sklejenia i naprawy, a drogą materję, która niegdyś okrywać je musiała, zastąpiła zupełnie tania i pospolita. Obicia na ścianach, tak jak i sprzęty, niegdyś kosztowne i piękne, a teraz postarzałe i spłowiałe, błyskały jeszcze gdzie niegdzie złoceniemi bukietami i arabeskami; zakrywało je zresztą w znacznej części kilka pięknych kopij ze sławnych obrazów i kilkanaście rodzinnych portretów w staroświeckich, ciężkich z wytartą pozłotą ramach. Podłogi były tam woskowane i błyszczące, niskie sufity białe i czyste, drzwi staroświeckie, ciężkie z bronzowemi, błyszczącemi klamkami, dywany duże i spłowiałe, w rogu salonu piękny fortepian, u okna ze smakiem ustawione grupy zielonych roślin. Widać było wyraźnie, że od lat dwudziestu nic tu nie przybyło, ale i nic nie ubyło, a to, co brudził, łamał i rozdzierał czas, ktoś ciągle oczyszczał, naprawiał i zaszywał. Sprawiało to wrażenie pilnej pracy, usiłującej zwolnić, może zupełnie powstrzymać stopniowo i nieubłagane proceder swój wiodącą przemianę bogactwa w nędzę.

W przyległym wielkiemu salonowi pokoju, którego okna, jak i okna salonu, wychodziły na błękitniejący z rzędu starych klonów Niemen, znajdowało się towarzystwo,

złożone z czterech osób. Pokój ten miał pozór gabinetu kobiety wykwintnej. Wszystko tu było miękkie, ozdobne i wbrew temu, co działo się w innych częściach domu, dość jeszcze nowe. Obicie, osypane bukietami polnych kwiatów, miało pozór nieco sentymentalny; gotownia ¹⁾, okryta zwojami białego muślinu, połyskiwała kryształowemi i porcelanowemi cackami; na piétrówkach leżały książki, stały zgrabne koszyki i pudełka z przyborami do ręcznych robót. Materja, okrywająca sprzęty, ponsową barwą swoją sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie świetności.

Z temi wszystkiemi szczegółami sprzeczała się atmosfera, pokój ten napełniająca. Była ona duszna i pełna zmieszanych zapachów perfum i lekarstw; ponieważ zaś okna i drzwi od przyległych pokoiw szczelnie były zamknięte, pokój więc ten przypominał pudełko apteczne, oklejone papierem w kwiatki i napełnione wonią olejków i trucizn.

b. Dwór w Soplicowie i pokoik Zosi.

Śród takich pól, przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim we brzozowym gaju
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Uzątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów,
Orzących wczesnie łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze, naksztalt ogrodowych grządek,
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama nawściąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

¹⁾ toaleta z wszelkiemi przyborami do ubierania się i trefienia włosów.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie, porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się bawić lubił od powicia;
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisały.
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej z oczyma,
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałosny po wolności stracie,
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny,
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny,
Stoją na szanicach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.
Nawet stary, stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione żrenice
Po ścianach: w tej komnacie mieszkanie kobiece?
Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty;
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
To nie był ochmistrzyni pokój. Fortepiano?

Na niem nuty i książki; wszystko porzucano
Niedbale i bezładnie. Nieporządek miły!
Niestare były rączki, co je tak rzuciły.
Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta
Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta.
A na oknach donice z pachnącemi ziołki,
Gieranjum, lewkonja, astry i fiołki.
Podróżny stanął w jednym z okien — nowe dziwo:
W sadzie na brzegu, niegdyś zarosłym pokrzywą,
Był maleńki ogródek, ścieżkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płótek
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
Grządki, widać, że były świeżo polewane;
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki:
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzewiczki,
Świeżo tracone, blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki.
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu
Ślad wyraźny, lecz lekki, odgadniesz, że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
Od kogoś, co żałowie dotykał się ziemi.

c. Wiejskie gniazdo.

Rodzina Oleszów mieszkała w piętrowym lamusie ¹⁾,
zwanym „skarbcem“, przerobionym na mieszkanie główne,
stary zaś, niski dwór wrastał w ziemię pod ciężarem omsza-
łego dachu; dumały nad nim ogromne lipy i szeptem dora-
dzały go nie tykać, aż póki umrze naturalną śmiercią razem
z innemi porostami tej ziemi. Zato „skarbiec“ był wyświe-
żony, opasany dwoma piętrami drewnianych portyków —
wielki, familijny gołębnik. Był projekt postawienia nowego
dworu w malowniczym miejscu nad Ptyczą, obrośniętą stare-
mi drzewami, ale projekt nie dojrzał jeszcze przez ćwierć
wieku — i Kotowicz odnalazł Kurenicze takie same, jakie je
przez mgłę pamiętał. Siedziba nie była wcale zaniedbana, tylko
wszystkie jej ozdoby: kwietniki, gracowane ścieżki, mała fon-

¹⁾ domu, zwykle murowanym i zabezpieczonym od ognia, prze-
znaczonym do przechowywania różnych rzeczy.

tanna — zbiegały się do zaludnionego skarbcza, stroniły zaś od pustego dworu, do którego krzewy i chwasty przystępowały coraz bliżej powodzią ogarniającą.

Niepodobna było odrazu nie polubić tego wiejskiego gniazda; spodobało się też Kotowiczowi z zewnątrz, a gdy przeszedł progi, objęło go serdecznie świeże ciepło dobrze wietrzonego wnętrza, zapach ziół dobrych i półcień szlacheckiego muzeum, do którego parę pokoleń dodawało swe upodobania estetyczne w meblach i gratach.

d. Mieszkanie pana Łęckiego.

Pan Tomasz Łęcki z jedyną córką, Izabelą, i kuzynką, panną Florentyną, nie mieszkał we własnej kamienicy, lecz wynajmował lokal, złożony z ośmiu pokoiów w stronie Alei Ujazdowskiej. Miał tam salon o trzech oknach, gabinet własny, gabinet córki, sypialnię dla siebie, sypialnię dla córki, pokój stołowy, pokój dla panny Florentyny i garderobę, nie licząc kuchni i mieszkania dla służby, składającej się ze starego kamerdynera, Mikołaja, jego żony, która była kucharką i panny służącej, Anusi.

Mieszkanie posiadało wielkie zalety. Było suche, ciepłe, obszerne, widne. Miało marmurowe schody, gaz, dzwonki elektryczne i wodociągi. Każdy pokój w miarę potrzeby łączył się z innemi lub tworzył zamkniętą w sobie całość. Sprzętów wreszcie miało liczbę dostateczną, ani za mało, ani za wiele, a każdy odznaczał się raczej wygodną prostotą, aniżeli skaczącemi do oczu ozdobami. Kredens budził w widzu uczucie pewności, że z niego nie zginą srebra; łóżko przywodziło na myśl bezpieczny spoczynek dobrze zasłużonych; stół można było obciążyć, na krześle usiąść bez obawy załamania się, na fotelu marzyć.

Kto tu wszedł, miał swobodę ruchu; nie potrzebował lękać się, że mu coś zastąpi drogę, lub że on coś zepsuje. Czekając na gospodarza, nie nudził się, otaczały go bowiem rzeczy, które warto było oglądać. Zarazem widok przedmiotów, wyrobionych nie wczoraj i mogących służyć kilku pokoleniom, nastrajał go na jakiś ton uroczysty.

a. Z „Przedświtu“.

§ 42. Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — zdaleka — w niebo — przodem
Pną się ostrza, kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Poza wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże,
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadłana
Fala pije niebios smug,
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

b. Okolice kopalni.

Okolica za miastem sprawiała wrażenie rzeczy, wciąż przetrząsanej i to nie w tym celu, żeby ją uporządkować, lecz dla wydobycia metodą rabunku tego, co zawiera. Wszystko zostające na miejscu było resztką. Co chwila dręczyły oko jamy, rowy, kanały, ścieki.

Gdzie niegdzie stała jeszcze kępa sosen, zrzadka rosnących, jak żyto na piasku. Przez ten las widać było, co się za nim dzieje. Pewne przestrzenie były zarośnięte krzywą sośniną, skartowaciałym wyrodkiem drzewa, inne — jałowcem. Ogół miejsca był pustką, nieużytkiem.

Na wszystkie strony biegły gościńce, drogi, ścieżki. Co pewien czas koła wozu stukwały o szyny drogi żelaznej. Wszędzie widziało się kominy, kominy i dymy, ciągnące wdał po lazurowem niebie.

Droga biegła obok przeróżnych zabudowań fabrycznych, które już to łączyły się w dziwne gromady, już rozpryskiwały w szeregi mieszkań ludzkich. W sąsiedztwie tych skupień ukazywały się oczom jamy ogromne, głębokie, w których stała, nie mając gdzie odpłynąć, brudna, splugawiona, żółto-ryża woda. Judyma widok tych dołów przyprawiał o smutek niewysłowiony. Był to bolesny obraz sromoty. Nie może nigdzie odpłynąć, odejść, uciec, ruszyć się ani wtył, ani

naprzód, nie może nawet wsiąknąć i bez śladu, bez pamięci śmiercią zginać. Nie służy już do niczego, bo ani za napój, ani za środek oczyszczenia jakiegokolwiek ciała. Nie dano jej nawet odbijać w sobie chmur i gwiazd niebieskich. Jak oko wybite, patrzy w górę ze strasliwym błyskiem, z niemym krzykiem, który goni człowieka. Przeklęta od wszystkich służy za zbiornik zarazy. I tak musi istnieć na swoim miejscu bez końca, bez śmierci.

W pobliżu takich wyrw wznosiły się hałdy, ogromne zwały piachu węglowego, tworzące istne wzgórza. Gdzie niegdzie rozerwały je deszcze i burze na części i utworzyły między jedną a drugą doliny poprzeczne. Te dziwne nasypany o barwie cegły wypalanej, w których stłił się miał węglowy, połączony z łupkiem, tu i owdzie przerzynały obszar jak krwawe, zaognione obrzęknięcia tej schorzałej, zmaltretowanej ziemi.

a. Ketling of Elgin.

§ 43. Drzwi otworzyły się, i na tle ciemnej głębi ukazał się oczom dziewczyny jakiś nieznany mężczyzna.

W pierwszej chwili wydało się Krzysi, że widzi obraz, albo że zasnęła i śni: tak cudne stanęło przed nią zjawisko... Nieznajomy był to młody człowiek, przybrany w czarny strój cudzoziemski z białym koronkowym kołnierzem, spadającym aż na ramiona. Krzysia w dzieciństwie jeszcze widziała raz pana Arciszewskiego, generała artylerji konnej, przybranego podobnie, który też z powodu takiego stroju, jak również dla nadzwyczajnej swej piękności długo jej został w pamięci. Otóż tak był ubrany ów młodzian, tylko że pięknoscią gasił i pana Arciszewskiego i wszystkich mężów, chodzących po ziemi. Włosy jego, ucięte równo nad czołem, wiły się w jasnych pierścieniach po obu stronach twarzy, poprostu cudne. Brwi miał ciemne, wyraźnie rysujące się na białem jak marmur czołe, oczy słodkie i smutne; płowy wąs i płową spiczastą brodę. Była to głowa niezrównana, w której szlachetność łączyła się z męstwem, głowa zarazem rycerska i anielska.

b. Neron.

Więc to był on? ten straszny i wszechmocny? Nie widziała go dotąd nigdy, a myślała, że wygląda inaczej. Wy-

obrażała sobie jakieś okropne oblicze ze skamieniałą w rysach złością; tymczasem ujrzała wielką, osadzoną na grubym karku głowę, straszną wprawdzie, ale niemal śmieszną, albowiem podobną zdaleka do głowy dziecka. Tunika ametystowej barwy, zabronionej zwykłym śmiertelnikom, rzucała sinawy odbłask na jego szeroką i krótką twarz. Włosy miał ciemne, utrefione modą, zaprowadzoną przez Othona, w cztery rzędy pukli. Brody nie nosił, gdyż przed niedawnym czasem poświęcił ją Jowiszowi, za co cały Rzym składał mu dziękczynienie, jakkolwiek pocichu szeptano sobie, że, jak wszyscy z jego rodziny, zarastał czerwono. W jego silnie występującem nad brwiami czole było jednak coś olimpijskiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość wszechmocy; lecz pod tem czołem półboga mieściła się twarz mały, pijaka i komedjanta, próżna, pełna zmiennych żądź, zalana mimo młodego wieku tłuszczem, a jednak chorobliwa i plugawa. Ligji wydał się złowrogim, lecz przedewszystkiem ohydny.

a. Młoda Litwinka.

§ 44. Podróżny długo w oknie stał, patrząc, dumając,
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,
Oblicze aż na krzaki fiołkowe skłonił,
Oczyrna ciekawemi po drożynach gonił
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
Myślał o nich i czyje były odgadywał.
Przypadkiem oczy podniósł i tuż na parkanie
Stała młoda dziewczyna — białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odślaniając ramiona i łabędzią szyję.
W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
W takim nigdy nie bywa od mężczyzn widziana;
Więc, choć świadka nie miała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience.
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzélki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętym obrazku.
Twarzy nie było widać, zwrócona na pole,
Szukała kogoś okiem daleko, na dole;

Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak, zleciała z parkanu na błonie,
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
I po desce, oparłej o ścianę komnaty,
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
Nagła, cicha i lekka; jak światłość miesiąca.
Nucąc, chwyciła suknię, biegła do zwierciadła;
Wtem ujrzała młodzieńca, i z rąk jej wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
Twarz podróżnego barwą spłoneła rumianą,
Jak obłok, gdy z jutrzeńką napotka się ranną;
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił. —
Chciał coś mówić, przepraszać, tylko się uklonił
I cofnął się: dziewczica krzyknęła boleśnie,
Niewyraźnie, jak dziecko, przestraszone we śnie:
Podróżny zląkł się, spojrzął, lecz już jej nie było,
Wyszedł zmieszany i czuł, że mu serce biło
Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzic, czy cieszyć.

b. Zosia.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą,
Stała, trzymając w ręku podniesione sito,
Do nóg jej biegło ptactwo; stąd kury szurpate
Toczą się kłębkami, stamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając kolorowe na głowach szyszaki
I wiosłując skrzydłami przez brózdy i krzaki,
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,
Sarkając na trzpiotalstwo swej krzykliwej żony;
Owdzie pawie jak tratwy długimi ogony
Sterują się po łące, a gdzie nieddzie z góry
Upada jak kiść śniegu gołąb srebrnopióry.
W pośrodku zielonego okręgu murawy,
Ściska się okrąg ptactwa krzykliwy, ruchawy.
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z koralu
Wznoszą się z gęstwi pierza, jak ryby z pod fali.
Wysuwają się i w ruchach łagodnych
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;

Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi;
Ona w środku wysoko nad ptactwem się wznosi
Sama biała i w długą bieliznę ubrana,
Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontanna;
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy
Ręką jak perły białą gęsty grad perłowy
Krup jęczmiennych: to ziarno, godne pańskich stołów,
Robi się dla zaprawy litewskich rosółów;
Zosia, je wykradając z szafy ochmistrzyni
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.
Usłyszała wołanie: Zosiu! — to głos ciotki!
Sypnęła razem ptactwu ostatek łakoci,
A sama, kręcąc sito, jako tanecznica
Bębenek, i w takt bijąc, swawolna dziewczica
Jeła skakać przez pawie, gołębie i kury:
Zmieszane ptactwo tłumnie furknęło do góry.
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,
Zdawała się najwyżej bujać między niemi,
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
Leciały, jak przed wozem bogini rozkoszy.

a. Widok gór ze stepów Kozłowa ¹⁾).

PIELGRZYM.

§ 45. Tam! czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy ²⁾ z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!
Czy Allah, gdy noc chylał ³⁾ rozciągnęła bury,
Dla światów, żeglujących po morzu natury,
Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

¹⁾ Kozłów - Eupatorja, miasto na zachodnim wybrzeżu Krymu.

²⁾ złośliwe genjusze, które podług mitologii Persów niegdyś panowały na ziemi. ³⁾ chylał — suknia honorowa, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

MIRZA ¹⁾

Tam? — Byłem: zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem, pijące z jej gniazda.
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Minąłem grom, drzemiący w kolebce obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.
To Czatyrdah²⁾

PIELGRZYM.

Aa!!

b. Tatry.

Wdali!... jakby ciągnący ławą huf kręsowy
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwały dumnie głowy!

Wielki, jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż, jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni Tatrzańską! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni! —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

¹⁾ wódz, księżę tatarski, Tatar. ²⁾ najwydatniejsza, chociaż nie najwyższa góra w Krymie, między Symferopolem a Ałusztą. Odosobniony ze wszystkich stron kolos widoczny jest z Eupatorii jako sławy, jasno na horyzoncie rysujący się namiot. Stąd też pochodzi nazwa jego w języku tatarskim: Czatyrdah — namiot, dagh — góra. Na wierzchołku Czatyrdahu leży śnieg jeszcze w lipcu, — a w wydrążeniach lejkowatych zbierają się wody, które dają początek licznym potokom.

a. Fiordy podbiegunowe.

§ 46. Krajobrazy te, będące—z wyjątkiem barwnych świtów i zmierzchów—mozaiką bieli i czerni (albowiem wobec białości lodów i śniegów wszystko inne staje się czarne), krajobrazy te nie nadają się do ramek naszej zwykłej estetyki. Nie można ich nazwać pięknymi; zbyt bowiem odskakują od zjawisk, na których kanwie tworzy się i rozwija nasze poczucie estetyczne. To jednak mają w sobie na pewno, że raz widziane, nigdy już zapomniane być nie mogą, wżerają się w całą istotę człowieka, na zawsze.

Z tych gór, okutych w srebrne pancerze, tu i owdzie pęknięte, przebite, pocięte—jakgdyby z pod lśniącej bieli wyskakiwały rany i szramy z krwi czarnej; z tych czarnych skał, piętrzących się pionem, z których szczytów w białych kłębach wali się w przepaść śnieg z hukiem gromu; z tych przestworzy nieprzejrzanym białym lądów, lśniącym płaszczem spływających ku czarnej toni i tu w odbiciu przedzierzgających się w jakieś marzenia srebrne, w białe migocące baśnie; z tej ciżby kry oślepiająco białej na tle czarnych jak sadze wód; z tych samotnych zamków i świątyń lodowych, co w zacisznych zatokach stanęły, odpoczywając, jakby na kottwicy; z całego tego zamętu białych blasków i czarnych kontrastów wyłania się jedno zasadnicze wrażenie: wrażenie niesłychanego majestatu, spowitego w jakąś grozę milczenia. I niemasz w tym majestacie nic ludzkiego, nic bliskiego nam, krewnego: żywiły i tylko żywiły, świat ogromnie nam obcy, nie nasz i nie dla nas... I nigdzie człowiek nie umie tak się skupić, tak milczeć, bo nigdzie chyba nie staje tak głęboko, tak naprawdę sam na sam z sobą i wszechświatem... A w tych chwilach skupienia czuje dziwny dreszcz: jakgdyby sam w sobie się zgubił; jakgdyby wszystko to, co dotąd o sobie wiedział, co dotąd w sobie czuł, było czemś przypadkowym, jakimś pyłkiem, błakającym się w otchłaniach ogromnej reszty, w nieznanych mu zupełnie jego własnych głębiach, które ten obcy milczący majestat natury nagle, na chwilę, w nim i przed nim rozwarł...

b. Piękno pustyni lodowej.

Piękna jest puszczazamarzłych fal w dzień, cichy, jasny, mroźny! Niebo, niby dzwon z kryształowego błękitu, mieniać

się fioletem, zdobny w śnieżne lśniące paprocie subtelnych chmur lodowych, co z dwóch przeciwnych krańców widnokręgu zdają się wyrastać, niby bukiety olbrzymiego szronu. Powietrze w nieustannych błyskach: mży w niem pył lodowy, niesłychanie drobny, zdradzający swe istnienie ciąglem migotaniem, skrami diamentu. Ta mgła kryształów czasami załamuje w sobie promienie tak, iż maluje naokół słońca kręgi świetlane, a w nich — węzły barwne, gdyby słońca z tęczy, lub też odbija światło w ten sposób, że kreśli poprzez słońce majestatyczny krzyż białego ognia; łuki, plamy i rogi świetlane rysują się na niebie; czasami zdaje się, jakoby z wierzchołka masztu tryskały fontanny światła i barwy.

Nad linią widnokręgu wśród pasm i pręg obłocznych unoszą się fata morgana, senne widziadła odległych pól i gór lodowych, niby dawne, dawne wspomnienia, dwojące się, to znowu wywrócone... A biała pustynia bezbrzeżna drga cała we wszystkich punktach, drga blaskami rozrzązonego srebra, tryskającego z pod pocałunków słońca! Od blasków tych oczy, nieosłonięte ciemnem szkłem, krwią napływają i puchną. Wtedy to widać we wszystkich szczegółach całą twarz puszczy lodowej, każdą rzeźbę wichrów, każdy ślad bitwy lodów: i te doły, jamy, parowy, pazurem orkanów wydrapane; i te zasy potężne, odwilżą i gołoledzią w łańcuchy skał stężale; i te białe kurhany tam, gdzie kry z krami walczą, boki sobie łamią, odłamy lodu na metr do góry ciskają, tworząc nasypy białych gruzów, które deszcz śnieżny i zamieć otula i spaja. A w ciche noce księżycowe przestworza lodu przedzierzgają się w jakiś zaczarowany cmentarz. Błada srebrzysta dal i mogił białych łańcuchy, rzucających długie, kręte cienie na ich szczytach księżyc żywe blaski nieci; wśród nich — okręt w całunie szronów, gdyby srebrny upiór.

A gdy nadleci orkan, gdy pazurami swemi zagarnie syrką pokrywę pustyni i ciskać ją pocznie nad maszty, wtedy nic nie widać, nic — nawet własnego ciała; rozpylony wzajemnem tarcie kurz wciska się w oczy, przenika przez najszczelniejszą tkaninę; czuje się tylko wilgotny piach pod koszulą, a w oczach — białość niezmierną, wirującą, rozjuszoną... Gdy burza ustaje, gdy orkan opada zmęczony, biała pustynia faluje: po jej powierzchni szczerbatej, od widnokręgu, gnana zwiótczałym wichrem sunie miljonowa armja żywych węży ze śniegu.

c. Rzeki Islandji.

Ciągły niepokój łożyska stanowi wybitne piętno rzek Islandji, jakgdyby rzeki te niedawno się narodziły, jakgdyby lód dopiero co się cofnął. Dlaczego wody islandzkie dotąd jeszcze nie zdołały ustalić swych koryt? Odpowiedź jest łatwa: wszystkie te wody, zarówno jak lód, którym się karmią, nie na martwej opoce gospodarują, lecz na żywym ciele wulkanów, którego straszne odruchy w jednej chwili niweczą całą mozolną pracę natury, wszystkie normy, w jakie ułożyć się pragnie życie powierzchni wyspy.

Ogień i lód — dwie najsprzeczniesze potęgi globu — wypowiedziały tu sobie odwieczny bój, i w tych straszliwych zapasach ześrodkowuje się całe życie natury islandzkiej — swoiste, jedyne na globie. Pod tarczą lodów drzemia niewidzialne siły, tylko nieznaczne wpadliny zdradzają groźne czeluście kraterów. Lecz oto drgnęły trzewia ziemi: rzeka z pod tarczy wulkanu płynąca, nagle wysycha; czasami para siarkowa jest katastrofy gońcem. Wtem grzmot wstrząsnął przestrzenią; z lodowca w majestatycznych wytryskach buchnęła woda, z chmurą popiołów, z oślepiającą łuną potoków lawy potwornie sprzężona. Strumienie ognia wciskają się pod brzuch lodowca, liżą go płomiennym językiem; w zięjących ranach kipi lód, tryskając warem w obłoku gorącej mgły. Pryska lodowy grzbiet, podziemną bombą podminowany, strzela naokół na całe mile zamętem świszczących brył lodu. Straszna chwila doszła do szczytu: w wyschłe koryto rzeki wrywa się ryczący potop piany, na całe mile rozpierający się wszecz, skacze w dolinę, ciska w nią gradem olbrzymich pocisków, głazów i brył lodowych, sypie z nich wały milowe, ponad 30 m. wypiętrzone. Wreszcie słabnie paroksyzm wulkanu, napowrót w głąb ziemi się wtula, zasypia na nowo — na czas nieokreślony, aż do fatalnego terminu, którego nauka, niestety, dotąd przewidzieć nie umie.

a. Hymn.

§ 47. Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?

Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie:

! w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie,

Złota też, wiem, nie pragniesz: bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.

Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś pan wszystkiego świata, tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,

Tyś fundament założył nieobeszłej¹⁾ ziemi
I przykryłeś jej nagość ziół rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.

Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi.

Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe ziółta padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;

Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrośliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie!

Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi;
Jedno zawsze niech będziem pod skrzydłami Twemi!

b. Arcy-mistrz.

Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali:

¹⁾ nieobeszły = nie dający się obejść, niezmierny.

A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiele,
Nie pojął jednej myśli twórcy.

Jest mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłumaczył głosem, czynem, cudem.
Dotąd mistrz nazbyt wielkim był dla świata,
Dziś świat nim gardzi, poznawszy w nim brata.

Sztukmistrzu ziemskim czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby, i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli, i mów, i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu.

§ 48. a. *Tetmajer K., Ksiądz Piotr (Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych 39).*

b. *Żeromski St., Siłaczka (Bibl. Un. Lud. 5).*

c. *Górski K., Biblijoman (Bibl. Un. Lud. 88).*

a. Pan Zagłoba w drodze pod Konstantynów.

§ 49. Pan Zagłoba jechał przy Skrzetuskim, ale wiercił się jakoś na kulbace, i widać było, że wobec bliskiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie — rzekł do Skrzetuskiego, szepcząc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— Co waszmość powiesz?

— Czy to husarze pierwsi uderzą?

— Mówiłeś waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz że husarzy konserwuje się do rozstrzygnięcia bitwy, w chwili, gdy nieprzyjaciół najbardziej siły wyteży.

— Wiem ci ja to, wiem, alem się chciał upewnić.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i mówił dalej:

— Czy to Krzywonos z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

— O, do djabła! — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się boję — szeptał dalej Zagłoba — ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, to już nic po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie radzić! Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nic po fortelach! Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tu ja głupi przy panu Podbipecie. Mam na brzuchu te dwieście czerwonych złotych, co mi je książę darował, ale wierzaj mi waszmość, że brzuch wołałbym mieć gdzie indziej. Tfu! tfu! nie lubię ja tych wielkich bitew! Niech je zaraza tłucze.

— Nic waści nie będzie, nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się tylko przecie boję, że męstwo roztropność we mnie zwycięży. Nadtom zapalczywy. A miałem zły omem: gdyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto je wie? Może która moja?

— Za dobre uczynki Bóg waszmości nagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi za wcześniej nagrody nie obmyślił!

— Czemużeś nie został przy taborach?

— Myślałem, że przy wojsku bezpieczniej.

— Bo i tak jest. Obaczysz waćpan, że to nic wielkiego. My już zwyczajni, a consuetudo altera natura. Ot, już Słucz i Wiszowaty Staw.

Istotnie wody Wiszowatego Stawu, oddzielone od Słuczy długą groblą, zabłyśły w oddaleniu. Wojska zatrzymały się naraz na całej linii.

— Czy to już? — spytał pan Zagłoba.

— Książę szyk będzie sprawiał — odparł pan Skrzetuski.

— Nie lubię tłoku! powtarzam waści, nie lubię tłoku!

— Husarja na prawe skrzydło! — rozległ się głos służbowego, który od księcia przypadł do pana Jana.

Rozwidniło się zupełnie. Łuna zbladła w blaskach wschodzącego słońca, złociste promienie odbiły się w ostrzach husarskich kopij, i zdało się, że nad rycerzami płoną tysiące świec. Po sprawieniu szyków, wojsko, nie ukrywając się już dłużej, zaśpiewało w jeden głos: „Witajcie, podwoje zba-

wienia!” Potężna pieśń rozbiegła się po rosach, uderzyła o bór sosnowy i, odbita echem, wzleciała ku niebu.

Nareszcie brzeg po drugiej stronie grobli zaczernił się, jak okiem sięgnąć, chmurami kozactwa; pułki płynęły za pułkami, konni zaporożcy, zbrojni w długie spisy, pieszy lud z samopałami i fale chłopstwa, zbrojnego w kosy, cepy i widły. Za nimi widać było jak we mgle olbrzymi tabor, niby miasto ruchome. Skrzypienie tysięcy wozów i rzenie koni dochodziło aż do uszu księżących żołnierzy. Kozactwo jednak szło bez zwykłych wrzasków, bez wycia i zatrzymało się po drugiej stronie grobli. Dwie przeciwne potęgi patrzyły czas jakiś na się w milczeniu.

Pan Zagłoba, trzymając się ciągle przy Skrzetuskim, spoglądał na owo morze ludzkie i mruczał:

— Jezu Chryste, pocóżeś stworzył tyle tego tałałajstwa! To chyba sam Chmielnicki z czernią i wszystkimi wszami. Nie rozpusta że to, powiedz mi waszmość? Czapkami nas pokryją. A tak dobrze przedtem bywało na Ukrainie! Wałą się i wałą! bogdaj was djabli w piekle walili! I wszystko to na naszą skórę. Bogdaj ich nosacizna zżarła!...

— Nie kluj waść! Dziś niedziela.

— A prawda, dziś niedziela, lepiejby o Bogu pomyśleć. Pater noster, qui es in coelis... żadnego respektu od tych łajdaków spodziewać się nie można. Sanctificetur nomen Tuum... Co to się będzie działo na tej grobli!... Adveniat regnum Tuum... Już we mnie dech zaparło. Fiat voluntas Tua... Bodażeście wyzdychali, hamany, mężobójce!... Patrz-no waść! Co to?

Oddział, złożony z kilkuset ludzi, oderwał się od czarnej masy i sunął bezładnie ku grobli.

— To harcownik—rzecze pan Skrzetuski.—Zaraz nasi ku nim wyjadą.

— Czy to już koniecznie bitwa się zacznie?

— Jak Bóg na niebie!

— Niech to djabli porwą!—(Tu zły humor pana Zagłoby nie miał już miary). — A waść, to patrzysz jakby na teatrum w mięsopust! — wykrzyknął z niechęcią do Skrzetuskiego — jakby nie o waści skórę chodziło!

— My już zwyczajni, mówiłem.

— I pewnie na harce ruszysz?

— Niebardo to przystoi rycerzom z pod górnych znaków na pojedynek z takim nieprzyjacielem się bić, nie czyni tego,

kto powagę kocha. Ale w tych czasach nikt nie ma względu na godność.

— Idą już i nasi, idą! — wykrzyknął pan Zagłoba, widząc krasną linję dragonów Wołodyjowskiego, posuwających się truchtem ku grobli.

Za nimi ruszyło po kilkanaście ochotnika z pod każdej chorągwi. Poszli między innymi; rudy Wierszuł, Kuszal, Poniatowski, dwóch Karwiczów, a z pod busarskiego znaku pan Longinus Podbiłęta.

Odległość między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać gwałtownie.

— Pięknych rzeczy będziesz waść świadkiem — rzekł Skrzetuski do pana Zagłoby. — Uważaj szczególnie Wołodyjowskiego i Podbiłętę. Wielcy to rycerze. Dojrzysz ich waść?

— Dojrzę!

— To patrz, sam się rozłakomisz!

b. Pan Zagłoba zdobywa sztandar.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić bez narażenia się na stratanie. Leciał tedy, przymknawszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawiczną szybkością myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!” Potem ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech w piersi, — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i coś ujrzał: oto kosa, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do diabła, że leżeli w oczu i że zmuszali go do bitwy. „Chcecie, to macie!” — pomyślał — i począł ciąć ślepo, na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie uczył, że jeszcze żyje, i to dawało mu nadzwyczajnie otuchy. „Bij! zabij!” — ryczał jak bawół. — Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu,

a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają! — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest! Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie?

I skoczył między uciekających, minął wielu i zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przypierali Niżowców do brzegów Słuczy, porośłych dość gęsto drzewami — i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyną się pod nim rozpierać, ale jednocześnie spadło na niego coś ciężkiego i obwiązało mu całą głowę, tak że otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmorzony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących około siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał, i nakoń nastąpiła względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezu Marja! wzięto mnie w niewolę.

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę tak samo, jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chamie — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chamiel! Daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydlę rozkraczyło się tylko szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nieszczęśliwego

jeźdźca i, dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie wtył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zasłonę, obwijając mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących kraśnych dragonów Wołodyjowskiego, o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając ich z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachta nakryła mu głowę.

Ujrawszy to wszystko i zrozumiałwszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha! — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jakto? mozem jej nie zdobyć? Jeśli justycja nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O chamy! szczęście wasze, iż koń mi się rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom mogę ufać bardziej, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. O dla Boga! znowu tu jakaś wataha leci. Nie tedy, psubraty, nie tedy! Żeby tego konia wilcy zjedli! Bij! zabij!

§ 50. *B. Prus, „Kamizelka“ (Bibl. Un. Lud. 35).*

ROZDZIAŁ II.

a. W lesie.

§ 51.

Wolno i sennie chodzą
Po jasnem tle błękitu
Złocisto-białe chmurki
Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
Pod słońca blask zukosa
Jaskółka śmigła, czarna,
Sunąca przez niebiosą.

Po łące cichej, jasnej
W srebrne objętej ramy,
Przez opalowy strumień
Złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
Na ciemnej drzew zieleni
Lub przez konary rzuca
Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
Po łąk zielonym łanie
Przejrzyste, zwiewne idzie
Błękitne zadumanie.

b. Niewinność.

Obłoki pachną wiosną,
Wonieje ziemia świętem.
W powietrzu rannie, rośno...
Śpiew w sercu wniebowziętem...

Soczysta, mokra trawa...
Żdźbeł czułe ciała suszy
Wiatr zdrowy jak zabawa...
Śmiech w zachwyconej duszy...

Kochane słońce wkoło
Rozlewa złoto płynne.
Hen w mgle tak modre sioło,
Jak miejsce snów rodzinne.

Skowronek, ranka serce,
W błękitach szczęściem bije.
Kwieciste łąk kobierce
Są boże i niczyje.

Precz z głowy myśli żeną¹⁾.
Jak dziecko gdzieś przed laty,

¹⁾ Gonią, pędzą.

Oczyrna myślę jeno:
...Niebiosą, słońce, kwiaty...

W Szwajcarji II.

§ 52. W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na skraju doliny
Szcypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;
Bo się lękałem, że, jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie;
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stałem przed nią i spuściłem oczy.

a. Nie miejże urazy...

§ 53. Nie miejże urazy do mnie, słonko moje,
Że ja w blaskach twoich zadumana stoję;
Nie miejże urazy, słonko brylantowe,
Że ja mam łzy w oczach i schyloną głowę.

Ty chodzisz po niebie, po błękitnem niebie,
Złote chmurki biją gościniec dla ciebie,
Zorza cię obrzuca różami jasnymi...
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi.

Gdy oczy otworzysz, blaski dnia się złocą:
A ja wstałam czarną, bez rozświtu nocą...
Ty wiesz, że gdzie pójdziesz, weźmiesz swe promienie;
Ja, choć wołam: „Światła!“, niosę z sobą cienie.

Ty kąpiesz swe czoło w jasnym, cichym zdroju,
A ja myśl swą nurzam w falach niepokoju...
Ja rozświecam ciernie, ty rozświecasz różę;
Ty tylko pogodę, ja widziałam burze.

Droga twoja, słonko, równa jak pierścionek...
Cicho w morzu tonie kończący się dzionek;
Nie znasz łez tęsknoty, nadziei uśmiechu,
Zachodzisz bez żalu, wschodzisz bez pośpiechu.

Ja znam błędne blaski i zaćmienia ducha...
Wiem, że dziś to odłam przeszłości łańcucha;
Wiem, że jutro wstanie z ścisłością straszliwą,
Wczorajszego siewu niosąc krwawe żniwo...

Więc drzę i na zachód oczy zwracam z trwogą
I pytam, gdzie idą, czy cienie przemogą
Gasnące te blaski, czy wskrzeszą o świcie,
I pragnę ust tchnieniem utrzymać ich życie...

Nie bywasz ty, słonko, w ponurej ciemnicy;
Gdzie nędzny skazaniec zamiera z tęsknicy;
Nie bywasz, słoneczko, w poddaszu ubogiem,
Gdzie ściany wilgotne kostnieją za progiem...

Nie widzisz ty nigdy zbrodni, skrytej w cieniu,
Nie wiesz, co bezsenna noc mówi sumieniu,
I ledwo promyczek pierwszych brzasków błądy
Zasłyszysz żądź mętnych płomienne narady.

Nie widzisz ty, słońko, z wysokiego nieba,
Jak się sen sprzedaje za kawałek chleba;
Nie widzisz ty matki schylonego czoła
Nad kolebką dziecka, co próżno jeść woła...

Nie widzisz, jak walczy, upada, zwycięża
Ten młody zapaśnik, co urość chce w męża...
Nie widzisz ty, słońko, jak myśl gorejąca
Wypala się cicho przy blaskach miesiąca...

Nie widzisz, jak we łzach stoi lilja biała...
Nie widzisz, jak gwiazda zabłąkana spada...
Nie słyszysz szelestu drżącego oddechu
I nie znasz pragnienia, ni walki, ni grzechu...

Ty królewskie czoło podnosisz w błękity
Nad świat ten złamany, skłócony, rozbity —
I nie wiesz, ciskając promieni swych słupem,
Że jesteś gromnicą, zatloną nad trupeml...

Więc nie miej urazy do mnie, słońko moje,
Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję;
Nie patrz na mnie z dziwem oczyma złotemi...
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi.

b. A jak poszedł...

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne źródle,
Zaszumiało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę.

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopcy.

Szumiały orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy,
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wraca zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne światła strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa wdali,
Zadzwończył przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liljowe...

b. Pomnik Piotra Wielkiego ¹⁾.

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym ²⁾, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy ³⁾.
Znali się z sobą niedługo, lecz wiele —
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,

¹⁾ Pomnik kolosalny bronzowy na bryle granitu w Petersburgu nad Newą, roboty rzeźbiarza Falconneta. Na nim napis: „Petro Primo Catharina Secunda. (Piotrowi Pierwszemu Katarzyna Druga).

²⁾ Wiersz „Pomnik” jest czwartym z kolei w szeregu, tworzącym „Dziadów część III Ustęp.” W poprzednich poeta mówił o pielgrzymie w Petersburgu (jest nim sam poeta), stąd zaimek „ów”. ³⁾ Aleksander Siergiejewicz Puszkina (1799—1837), najslawniejszy poeta rosyjski. Młodziwiecz poznał się z nim i wszedł w bliższe stosunki w Moskwie 1826 r.

Choć je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem;

„Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Dru ga carowa pamiętnik stawiała.
Już car, odlany w kształcie wielkoluda,
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu niedosyć przestronno;
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada nawznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany.
Car knutowładny w todze Rzymianina —
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i wgórę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem naprzód rozślawił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli.
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu:
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło, —
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniosł, jakgdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: „Cesarz, ojciec nasz, powraca!“
Cesarz chciał zwolna jechać między łokiem,
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem;
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci.

Lecz zna, że wiezie najmiłszego z gości,
Że wiezie ojca miljonom dzieci.
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyść blisko, ojca widzieć mogą.
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą.
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Widać, że leciał, ratując po drodze;
Odrazu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniosł w górę kopyta —
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy, ścięta mrozem, nad przepaścią zwiśnie...
Lecz, skoro słońce swobody zabłyśnie,
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?

§ 54. *E. Orzeszkowa, Ogniwa (Bibl. Uniw. Lud 10)*

a. Pożar stepu.

§ 55. Wnet na trzech punktach stał iskry ciska ¹⁾)...
Iskry, w garść suchej trawy ujęte,
Podmuchał wiatru silnie rozdęte,
Trzy wśród przestrzeni tworzą ogniska,
Co tak pełzają promieniami mdłemi,
Jakby trzy gwiazdy leżały na ziemi.
Ogień się rzuca na zeschłe zioła,
Wiatr go rozdyma, miota, roztrąca...
I już się palą trzy wielkie koła,
Jakgdyby z niebios spadły trzy słońca.
Z tych kół ognistych przez podmuch świeży
Żar się wylewa w jasnych potokach,
A każdy potok w step czarny bieży
W linjach, zygzakach, węzłach, przeskokach —

¹⁾ Pożar wznieca stary Bij, z którego córką, Dumelą, uciekał mody Kłrgiz.

Już wichrem gnane w przestwór daleki
Z trzaskiem i z sykiem płyną trzy rzeki,
Płyną... wzbierają falą płomieni;
Niebo się krwawą łuną czewieni. —
„Lubyl... patrz!... jak się niebo oświeca...
Czy księżyc wschodzi?...“ — „O, blask księżycy,
Droga Demelo, nie takiej mocy...
To pewnie błyszczący zorza północy“.
Ogień z wściekłością, ciągle rosnącą,
Coraz się szerszem korytem leje. —
Bucha... iskrami sypie... szaleje...
I już trzy rzeki z boków się łączą,
I straszny pożar w lewo i w prawo
Płomienną, długą, toczy się lawą. —
Zbudzony światłem, z pobliskich krzaków,
By dzień powitać, leci rój ptaków...
Leci... na skrzydłach waży się — śpiewa...
I milknie — w paszczy otchłani wrzącej...
Paszcza wciąż zieleje — a krzaki, drzewa,
Gdy je obejmie oddech palący,
Stawają w ogniu, i jak gwiazdami
Chwilę złotem trzęsą liśćmi...
Przeszło... i drzewa w popiół się sypią...
A jako fale wzburzone kipią.
Tak hucząc, leci powódź płomieni,
Niebo się coraz krwawiej czerwieni.

b. Szkoda!

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni.
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą.

Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać,
Szkoda piosnek, których niema
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia,
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

c. Iskrę słońca masz...

...Iskrę słońca masz w sobie,
Nie zdmuchnioną i w grobie:
Czemu ziębniesz wśród cienia?
Czemu błąkasz się w nocy?
Roztlij ją jak pochodnię
Na twe drogi przewodnie!
Rozdmuchaj do płomienia,
Do jasnego ogniska!
Niech cię grzeje, niech błyska
Żarem czucia i mocy.

Rozpal ją purpurową
Do pożaru ogromu,
Choćby ci dach nad głową
Spłonąć miał twego domu...
I w tej potężnej łunie,
W gromie twej siły, w prawdy twej piorunie
Stań okowidnie światu,
Ty — sprawca majestatu
Własnej twej klęski...
Ty — duch zwycięski!

Dom odbudują inni, gdy przejdą godziny
Czasów na niebie,
Z tej samej gliny,
Która, o jasny duchu, osypie się z ciebie.

d. Rozmowa z piramidami.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi ¹⁾,
Aby miecz położyć nagi,
Naszą zemstę w tym bułacie ²⁾
Pogrześć i nabalsamować
I na późne czasy schować?

— Wejdz z tym mieczem w nasze bramy,
Mamy takie trumny, mamy!

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki ³⁾,
Aby nasze męczenniki
W balsamowej złożyć szacie,
Tak, by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?

— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy!

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice ⁴⁾,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?

— Wejdz tu, pochyl blade -lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie
Wnieść, położyć, uśpić cały,
I przechować—na dzień chwały?

— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy.

¹⁾ grobowce w kształcie trumny. ²⁾ stali, doskonale wypolerowanej, szerokiej szabli (tur. puład=stal). ³⁾ grobowce. ⁴⁾ naczyń, w których poganie, jak błędnie mniemano, przechowywali łzy, wylane na pogrzebie.

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha,
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny,
My umarłych tylko znamy,
A dla ducha trumny nie mamy!

a. Jak sen.

§ 56.

Woda tak cicha,
Jak sen...
Wiatr lekuchno wzdycha —
Jak sen...
Łódka tak ucieka —
Jak sen...
Myśl taka daleka —
Jak sen...

b. Księga ubogich XXXI

Pożółkły znużone pola,
Niebiosy coraz to bledsze,
Żądnymi pierściami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

Rozglądam się naokoło —
Niebujnie tu, niebogato,
A przecież mi nie żal dzisiaj,
Że się prześniło lato.

W tej pustce, w wyczerpaniu,
Które mi w oczach rośnie,
To samo odczuwam życie,
Jak w pełnej, kwitnącej wiośnie.

Przystaję na długiej miedzy,
Ku rzyskom nakłaniany lica,
Z powiedlonych kępek ta sama
Wyziera mi tajemnica.

Mgły jakieś nieuchwytnie
Las osnuwają bury,
Nieśmiało migając w słońcu
Śniegiem pokryte góry.

Uroczą, smętną martwotę,
Zda się, iż śmierć jest gdzieś bliska,
Na pochyłościach wierchu
Jesienne dymią ogniska.

Nieletni, wątlą pastuszek
Okiem mnie wita lękliwie —
Jeszcze się bydło pasie
Na tej wychudłej niwie.

Jeszcze jest jakaś czerstwość
Na niwie tej wypalanej —
Z wrzaskiem niesamowitym
Wkrąg się zwołują wrony.

Gdzieś lecą, gdzieś giną wdali,
Wzięty ze sobą zmorę —
Garść pełną zoranej gleby
Do chciwej ręki biorę.

Upajam się jej zapachem,
I dzisiaj tak samo on świeży —
O rodzicielko żywota,
O święta, płodna Macierzy!

O skarbie ty mój najdroższy,
Rozstać się z tobą nie mogę —
Zielone jeszcze sitowie
Z uśmiechem zaszło mi drogę.

Na gruzem zasłanej miedzy
Jałowiec krzewi się młody,
Dziś barwy mu odmieniły
Fioletowe jagody.

Skąpo się fala toczy
Potokiem, co wysechł w lecie,

Z pomiędzy chwastów nad brzegiem,
Samotne żółcieje kwiecie.

Ostatnie to już — zapewne.
O innych nie usłyszycie,
Lecz ja w tej pustce dzisiejszej
To samo odczuwam życie.

W tem wyczerpaniu, co dzisiaj
Świat tak cudownie mroczy,
Ta sama wszak tajemnica
Dziwem otwiera mi oczy.

Powiedły, przymarły pola,
Niebios a coraz to bledsze,
Żądnymi pierściami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

§ 57. *Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Ks. I, II, III; X, XI, XII.*

Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Rozdział I, II, III t. I i XXIX, XXX i epilog t. II.

a. Rozum i wiara.

§ 58. Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem:
Pan je wzniosł w niebo jako tęczę koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
I gdy mój naród złęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Paniel mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnio błyszcze na niebios błękanie,
Paniel jam blaskiem nie moim zaświecił,
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!

Przejrzałem niskie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:

Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze.
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak konchy ślimacze,
Chcieliście mali obejrzeć krąg świata.

„Konieczność, rzekli, wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu“.
A drudzy rzekli: „Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu“.

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzkil tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga;
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga:
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i wgórę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień Wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca;
Ach! ty bez Wiary byłbyś niewidomy.

b. *Bolesław Prus, Sen. (Arcydziela pisarzy polskich i obcych 38. Brody).*

Burza.

§ 59. Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z triumfem zawył; a na mokre góry,
Wznosząc się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz, szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

a. *Iljada. Pieśń XVIII, w. 35—127,*

(Achilles opłakuje śmierć przyjaciela Patrokla).

§ 60. Stęknął przerażająco: usłyszy go matka ¹⁾ czcigodna,
W morza głębinie siedząca przyswoim ojcu sędziwym.
Płakać poczyną na głos: przybiegają przelektle boginki:
Wszystkie a wszystkie Nerejdy, żyjące w toniach podwodnych.
Więc przylatuje Świetliczka, Kwiaciarka, Krążniczka i Złudka;
Więc Jaskiniarka przybiega i fał czarnooka Królewna;
Więc i Wyspiarka, Brzegówka hałaśna, Laszanka nadrzeczna:

¹⁾ Achilles był synem Peleusza, króla Ftyi, krainy tesalskiej,
i Tedyty, jednej z Nereid, nimf morskich, córek Nereusa.

Raźna Nurzanka, Miodniczka, Witówka, najszybsza ze wszystkich,
Doto i Proto, Iskierka, Trzęslica i hojna Rybaczka: [kich,
Więc i Kryniczka, i Splotka cudowna, i Swarka zawzięta,
Więc Kolebatka, Panopa, Tryskawka i dwie Falobujki:
Odbijająca i podbijająca, i Szumka, i Błyszczka;
Więc Galatea, królowna przepiękna, Zbieraczka i Siewka;
Ciszka i Rozgonicielka, Gładyszka, Piaskówka i Zwijka;
Z niemi też inne Nerejdy, żyjące w toniach podwodnych.
Srebrna się grota całutka wypełnia, i bije się każda
Dłońmi po piersiach, a żale Tedyta zawodzi przed niemi:

„Och, posłuchajcie, Nerejdy, o siostry moje kochane:
Wszystkie! poznajcie to dziś, jaka żalność w duszy mi ciąży.
Biadaż mi, biada nieszczęsnej, o biada złej rodzicielce,
Mnie, com syna powiła dzielnego, nieskażonego.
Wzrósł jak drzewo wysoki, najtęższy ze wszech bohaterów.
Gdym go wyhodowała, jak bujną w ogrodzie latorośl,
Do Iljonu wysłałam na szybkożeglownym okręcie
Z Trojańczykami wojować i już go teraz nie ujrzę
U Peleusza w domostwie zpowrotem w progach ojczystych;
Ależ dopóki mi żyw i na światło patrzy słoneczne,
Krzywdy ponosi, a ja, choćbym chciała, nie mogę dopomóc.
Pójdę, obaczę swojego synalka: niechże się dowiem,
Skąd go bieda dosięgła, pomimo że walki zaniechał“.

Tak powiedziawszy, wychodzi z pieczary; z nią i boginki
Poszły, łzy wylewając, a fale się morskie przed niemi
Rozstępowały; a skoro do twardoskibiastej Troady
Doszły, tam pokolei wychodzą na brzeg, gdzie leżały
Mirmidończyków okręty dokoła okrętu Achilla.
Tam do stękającego przybliży się matka czcigodna
Łzami zalana; i dłońmi synalka za głowę ujawszy,
Z utyskiwaniem ozwała się wraz z polotnemi słowami:

„Dziecko, czego ty płaczesz, skąd ci w duszy tęsknota,
Powiedz, w sercu się nie taj; wszystko ci przecie Kronida
Spełnił, czego żądałeś, podnosząc ręce do nieba.
Otoć Achejczycy, do ruf okrętowych przyparci,
Kłęski podnoszą i twojej pomocy błagają, Achilu“.

Na to, ciężko westchnąwszy, odezwał się żwawy Achilles:
„Prawda, o matko, zadość mi uczynił Zeus Olimpijszy;
Co jednakowoż mi z tego, gdy druh mój legł ukochany,
Boski Patroklos, którego nad wszech towarzyszków ceniłem,

Tak jak głowę mą własną; on legł, a zabiwszy go, Hektor Porwał zbroję ogromną, prześliczną, zbroję na podziw, Którą Peleusz od bogów otrzymał sam w podarunku W dniu, gdy ciebie skłonili podzielać łożę z człowiekiem. Był ci razem z nimfami pozostać wiekuistemi W morzu topielach; Peleusz niech pojałby żonę śmiertelną. Tak zaś nieukocona żałoba i ciebie dosięgnie Ciężka po synu poległym, bo już go teraz nie ujrzysz W progach ojczystych zpowrotem, gdyż w duszy zgoła nie pragnie ani z ludźmi obcować, jeśli w pierwszym spotkaniu [gnie Ze mną Hektor bohater nie legnie przebity orężem I swą głowę nie spłaci za zgon i obdarcie Patrokła“.

Na to, łzy wylewając, odrzekła Tedyta bogini: „Synu, tak zapowiadasz? Niedługo żywota twojego: Wszak twa śmierć naznaczona odrazu po śmierci Hektora“.

Do niej, gniewem pałając, odezwał się znowu Achilles: „Niechbym zmarł choćby wnet, gdy Patrokła, współtowarzysze drogiego, ocalić nie mogłem. Legł on opodal [sza Ziemi ojczystej, a mnie tam nie było, by zgubę oddać. Tak więc ani nie wrócę do ojców krainy kochanej, Ani Patrokła nie wyratowałem, ni swych towarzyszków Innych, których tak wielu uległo Hektorowi potędze; Lecz, jak głaz nieprzydatny na polu, gnuśniej w okrętach, Chociażem taki jak nikt z Achejczyków spizopancernych W bitwie okrutnej, bo w radzie to lepsi się znajdują ode mnie. Niechże kłótnia i bogom i ludziom na zawsze obrzydnie, Tudzież gniew, który głupstwo i w sercu mądrego wypłodzi, Który narazie od miodu ciekłego wydaje się słodszy, Potem wzmaga się w piersi człowieka, jako dym nad ogniem— Tak też mnie Agamemnon rozsierdził, wódz bohaterów. [skiem. Ależ się stało, nie może się odstać: mimo zgryzoty Duszę w piersiach gdy zagnęła konieczność, uskromić należy. Pójdę, Hektora zabiję mężnego, zgładziciela Głowy kochanej, a potem poddam się śmierci, gdy tylko Zeus ją wieczny i inni bogowie dokonać zamierzą. Nawet—bo sławny Herakles a nie mógł śmierci się odjąć, On, którego Kronida nad wszystkich w sercu ukochał: Dola okrutna i jego przemogła i Hery zawziętość. Jakoż i ja, jeśli Dola podobna i mnie oczekuje, Padnę zabity, lecz wprzód dobiję się sławy zaszczytnej: Jeszcze niejedna z Trojanek i z Dardanek fałdoopasnych

Będzie przeze mnie obiema rękoma z rumianych policzków
Łzy ocierała gorące, wzdychając i żale zawodząc.
Popamiętają Trojanie, żem długo na bój nie wychodził.
Więc mi walki nie wzbraniaj; choć kochasz, nie możesz mię
[wstrzymać“.

Na to rzecze mu znów srebrnonoga Tedyta bogini:
„Synu, słuszne, co rzekłeś: należy ze zguby okropnej
Wyrwać swych towarzyszy, gdy zewsząd są przyciśnięci;
Ależ twoja przestawna zbroica w ręku u Trojan,
Rozpromieniona, spiżowa, a Hektor, lśniący się hełmem,
Wdział ją sobie na barki i dumny; ale nie sądzę,
Żeby się długo nią pysznił, bo śmierć stanęła już przy nim.
Ty więc bierz się nie wpierw do zapasów Aresa¹⁾ mozolnych,
Aż mnie twe żywe oczy obaczą zpowrotem w okrętach:
Przyjdę bo jutro jak brzask, gdy słońko zaświta na niebie,
Z rąk od samego Hefesta²⁾ przyniosę-ć zbroję przestawną“.

Tak powiedziała i, twarz odwróciwszy od syna mężnego,
Do swych sióstr odezwała się morskich, na brzegu stojących:
„Wróćcie się, siostry, i w łono się morza głębokiego
[pograżcie,

Wszedłszy w domostwo do ojca naszego, morskiego staruszka.
Tam opowiedzcie mu wszystko, a ja stąd pójdę na Olimp:
Rękodzielnika odwiedzę Hefesta; ubłagać go muszę,
Aby mi syna mojego rynsztunkiem pięknym obdarzył“.

Tak powiedziała, a tamte ukryły się w toń pod falami;
Ta zaś pięknowarkocza Tetyda na Olimp wysoki
Poszła, żeby dla syna przestawną zbroję pozyskać.

a. Iljada. Pieśń IX, w. 393—416.

(Achilles odmawia pomocy Grekom).

„Skoro ocali mię bóg, i powrócę w progi ojczyste,
Sam mi wtedy Peleusz sędziwy narai małżonkę.
Albo to brak Achejanek urodnych w Helladzie i Ftyi,
Cór właścicieli bogatych, obronne grody mających?
Z nich zaś, którymbyś sobie podobał, żoną ją nazwę.
Tam z utęsknieniem wyrywa się wciąż moja dusza niezlomna:

¹⁾ syna Zeusa i Hery, boga wojny, rozkoszującego się walką, przelewem krwi. ²⁾ syna Zeusa i Hery, boga rzemiosła kowalskiego i płatnerskiego.

Pojać miłą dobraną niewiastę współtowarzyszkę,
Żyć i w nagromadzone przez ojca opływać dostatki.
Alboż to mogą za życie wystarczyć choćby i wszystkie
Skarby, które, jak mówią, w Ijonie mieściły się ludnym
Niegdyś, czasu pokoju, nim z wojną Danaje nie przyszli;
Choćby wszystkie bogactwa, złożone w kamiennym przybytku
Strzelca, jasnego Apolla, w Pytonie wysokoskalistej?
Można ci wprawdzie zagrabić barany i woły rogate,
Wziąć trójnogi przydatne i konie z grzywami złotemi,
Ależ duszy człowieczej nie możesz ani zagrabić,
Ani uchwycić, jeżeli raz z poza zębów się wymknie.
Wszak srebrnonoga mówiła mi matka, Tetyda czcigodna,
Iż mię Dola podwójna prowadzi do kresu żywota:
Jeśli z wami tu będę dobywał murów trojańskich,
Niemasz mego powrotu, lecz sława zostaje mi wieczna:
Gdy zaś wrócę w domostwo do miłej krainy ojczystej,
Wtedy sława ma szczerbie, lecz wiek mój długo a długo
Potrwa; prędko nie przyjdzie mi wstąpić w śmierci granice...”

b. Thetys i Achilles.

Równy z jutrznią pośpieszną, co na niebie już wschodzi,
Thetys smutna i blada na perłowych konch łodzi
Z głębi morza wypływa. Przed nią fali błękity
Rozsuwają się cicho, i szlak, złotem nabity,
Znaczy drogę, po której perłowa łódź przejdzie.
Każda fala się kłania modrookiej Nerejdzie
I całuje jej stopy, bielsze jeszcze od piany,
Którą lekko okrasia pierwszy promień różany.
Brzmienia słodkie, łagodne, jak amfijońskiej głos liry,
Towarzyszą jej w drodze przez te płynne szafiry,
A na muszli najcichszy syn Eola z uśmiechem
Biały żagiel wydyma swoim wonnym oddechem.
Wkoło rzesza delfinów, ssąc powietrze w swe płuca,
Wodotryski srebrzyste ponad fale wyrzuca.
Złotowłosych cór morza, śpiewnych Nerejd gromada
Igra z falą lub z wdziękiem na delfinów grzbiet wsiada,
Zakwitając różowo w złotym deszczu promieni,
Co ich ciała przejrzyste tchem rozkoszy rumieni.
Towarzyszą Thetydzie oceanu dziewice:
Jedna sterem kieruje, druga trzyma kotwicę:

Owa piersią swą śnieżną w biegu wstrzymać chce fale,
Inna z morza dobywa promieniste korale,
U tej w ustach pobudką śpiewająca brzmi koncha,
A ta znowu schylona dziwny morski kwiat wacha,
Inna drażni delfiny, inna łowi od rana
Siecią rybki skrzydlate... Thetys smutna, stroskana,
Na to wszystko nie zważa; towarzyszek nie pieści,
Pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści,
Myśli tylko o synu, o Achillu, na którym
Przeznaczenie zawisło swym wyrokiem ponurym.
Śpieszy właśnie do niego szafirowych fal drogą,
By los groźny odwrócić macierzyńską przestrogą;
I tak płynie przez błękit zamyślona, milcząca,
A perłowa łódź chyżo ciche fale roztrąca.

Nad wezgłowieм Achilla Thetys siadła strapiona
I objęła pierś jego w swoje śnieżne ramiona.
Z dumą matki, choć razem z myślą dziwnie żałobną,
Postać męża podziwiał, bogom tylko podobną,
I widokiem się poi bohaterskiej postaci,
Której nic nie wyrówna, której nic nie opłaci.
Pocałunkiem to jasne, czyste czoło pokrywa —
Razem dumna i trwożna, zrozpaczona, szczęśliwa.

— „O Achillul — zawołała — nie gardź bogów przestroga!
Jeśli prośby twej matki nic nad tobą nie mogą,
Słuchaj niebios ostrzeżeń i w rodzinne wróć strony,
Gdzie cię czeka twój ojciec, starzec biedny, stęskniony.
Wszakże dosyć masz sławy; ta na wieki ci starczy,
Możesz cicho więc w domu miecz zawiesić na tarczy
I, pod cieniem ojczystej spoczywając oliwy,
Ród Pelidów utrwalić. Maż twój ojciec sędziwy,
Bezpotomnie, samotnie rzucać świat ten na wieki,
Bez pożegnań ze synem, bez najczulszej opieki,
Bez uczczenia popiołów przez rycerskie igrzyska,
Bez dziedzica dla mienia, swojej władzy, nazwiska?
Maż twa matka tak rychło, w samym kwiecie młodości
Widzieć ciebie schodzącym w nieprzebyte ciemności?
I utracić skarb drogi, co zaledwie przez chwilę
W całym blasku widziała, i piękności, i sile?

Ach, ty nie wiesz, jak wielka strasznych męczarni przyczyna
Nieśmiertelnej i wiecznej śmiertelnego mieć syna;
Jak okropnie jest widzieć niezblaganą konieczność
I nie móc jej odwrócić, i tak zostać na wieczność!“

— „Matko!—Achill odrzecz—co nam pomóc jest w stanie
Na zagubę skazanym, naszych losów badanie?
Prędzej, później paść musim w otchłań, dla nas otwartą;
Chwilę mozem odwlekać, lecz czyż odwlec ją warto —
Żeby stracić walk naszych i poświęceń korzyści,
Z drzewa życia spadając, jako suchy proch liści?
Nieśmiertelność bez walki — bogów tylko udziałem!
Oni jedni panują nad istnieniem nietrwałem,
Oni jedni niezmienni, bez boleści i troski,
Rozlewają strumieniem życie jako dar boski.
Nieśmiertelność jest bogom przyrodzoną... My, ludzie,
Ją zdobyć musimy w krwawym znoju i trudzie
Życiem całem, na szalę losów świata rzuconem,
Wytrwałością niezłomną, bohaterstwem i zgonem!
Nam potrzeba bez trwogi wkroczyć w cienie Erebu ¹⁾,
I wyjść stamtąd zwycięzcą — żeby wydrzeć je niebul!
Więc, gdy taka konieczność, bezskuteczny żal — naco?
Naco rady troskliwe, które wartość swą tracą,
Nic odmienić nie mogą? — Tak więc, matko, daremnie
Swoim żalem i smutkiem budzisz gorzką myśl we mnie,
Tę myśl, która mnie także dręczy często boleśnie:
Żem jest tylko śmiertelnym i że umrę przedwcześnie!“

— „Nacóż ginąć przed czasem, — smutno Thetys odpowie—
Gdy ci żywot najdłuższy obiecują bogowie,
Byleś tylko odstąpił, póki jeszcze jest pora,
I nie szukał triumfu w krwawym zgonie Hektora?
Dopóki on nie padnie, jesteś jeszcze bezpieczny!...
Tak brzmi wyrok przeznaczeń niewzruszony a wieczny.
Ale szala ta sama, co zwycięstwo ci skłania,
Razem czas nam odważa wieczystego rozstania.
Więc powstrzymaj, o synu! zapęd miecza zwycięski.
Co ci przyjdzie z Hektora poniżenia i klęski?
Co ci przyjdzie, że, życiem bohaterów rozrzutny,

¹⁾ podziemia, gdzie według Greków męczyły się dusze zmarłych.

Nową pošlesz ofiarę Persefonie ¹⁾ okrutnej?
Że ją wydrzesz rodzinie i rozkoszy, i chwale,
Tyle szczęścia niweczając — gdy sam losów swych szalę
W czarny Hades przeważysz z wieczną matki swej szkodą
I na głowę twą ściągniesz śmierć tak smutną, tak młodą?“

— „Matko moja, Thetydo! — Achill znowu rozpocznie —
Naszym losem i każdym z naszych czynów widocznie
Wyższe prawo rozrządza. Kto ma w sobie swej siły
I wielkości pocucie, kogo mlekiem karmiły
Nieśmiertelnych bóstw piersi—ten się cofnąć z swej drogi,
Choćby zechciał, nie może. Bez litości, bez trwogi
Musi ciągle iść naprzód, niosąc z sobą miecz krwawy;
Jak niewolnik swych czynów, swej wielkości i sławy,
Musi zdeptać, co słabsze, i po ciałach tysiąca
Bohaterów przejść z wzdargą, jak potęga niszcząca,
Z każdą sławą się mierzając, która zazdrość w nim budzi,
I nie znosząc równego wśród półbogów i ludzi —
Póki jeden nie stanie ponad światem wszechwładnie,
Jako pomnik na przyszłość, lub dopóki nie padnie!
Na tem właśnie polega nasza wielkość i chwała,
By dokonać wszystkiego, co nam tylko wskazała
Moc wewnętrzna, nie dbając, co i kiedy nas czeka —
Bez litości nad sercem i nad losem człowieka!
Prąd nas zmusza, silniejszy ponad żale chwilowe,
Pędzić dalej a dalej po zdobycze wciąż nowe.
Przez triumfy i klęski, przez orężne zatargi
Całych plemion, przez stosy ciał poległych, przez skargi
Biednych starców i niewiast, przez ruiny i zgłiszcze —
Tak zdążamy do kresu! Każdy mniema, że zyszcze
Nieśmiertelność dla siebie, i nie troszczy się wiele
O przeznaczeń wyroki i o skryte ich cele.
Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie
Z nas śmiertelnych, zaledwie znać go mogą bogowie“.

¹⁾ małżonce Plutona — Hadesa, królującej w Hadesie, krainie zmarłych.

CZĘŚĆ III.

a. Cisza morska.

§ 61. Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jakgdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróże rozśmiało się grono.

O morzel pośród twoich wesołych żyjętek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnej burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

b. Ajudah.

Lubię spoglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi,
W miljonowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
Jak wojsko wielorybów, zalegając brzegi,
Zdobędą ład w triumfie i, napowrót zbiegi,
Mieczą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogрузić się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki upl tą ozdobę twych skroni.

c. Podczas burzy.

Dołem wichher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po szerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska;
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Achl tak samo na drogach żywota
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżej widać błękit nieba..
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

d. Przypowieść o okrętach.

Płynęły po morzu okręty wielkie wojenne i statek jeden mały rybacki. A był czas burzliwy, jesienny, w tym czasie im okręt większy, tem bezpieczniejszy, a im mniejszy, tem niebezpieczniejszy.

Rzekli więc ludzie z brzegu: „Błogosławieni żeglarze okrętów wielkich! biada żeglarzom w statku rybackim czasu jesiennego!”

Ale nie widzieli ludzie z brzegu, iż na okrętach wielkich popili się majtkowie i zbuntowali się, i potłukli narzędzia, przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli iglicę żeglarską magnesową. A wszakże okręty zdawały się napozór równie potężne, jak pierwej.

Ale statek rybacki, patrząc na niebo i na iglicę, nie błądził i doszedł do brzegu; a chociaż rozbił się przy brzegu, ura-

towali się ludzie i uratowali narzędzia swe i iglicę swą.
A okręt znowu odbudują.

I pokazało się, że wielkość i moc okrętów dobre są, ale bez gwiazdy i kompasu niczem są.

A gwiazdą pielgrzymstwa jest wiara niebieska, a iglicą magnesową jest miłość ojczyzny.

Gwiazda świeci dla wszystkich; a iglica kieruje zawsze na Północ.

A wszakże z tą iglicą można żeglować i na Wschodzie i na Zachodzie, a bez niej i na morzu północnem przyjdzie błąd i rozbicie.

Więc z wiarą i miłością wypłynie statek pielgrzymски polski, a bez wiary i miłości ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się. A kto z nich wyratuje się, nie odbuduje okrętu.

a. Limba.

§ 62.

Wysoko na skały zrębie
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie leżą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu,
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko,
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków, rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparty
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowol
Ona się w chmurach kołysze,
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie:
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na triumf rzeszy poziomej:
Woli samotnie z błękitu
Upaść, strzaskana przez gromy.

b. Obielił nam...

Obielił nam nasze chaty
Nowy dzionek złoty;
Widniej, widniej teraz ludziom,
Co w niej do roboty.

Do roboty — grodzić płoty,
Okopywać rowy,
Strzec na siłę, co nam miłe,
Na ten roczek nowy!

Do roboty — lepić ściany,
Gdzie się która pada,
Boć ta chata stoi lata,
Jeszcze od pradiada!

Do roboty — bić wyloty
Na słoneczną stronę;
Niech uderzy dzionek świeży
W te ściany omszone!

Do roboty — przede wroty
Umieść czysto progi,
Wyrwać chwasty, cień kolczasty,
Co nam rani nogi!

Do roboty — walić w młoty
O kowadło życia...
W huku, w trzasku, w iskier blasku
Krzesać serca bicia!

Do roboty — trząść wymłoty,
Co plewa, co ziarno...
Mieć na chleby z własnej gleby
Mąkę, choćby czarną.

Do roboty — na kłopoty
Mieć pociechę w sobie...
Zdarzy dola, co jej wola:
Ja, com winien, robię!

a. Legenda żeglarska.

§ 63. Był okręt, który zwał się „Purpura“, tak wielki i silny, że się nie bał wichrów ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną pierśią potworne haki, na których rozbijały się inne statki — i płynął wdał z żaglami w słońcu tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

— To pyszny statek! — mówili żeglarze z innych okrętów. — Rzeklibys: lewjatan fale porze!

A czasem pytali załogę „Purpury“:

— Hej, ludziel dokąd jedziecie?

— Dokąd wiatr żenie! — odpowiadali majtkowie.

— Ostrożnie! tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej, jak burza sama:

„Wesoło płynimy, wesoło!“

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na „Purpurze“ każdy robił co chciał.

Życie tam płynęło ustawicznym światem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Niema (mówiono) takich raf, ni takich burz, któreby „Purpurę“ rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze — „Purpura“ popłynie dalej.

I „Purpura“ płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Prze-

chodziły lata całe — a ona nietylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwili w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. — „Purpura“ sama popłynie — mówili. Poco pracować, poco baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? poco żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek jak bóstwo — nieśmiertelny?

„Wesoło płynimy, wesoło!“

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie z upływem czasu załoga zniewiesiała zupełnie, zaniedbała obowiązków, i nikt nie wiedział, że statek począł się psować.

Słona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

— Strzeżcie się! — mówili niektórzy majtkowie.

— Nic to! płyniemy z falą! — odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem pewnego razu wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na „Purpurę“, straszne, spienione, wrzące. Dopadły statku, wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwały znów na dno. Pękły zwątlące wiązania statku, i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie:

— „Purpura“ toniel

I „Purpura“ tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować.

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem, chwyciwszy co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić „Purpurę“.

Wspaniała była walka tej rozpaczki ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą — ale

walczyła jeszcze. Zalani, nawpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale, po krótkim spoczynku, znów zrywali się do walki.

Nakoniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastąpiła chwila głuchej rozpacz. I poglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

— O zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. „Purpura“ jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa drgnęli ci nawpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli prace od spodu.

I pracowali od rana do nocy w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną beczynność i zaślepienie wynagrodzić!

CZĘŚĆ IV.

Śpiewak tęskniący.

§ 64.

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni?!
Wiecznie w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle...
Każdy niemal zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Jak czujące dziś mało:
Indziej było tak żywo,
Tak płomiennie kochało.

Ach przed mokrą powieką
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni... daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę...
Bom pożegnał nie wczora
I nie jutro obaczę!

Fragmenty wiosenne.

• III.

Kto policzy, ile siły
Zużył polny kwiat ten lichy,
By się wydrzeć z swej mogiły,
Aby przebić grób swój cichy
 W zmartwychwstania dzień
I rozplonąć drobną głową
W barwę świtu purpurową
 Ponad noc i cień?

Kto wie, jakich pragnień żary
Przepaliły pień ten stary,
Zanim puścił pędy młode
Na wiosennych tchnień swobodę,
 Na poświsty burz?
Kto policzył tętna bicie
W drobnym krzewie, kiedy skrycie
 Wiąże pęki róż?

Kto zaprzeczyć się odważy,
Że rzucone ziarno marzy
O przyszłości plonu żniwa?
Że się własnym rzutem zrywa
 I podźwiga w kłos?
Kto mi powie, jak łąn długi,
Co tu łask, a co zasługi;
 Ile łąz, a ros?

O zaprawdę! wiosna puka
Do wrót tylko tych cmentarzy.
Gdzie się ciepłych tchnień doszuka,
Gdzie pod ziemią życie gwarzy,
 Gdzie jest puls i ruch...
I tam tylko zmarłe wskrzesza,
Gdzie na ustach się zawiesza
 Niewystygły duch!

O zaprawdę! bez pragnienia
Bytu, bez prac dobrej woli
Nie powróci wiosna tchnienia
Jednej trawce z czarnej roli,
Nie w jej mocy cud!
Ona tylko tam zakwita,
Gdzie od dębu do żdźbła żyta
Czuje żywy trud.

A gdzie zbraknie takiej siły,
Co rozżarza proch mogiły,
Co z iskierki jednej ducha
Płomień wskrzesi i rozdmucha
Na ognisko dusz:
Nie przeleca tam koinety
Na popiołach wić bukiety
Gorejących róż.

Gdzie zabraknie takiej mocy,
Coby słońce wykrzesać
Z czarnych włosów cichej nocy,
Gdy na gwiazdach stoi biała
Wpółśród mlecznych dróg:
Tam nie przyjdzie żadna zorza
Ni z za góry, ni z za morza
Przez srebrzysty próg.

Gdzie zamilkło żywe słowo,
Co służyło jako hasło,
Aby w długą noc zimową
Serce w piersiach nie zagasło,
Nie straciło tchu:
Tam nie przyjdzie żadna wiosna!
Pieśń zwycięska, pieśń radosna
Nie rozbudzi snu!

a. Pieśń o domu.

§ 65. Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem twych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łyzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wpłatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złożył..

b. Orzeszkowa E., Śmierć domu. (Bibl. Uniw. Lud. 136).

a. Daremne żale.

§ 66. Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu;
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,

A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fall
Nic skargi nie pomoga:
Bezsilne gniewy, próżny żal
Świat pójdzie swoją drogą.

b. Orfeusz i bachantki ¹⁾.

Chór bachantek.

Dyjonizos boski, boski
Przyszedł na świat uśmiechnięty,
By przemienić lzy i troski
W młodocianych żądz ponęty;
W złotej czarze
Przyniósł w darze
Upojenia słodki szal
Dla spragnionych dusz i ciał!

Z jego przyjściem prorocत्व ciemnych
Ustała cześć i twoga,
Ustał mściwy rząd Podziemnych,
Słonecznego mając boga,
Ziemia cała
Zapomniała
O żałobie przeszłych dni,
I o szczęściu tylko śni.

¹⁾ Orfeusz, syn trackiego króla, Ojagrosa, i muzy poezji bohaterskiej, Kaliopy, według podania greckiego był największym muzykiem i pieśniarzem świata starożytnego. Poślubił najadę, nimfę źródeł i ruczajów, Eurydykę, i po jej zgonie zstąpił do Hadesu, by uprowadzić stamtąd ukochaną małżonkę. Bogowie podziemni, wzruszeni jego rozpaczą i cudownym śpiewem, pozwolili mu zabrać Eurydykę pod warunkiem jednak, że wolno mu będzie spojrzeć na nią dopiero po wyjściu z podziemia. Stęskniony małżonek nie mógł przemóc siebie, i Eurydyka na zawsze zniknęła mu z oczu. W głębokiej boleści błądził odtąd po świecie samotny Orfeusz, aż pewnego dnia spotkał radosne towarzyszkę boga wina, Dionizosa, bachantki. Gdy nie chciał wziąć udziału w ich weselu i towarzyszyć im pieśnią, szalone w uniesieniu gniewu zabiły pieśniarza. Rzeka poniosła głowę i luźnię wieszczą do morza, którego fale wyrzuciły je na brzegi wyspy Lesbos, słynnej ojczyzny poetów i poetek greckich.

Orfeuszul lirę swoją
Do słodkiego nastrój brzmienia,
Niech jej dźwięki rozkosz zdwoją,

Co nam piersi rozplomienia,
Niech się w serca nasze leje,
Niech zapala ogniem krew,
Niechaj z nami wraz szaleje
Słodki śpiew!

Świeżej wiosny śpiewaj wdzięki,
Niezmąconą życia radość,
I ciał naszych powab miękki,
I namiętnych pragnień bladość.
Nowych światów pieśń weselną,
Pieśń zmysłowych ponęt stwórz,
Daj ją nagą i bezczelną
W wieńcu róż!

Orfeusz.

Powróciłem z podziemnej otchłani,
Z posępnego umarłych królestwa,
I wciąż widzę, jak cierpią skazani,
Widzę wieczność męki i nicestwa...
I straciłem u piekielnych progów
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.

Zostawiłem za straszliwą bramą
Mej miłości i walk moich ślady,
A wyniosłem ból i rozpacz samą,
Gdy w objęciach cień jej zniknął blady,
A jam nie mógł powrócić przebojem
Po jej życie, które było mojem.

Wtedy pękły struny w mojej lirze,
Struny serca, co tak dźwięczne były,
I w piekielnym utonęła wirze
Przeszłość, pełna słodyczy i siły,
A jam odszedł, okryty żałobą,
Zostawiając wszystko poza sobą.

Nie żądajcie więc pieśni ode mnie,
Bo ja z wami w szeregu nie stanę,
By na gruzach przeszłości nikczemnie
Wielbić świata jaskrawą przemianę,
I przed waszym schylając się bogiem,
Wydrzeć z serca, co było mi drogiem.

Wszystkie wasze pragnienia i cele,
Wszystko, co was upaja i pieści,
I serc waszych bezwstydne wesele,
Wszystko mojej urąga boleści,
I pogardzam kłamliwą rozkoszą
I bóstwami, co ją wam przynoszą.

Chór bachantek.

Czy słyszycie? czy słyszycie?
Naszych bogów wciąż pomiała,
I znieważa nasze życie,
Odrodzeniem gardząc świata;
A więc pocóż z myślą chorą
Wśród kwiecistych życia łąk
W drodze stawać ma zaporą?
Niechaj ginie z naszych rąk!

Dionizos.

Coście zrobili!... Potrzaskana lira
I śpiewak martwy u stóp waszych leży,
W ręku bachantek, pod ciosem satyra
Uciął na zawsze zdrój melodji świeży.

I krwawym laurem uwieńczono skronie
Tego, co wyraz ludzkiej dał rozpaczy,
Wyraz tak śpiewny, że długo po zgonie
Przemawiać będzie do smutnych słuchaczy.

Taką jest zwykle sprawiedliwość świata,
Która dawniejsze bożyszczą obala,
Taką dla natchnień minionych zapłata,
Kiedy kierunek zmieni rwąca fala.

Trudno! nie można powstrzymać strumienia
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć,
Kroczące naprzód nowe pokolenia
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć.

Świat żywych musi niewdzięcznym pozostać
Dla tych, co sercem z przeszłością związani,
Zniknioną wiecznie oplakując postać,
Myślą do ciemnej wracają otchłani.

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,
Aby na nowo stanęła w rozkwicie...
W namiętym szale i weselnym szatach
Musi biec dalej odmłodzone życie...

Pobojowiska, gruzy i cmentarze
Muszą się pokryć kwiecistą zasłoną,
I słodki napój musi szumieć w czarze,
I poić nowych biesiadników grono.

I słusznie rzesza żywych się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła,
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

§ 67. a. *A. Mickiewicz, Pan Tadeusz.*

b. *Al. Fredro, Zemsta za mur graniczny.*

CZĘŚĆ V.

§ 68. *a. Jan Matejko, Bitwa pod Grunwaldem.*

b. Grunwald.

(Przed obrazem Matejki.)

Z drogi, z drogi tej przeszłości,
Co z zamierzchu i z nicości
Cała krwawa
Zmartwychwstawa,
Jak zwycięstwa duch!
Oto grzmiąc jak orkan, leci
Zawierucha tych stuleci,
Co pod zbroją
Wrzące stoją,
Śledząc mieczów ruch...
Uskrzydłona i pancerna ¹⁾,
Hasłom bratnim jak śmierć wierna
W pole klęski
Zastęp męski
Z różnych wiedzie dróg...
I nie zgadnie wróg krzyżacki,
Czy go miecz dosięże lacki,
Czy go ramię
Czecha złamie ²⁾
U Litwina nóg.
Stał goreje, oszczep chrzęści,
Topór warczy w chrobrej pięści...

¹⁾ Jazda polska miała z tyłu na barkach do zbroi (pancerza) przymocowane szyny żelazne, pokryte piórami, t. zw. skrzydła dla osłony od ciosów. ²⁾ pod Grunwaldem (15 lipca 1410 r.) walczył także oddział czeski.

Tam pierś naga
Tchnieniem smaga,
Nim dłoń zmierzy cios...
Okrzyk walki w przestrzeń bucha;
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,
Rozmach ręki,
Zgrzyty, jęki,
W jeden zlewa głos.
Hej!... zapłata to odmienna,
Niż Dobrzyńska ziemia ¹⁾ pszeniał
Krzywdy stare
Poza miarę
Wykipiały krwią..
Precz z drużyną stąd służalczą!
Nieśmiertelni tutaj walczą;
W szczęku, w pyle
Na tę chwilę
Kładą pieczęć lwia!
Któż prawnucze serce zmierzy
Z wielką piersią tych rycerzy,
Grzmiących w blasku,
W zgiełku, w trasku,
Jako orłów ród?...
Kto dziś zdzierży takie boje,
Taką sławę, takie zbroje?
Drzewce stare,
Żywą wiarę?...
Kto dziś stworzy cud?...
Las zielony patrzy zdala,
Jak ta burza się przewala;
W krwi i w dymie
Wielkie imię
Dzień ten daje mu...
Pył, co leci w błękit żywy,
Szum sztandarów, świst cięciwy
W dziejach karty
Niezatarty
Pomnik wpiszą chrztu.

¹⁾ w 1409 r. wszczęli Krzyżacy spór o ziemię Dobrzyńską.

Z drogil z drogil... Któż dotrzyma
Rozpędowi sił olbrzyma,
Co w dniu chwały
Zbrojny cały
Pogromem się zwał?
Walczy—miecz się zrasta z dłonią...
Pędzi—żywą jest „pogonią“... ¹⁾
On przez wieki
W świat daleki
Sławę niesie wczwał

§ 69. a. *Artur Grottger, Lithuania.*

b. Z teki Grottgera.

Nigdy ja tego nie wypowiem słowy,
Co mi sądzono zaznać za żywota.
Ani miesiączek ten, co wschodzi nowy,
Jak wyostrzony sierp, ni gwiazda złota,
Ni ta zoreńka, co na niebie pała,
Nie ujrzą tego nigdy, com zaznała.
W uwiędłej głowie kądziel jakaś krwawa
Snuje a snuje swoją nić czerwoną...
Siadę, taj rosą taję, jak ta trawa,
Co ją minęły kosy niekoszoną...
Noc ze mną gada i wiatr ze mną wzdycha,
A serce we mnie, jak cierń, co usycha.

— — — — —

Chatę my w lesie mieli. Była cała
Od sosen ciemna, od brzóz białych biała
I drobnem liściem na wiosnę szumiąca,
I od poświstów ptaszych cała brzmiąca.
W las ja chodziła po drwa; skarpy ²⁾ smolne

¹⁾ Aluzja do herbu Litwy „Pogoń“ (rycerz z wyciągniętym mieczem, pędzący na koniu). ²⁾ pleńki drzewa, karcze.

Paweł od rana, bywało, mi ciesze...
A w chacie było dzieciątko swawolne,
Już gruchające, jak gołąb na strzesze,
Już różanemi uśmiechy różane
I jak jagoda od słońca podane...
Paweł leśniczył w borach. Przez dzień cały
Z kniei, od granic na czuj duch ¹⁾ szły strzały,
A nocą, ledwie przyśnie, jużci rwie się
I chrusty pali, i huka po lesie.
A jak zazula ²⁾ hukał... a całował!...
Jezu ty Chryste, jak on mnie miłował!...

Aż raz w południe pod Zielone Świąta
Cichość się wielka po boru obwiodła.
Wyrzę ja z progu, ażci owinięta
W lekuchne chusty, wysoka jak jodła
Osoba z wiatrem płynie, z jasną kosą,
Spartą o ramię, jako chłopci niosą
Na kosowicę ³⁾...

A bór w onej dobie
Czarny był jeszcze na późne podwiośnie.
A taka widność była w tej osobie,
Że wskroś niej mogłeś liczyć wszystko sośnie ⁴⁾...
I tylko rąbek powlekał się długi
Po pniach, jak opar, co idzie ze strugi...
Strach mną zatrząsł zimny. Sięgnę czoła,
Niby się żegnać, niby do pacierza,
A tu mnie w tył coś ciągnie, coś mnie woła,
Aż się dzieciątka płacz rzucił z alkierza...
Więc biegłam tulić piersią ów płacz wielki,
Lecz w piersi mleka nie było kropelki.

Wieczorem wrócił Paweł. Padł na ławę,
Jakby mu nogi odjęło. Ni słowa
Do mnie, do dziecka, nie spojrzał na strawę
I tyko wzdychał... aż zwiła mu głowa
I zasnął. Myśle: „Ot tobie, nieboże.
Ni jednej nocki nie zażyć po woli“...

¹⁾ bacznosc. ²⁾ kukułka. ³⁾ kośbę. ⁴⁾ liczba poj. strp. sośnia.

A tak się smucę czegoś, tak się trwożę,
Tak mi na sercu coś cięży, coś boli,
Że czego dotknę, to z ręki mi leci...
Aż północ przysła, i kur zapiał trzeci.
Więc jęłam zwłóczyć ze siebie już szmaty,
Szepcząc pacierze przed świętą Panienką...
Kiedy wtem piasek zaskrzypiał u chaty,
A ręka jakaś stuknęła w okienko...
O moi ludzied! różne ja widziała
Ręce na świecie, od kiedym jest żywa,
A żadna przecie nie była taka biała
I taka jasna, taka wyraźliwa,
Jak ta, co przysła nocą budzić śpiące,
A miała palce jakby wołające
Na wielki Boży sąd..
 Krzyknęłam z trwogi,
A Paweł ocknął i skoczył na nogi.

Lasy — wy, zielone — wy, zielone bory!
Oj, biły po was wichry onej wiosny..¹⁾
Chodziły po was tęczę i kolory,
I w wielkich ogniach stały wasze sosny...
I wielkie szumy po was się nosiły,
I wasze gąszcze zrobiły się jasne,
I dziwne się w was jagody zrodziły,
I były od nich mchy i trawy krasne...
Oj, kukały wam kukułki żałosne,
Oj, ciągły do was żórawie na wczasy...
Oj, miałyście wy żniwa już na wiosnę —
Bory — wy, bory — wy, zielone lasy!

Jak stał — tak poszedł. W tej lnianej koszuli
I w owym pasie i w postołach ¹⁾ z łyka,
Jak ten ptak z gniazda... A w lesie słowiki
Słychać, gdy miesiąc w pełnię się roztuli...
Jak stał, tak poszedł.. I tylko od proga
Obrócił na mnie oczy bolejące...

¹⁾ chodakach, łapciach z kory.

Oj, była, ludzie, nademną moc Boga,
Oj, widziała ja gwiazdy padające,
A żadna taka nie była żalosna,
Jak to wejrzanie...

...Wiosnaż była, wiosna!

W chacie, jak gdyby trumnę kto pod wrota
Zakopał, taka pustka i tęsknota.
Jak urzeczone dzieciątko mi kwili,
Śpiewam a śpiewam, i tulę a tulę!
W dzień jeno myślę: Tu byli... tam byli...
A w wieczór ogień niecę..

Aż raz, czuj!.. po lesie
Jakby pioruny były. Myślę: „Blisko
Chryste ty Paniel“ — myślę... aż tu psisko
Nagłem się wyciem jak płaczem zaniesie,
A dzieciąteczko załkało w kolebce,
I od drzwi powiał wiatr — i cości szepcze...
Więc mnie lęk jakiś zatrzęsie zimnicą.
Chwycę na ręce synaczka mojego,
Spojrzę — o! niech mnie święci pańscy strzegą!
Spojrzę — a w progu, pociemniałe lico
Na mnie zwróciwszy, z oczyma, co w głowę
Uciekły kędyś, zastygłe, surowe,
Z raną na piersiach szerniałą, odkrytą,
Krwawą koszulą odziany i świtą,
Stoi mój Paweł...

O Jezu ty Chryste!
Ogień się po mnie rzuciły siarczyste,
Chciałam biec, wołać, krzyczeć, i u proga
Runęłam ciężko jak pień.

Imię Boga!

Ach, imię Boga nad nami wszystkimi!
I choćbyś poszedł w sam głąb i wskroś ziemi,
I choćbyś wszystkie przewędrował kraje
I wszystkie rzeki, i wszystkie Dunaje,
I choćbyś zaszedł tam, gdzie morze ciecze,
Jeszcze ty w mocy jego jest, człowieczel!

Jakie ja zorze widziałam w tej drodze,
Jakie miesiące krwawe, jakie słońca!
Dziewięcioraka skóra mi na nodze,
Jak węża łuska, opadła kołaca;
Dziewięciorakie poty na mnie biły,
A ja szłam, taj szłam. Zbielały mi włosy,
Oczy pływały we krwi, chusty zgniły.
A co ślad w piasku odcisnął się bosy,
To muchy krwawe siadały i piły. —
Aż i pod ziemię szłam, gdy brakło ziemi,
A precz od słońca biegała ta droga...
I co myślicie?.. Nad nami wszystkimi
I tam, i wszędzie, jak tu — Imię Bogal

— — — — —

...Przeszły lata.

Tak się wytliłam, jako ten kaganek,
Zatknięty w ziemię, w ciemnicy bez końca.
Już mi się nie śni ni dziecko, ni chata;
Już nie rachuję, co noc, a co ranek,
I tylko skała, pod młotem jęcząca,
Zagada do mnie... Aż raz coś oświłło
W lochu i jakby różami zakwitło...
O święta Panno O Matuchno Boża!
Chcę ja się zerwać i padam, i płaczę.
A tu przede mną stoi jasna zorza,
A tu mi serce jak dzwonek kołaczę...
O! utajona nad nami moc Boska!
Owo z Dzieciątkiem ze szramą przez lice
Królowa nasza, Pani Częstochowska
Zaszła tu do mnie przez wszystkie ciemnice...
I patrzy na mnie smętna, i blask sieje...
A tu już zboża pachną, łąki, kwiaty...
Jezu ty Chrystel co się ze mną dzieje?!
To las!.. to wioska!.. to dach naszej chaty!..

§ 70. a. *Antoni Malczewski, Marja.*

b. *Elwiro Andriolli, Ilustracje do Marji Malczewskiego.*

a. Święty Boże.

§ 71. Zagrały organy głośny finał i umilkły. Powstały gęstsze dymy od ołtarza z rozrządzonych kadzielnic. Cisza, która zaległa, wrywała się do pieśni. I ukląkł kapłan przed stopniami ołtarza i rozwiązał pragnące usta tłumy, intonując samotnym głosem:

— Szwintas Diewel ¹⁾

Nuta padła na klęczący zastęp męski, jak pierwszy podmuch orkanu. Zbudziła ton czysty, już potężny, ale płynący niby z oddalenia, rosnący w chóralną moc. Wzma-gał się coraz harmonijny duch suplikacji, przelewał się już grzmotem i począł się znowu rozplýwać decrescendem ol-brzymiego westchnienia.

Jeszcze nie skończył pod wysokim stropem, gdy nutę w wyższej oktawie podchwyciły głosy kobiece, jakby na fale, dopiero grzmiącą, która umilkła, zleciała świegotliwa chmura ptactwa i, chwyciwszy ton, niosła go wyżej rozet-kanym lamentem.

Przeleciała — i wybuchły znowu grzmoty chóru męs-kiego, nastrojone zgodną spiżową potęgą.

A milknące wołanie mężów nowym zgietkliwym wy-buchem podtrzymywały niewiasty:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Zachowaj nas, Paniel“

I niosła się pieśń ogromna dwoma hufcami, mocując się z Panem Zastępów przemożną modlitwą.

Wspomniał Kazimierz, że o tej samej godzinie grzmi-ta sama pieśń dzisiaj z milionów piersi na przestrzeni od Karpat aż po Niemen i Dźwinę. I rzucił się w chór woła-jący mężów całą siłą głosu swego męskiego, całym zapa-łem duszy swej, pragnącej uszczęśliwienia milionów.

Nieśli pieśni w górę aniołowie trębacznie wysoko, przez ukośne strugi słoneczne, poza sklepienia; a gdy przebrzmia-ło wołanie ostatnie, przysiedli na górnych gzymsach anio-łowie cisy.

¹⁾ Święty Boże.

a. Polonez Szopena.

§ 72. Nagle... zasypiający dzień drgnął wyborną muzyką, tak częstą na Litwie... Potężne akordy poloneza Szopena wtargnęły do salonu i powiały przez senne dusze obecnych. Kto paplał, ucichł; kto drzemał, otrząsnął się. Wśród ciszy działy się dziwy tej muzyki arcypolskiej.

Rokszycki, przeszedłszy na palcach do kąta mniej oświetlonego w pobliżu fortepianu, usiadł i słuchał w skupieniu. Miał przed sobą chudy profil grającego młodzieńca, podobny nieco do Szopena; za tym profilem w głąb—część pokoju, nie zajęta przez ludzi, obraz jakiś, źle zwrócony do światła, więc mętny: długi szmat materji, mieniący się wypłowiałą barwą, i pusty otwór drzwi do sąsiedniego pokoju.

Powoli nikła mu z przed zamglonych oczu plastyka rzeczywistości, zostawała melodyjna plastyka marzenia. Z wojowniczych akordów wiała groza walki, rozpęd zastępu, rzuconego w orgję bitwy, młot rytmiczny piersi, wyteżonych ku pogłębieniu sił nienawistnych, zamaszystość ramion rąbiących, zapamiętałość poświęceń.— Bohaterzy, jeżeli zwyciężą—arlekiny, jeżeli zginą!

I czuł się Kazimierz niesionym przez bojowy szal ojców i praojców, słyszał chrzęst skrzydeł, osadzonych w stali, i furkanie proporców. Starożytna дума rośnie w młodą potęgę, odwieczny żar wybucha zięjącym ogniem. — — —

Ściera się furor ataków ludzkich o góry kresowe przeznaczeń, gaśnie pożoga zapałów w syczącym zalewie losu.— — — Przebrzmiały dni walki, krwią gorące i nadzieją rozkoszne. Pobojowisko i żal! W żalu jęczy дума narodu straconą, tęgość zmarnowana, szlachetność, wydana na pośmiewisko. Nie dostrojone do grzmiącego wtóru powodzeń, samotne, ogromne pragnienie boli. — — — Ale w bólu wieszczą ocalała siła i piękność — i piękność wznosi się znowu do potęgi: woła głos jeden za miliony...

b. Gra Jankla na cymbałach.

Było cymbalistów wielu,,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu
(Jankiel przez całą zimę niewiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).

Wiedzą wszyscy, że nikt mu na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały.
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drażki, któremi zwykle mistrz we struny dzwoni;
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: „Jankielu, mów, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu?”

Jankiel niezmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą; jak weteran, w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany;
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i próbując, brzęczą;
Jankiel z przymrożonemi na poły oczyma
Milczy i nieruchome drażki w palcach trzyma.
Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym;
Dziwią się wszyscy, — lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drażki oba.

Znowu gra. Już drżą drażki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał zgóry, instrument dumnym okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drażki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela

Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki:
Brzmi Polonez Trzeciego Maja! — Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją —
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy Senat i posły
Po dniu Trzeciego Maja w ratuszowej sali
Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat Król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża.
Jak zgrzyt żelaza po szkłe: przejął wszystkich dreszczem
I wesolość pomieszał przecuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili:
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję zmaca,
Coraz głośniej targając akord rozdasany,
Przeciwno zgodzie tonów skonfederowany;
Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! To jest Targowica!“
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaca,
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów.

Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... — Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Prągi, którą znały z pieśni i z powieści,
Rade, że mistrz na koniec strunami wszystkimi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna — znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche, kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.

Lecz strun coraz przybywa, już rozpierzchłe tony
Łączą się i w akordów wiążą legijony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu tułacz, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosenkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata
Po łąkach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając smutnie pochylili głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natężył, takty zmienia, coś innego głosi,
I znowu spojrzął z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył;
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła“
Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
I wszyscy „Marsz Dąbrowski“ chórem okrzyknęli!

C Z Ę Ś Ć VI.

§ 73. *H. Sienkiewicz, Latarnik z Aspinwallu. (Bibl. Un. Lud. 13).*

a. W małej piosnce...

§ 74. W małej piosnce siły wiele,
Kto ją sercem gra...
W niej jest uśmiech — gdy wesele,
W niej — gdy smutek — łza...

Mała piosnka zapamięta
Każdy polny kwiat,
Czarodziejsko w niej zamknięta
Wiosną dawnych lat.

Piosnka idzie jak sierota,
Jak tęskniący duch,
I kołace w ciche wrota,
Gdzie jest brat, gdzie druch...

Piosnka ze snu serca budzi,
Gdy je drętwi cień,
I przed świtem woła ludzi
Na słoneczny dzień.

Z wiatrem leci echem chyżem
Do rodzonych stron
I nad mogiłą drogich krzyżem
Bije w srebrny dzwon!

b. *E. Orzeszkowa, Moment. (Arcydzieła polskich i obcych pis. 38. Brody).*

a. W dzień złożenia zwłok Mickiewicza
na Wawelu.

§ 75. Gdy na ziemię padł sztandar zdeptany
Znak królewski z orłem i pogonią,
Gdy go wodze i dumne hetmany
Już przed wrogów zniewagą nie bronią,
Gdy go w strzępki stargała niewola
I pokryła noc milczenia głucha...
On go pierwszy uniósł z walki pola
I zamienił w jasny sztandar ducha,
I nad Polską rozwinął w błękicie,
Dając w pieśni nieśmiertelne życie.

b. Na śmierć Jana Matejki. ¹⁾

Trzy miecze skrzyżujcie, niech zbłysną się w grom,
I nieście przed trumną w wieczysty mu dom.
W trzy tarcze uderzcie, niech spadnie z nich pleśń,
I Bogarodzicy zawiedźcie mu pieśń.

Przyłbicę na marach połóżcie na znak,
Z sztandaru niech biały powiewa mu ptak,
Na kopjach znizonych spuszczać go w grób,
Bo sławie ślubował i strzymał swój ślub!

Nie czciciel potęgi, nie żebrak jej łask,
To rycerz odchodzi za czynów swych blask,
To rycerz odchodzi, to mężny syn twój,
Co wskrzesił, o Polsko, twych sławnych dni bój!

Na duchów strażnicy wódz wielki dziś legł,
Co hartu zbroicy i serc hartu strzegł,
Stu bitew w świat poniósł huk, wrzawę i pył,
Dał moc ci twą uczuć, krwi dolał do żył.

¹⁾ Ur. 1838. um. 1893. Poetka mówi tu w dalszym ciągu o obrazach Matejki: Bitwa pod Grunwaldem, Hołd Pruski, Odsiecz wiedeńska, Rejtan.

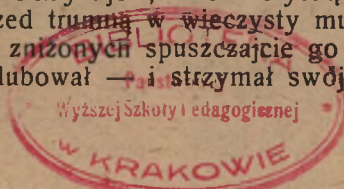
Raz jeszcze z twej piersi odrzucił on precz
Grunwaldzkim pogromem krzyżacki ów miecz,
I pruski hołd wznowił u skutych twych nóg,
I z klęczek przed tobą nie wstanie już wróg.

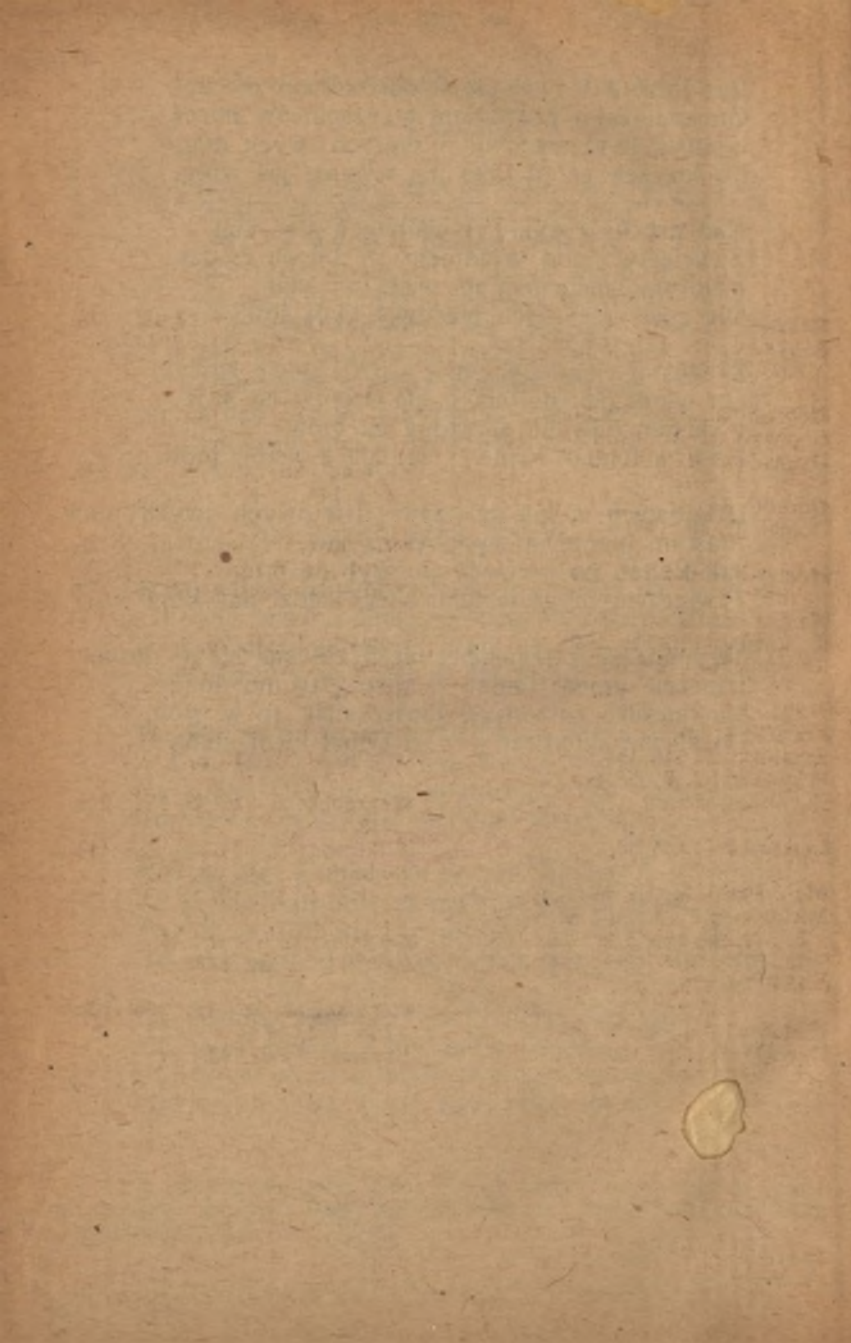
Nad prochy i dymy, i martwych stos ciał
Zwycięstwo pod Wiedniem on znowu ci dał
I złotym łańcuchem na wieki on skuł
Dla gości niełubych piastowy twój stół.

Z troistej ciemnicy, gdzie kaźń i gdzie zgrzyt,
On wiódł cię, o Polsko, na dzień i na świt
I kamień odwalił, stoczony na grób,
I ducha tchnął w piersi, mdlejące wśród prób.

Dziejowych twych dzierżaw, dziejowych twych praw
Prastare pieczęcie wydobył na jaw,
Jak Rejtan na krzywdy położył się próg
Z wieczystym protestem: Niech sądzi nas Bóg!

Trzy miecze skrzyżujcie, niech zbłysną się w grom,
I nieście przed trumną w wieczysty mu dom;
Na tarczach znizonych spuszczać go w grób,
Bo sławie ślubował — i strzymał swój ślub.





Skorowidz autorów.

Askenazy Sz., str. 34
Asnyk A., str. 177, 188, 193, 194,
202, 203, 220.

Dębicki Zdz., str. 32, 36.
Dobrowolski A., str. 160 — 162.
Dygasiński A., str. 67.

Gorecki A., str. 1, 3, 5.
Górski K., str. 164.

Homer-Mleczo, str. 184.

Kasprowicz J., str. 180.
Kochanowski J., str. 162.
Konopnicka M., str. 34, 45, 91, 172,
173, 178, 180, 195, 200, 201,
207, 209, 219, 220.

Krasicki I., str. 2, 3.
Kraśiński Z., str. 154.
Kraszewski J. I., str. 113.
Kubala L., str. 89.

Lemański J., str. 35.

Malczewski A., str. 133, 209.
Mickiewicz A., str. 1, 5, 6, 15, 19,
51, 72, 93, 129, 133, 134, 136,
150, 156, 158, 163, 174, 182,
184, 192, 193, 206, 215.

Niemcewicz J., str. 20.
Nowicki Fr., str. 159.

Orzeszkowa E., str. 73, 120, 126,
141, 147, 176, 202, 219.

Potocki W., str. 4, 6.
Prus B., str. 153, 169, 182.

Reymont St., str. 96, 98, 103,
139, 144.

Sienkiewicz H., str. 12, 13, 16, 25,
37, 46, 51, 76, 79, 85, 100, 116, 122,
132, 134, 135, 136, 155, 164, 182.

Słowacki J., str. 23, 171, 179.
Smoleński Wł., str. 41.
Staff L., str. 170.

Tetmajer K., str. 164, 169.
Trembecki St., str. 3, 10.

Weysenhof J., str. 95, 152, 214,
215.

Witkiewicz St., 44, 124, 125, 145.
Wodzicki K., str. 62.
Wybicki J., str. 42.

Zawistowska K., str. 33.
Zieliński G., str. 177.

Żeromski St., str. 12, 104, 128,
143, 154, 164.
Żuławski J., str. 93.

